

**Ray Bradbury**

**K jak Kosmos**

## POCZWARKA

Rockwellowi nie podobał się panujący w pokoju zaduch. Nie tyle piwny odór McGuire'a czy smrodek zmęczonego, nie domytego Hartleya, co silny owadzi zapach zalatujący od zimnego, pokrytego zieloną powłoką ciała Smitha leżącego sztywno na stole. Czuć było także olejem i smarem od bliżej nie określonej maszynierii, która połyskiwała w kącie niewielkiego pomieszczenia.

Ten Smith był trupem. Rockwell, zirytowany, wstał z krzesła i schował stetoskop.

– Muszę wracać do szpitala. Rozumiesz, Hartley, wojna, przepełnienie. A Smith nie żyje od ośmiu godzin. Jeśli potrzebne ci są szczegółowe dane, zażądaj sekcji zwłok...

Przerwał, ponieważ Hartley uniósł drżącą, kościstą rękę i wskazał na ciało pokryte dokładnie kruchą, twardą, zieloną łuską.

– Oślučaj go, Rockwell. Jeszcze tylko raz, proszę cię.

Rockwell chciał zaprotestować, ale wstał, usiadł i wyciągnął stetoskop. Z kolegami lekarzami trzeba jak z jajkiem. Przyciskasz więc stetoskop do zimnego, zielonego ciała i udajesz, że słuchasz...

Nagle mały, słabo oświetlony pokój eksplodował wokół niego. Ekspłodował zielonym, chłodnym tętnieniem. Uderzyło ono Rockwella w uszy jak pięści. Po prostu go uderzyło. Widział, jak jego palce podskakują na leżącym ciele.

Słyszał puls.

Głęboko w ciemnościach ciała serce uderzyło raz. Zabrzmiało to jak echo w morskiej toni.

Smith był martwy, nie oddychał, był zmumifikowany. Ale gdzieś w samym jądrze tej martwoty żyło jego serce. Żyło, poruszając się jak małe nie narodzone dziecko!

Suche palce Rockwella, palce chirurga, skoczyły gwałtownie. Zwiesił głowę. W świetle wydawała się ciemna, z łatkami siwizny. Miał spokojną piękną twarz o regularnych rysach. I około trzydziestki. Co chwila przykładał stetoskop i nasłuchiwał, a na jego gładkie policzki wystąpił pot. Puls był nieprawdopodobny.

Jedno uderzenie serca na trzydzieści pięć sekund.

A oddech – też nie do wiary – co cztery minuty. Ruch klatki piersiowej właściwie niedostrzegalny. Temperatura ciała?

Sześćdziesiąt stopni.

Hartley roześmiał się. Nie był to przyjemny śmiech. Przypominał zanikające echo.

– On żyje – powiedział zmęczonym głosem. – Tak. Żyje. Wiele razy mnie oszukiwał. Wstrzykiwałem mu adrenalinę, żeby przyspieszyć bicie serca, ale

bezszykownie. Jest w takim stanie od dwunastu tygodni. Nie mogłem tego już dłużej trzymać w tajemnicy. Dlatego do ciebie zadzwoniłem. To jest... coś nienaturalnego.

Nieprawdopodobieństwo tego, co stwierdził, wywołało w Rockwellu dziwne podniecenie. Spróbował unieść powieki Smitha. Nie mógł. Były zarośnięte naskórkiem. Podobnie jak usta. Tak samo nozdrza. Smith nie miał czym oddychać...

– A jednak on oddycha – głos Rockwella zabrzmiał drętwo. Bezradnie opuścił stetoskop, znów go wziął do ręki i zobaczył, jak drżą mu palce.

Hartley stał nad stołem wysoki, zmizerowany, roztrzęsiony.

– Smith nie był zadowolony, że do ciebie dzwonię. Ale zadzwoniłem mimo to. Ostrzegłem cię, żebyś tego nie robił. Jeszcze godzinę temu.

Oczy Rockwella zrobiły się wielkie jak spodki.

– Jak mógł cię ostrzegać? Przecież on się nawet nie rusza.

Twarz Hartleya, wąska, koścista, z mocną szczęką, o przymrużonych, surowych, szarych oczach drgnęła nerwowo.

– Smith myśli. Znam jego myśli. Boi się, że zdradzisz jego tajemnicę przed światem. On mnie nienawidzi. A wiesz dlaczego? Bo chcę go zabić. O – Hartley namacał w kieszeni wymiętej, poplamionej marynarki rewolwer. – Weź to, Murphy. Weź to, zanim strzelę do tego cuchnącego cielska.

Murphy cofnął się z wyrazem strachu na czerwonej twarzy o grubych rysach.

– Nie lubię broni. Ty weź to, Rockwell.

Głos Rockwella przypominał cięcie skalpelem.

– Odłóż tę broń, Hartley. Po trzech miesiącach pielęgnowania jednego pacjenta masz uraz psychiczny. Musisz się przespać, to ci dobrze zrobi. – Obliznął usta. – Co to za choroba, na którą zapadł Smith?

Hartley zachwiał się. Jego usta poruszały się wolno, gdy wymawiał słowa. Zasypia na stojąco, uznał Rockwell.

– To nie choroba – zdołał powiedzieć Hartley. – Nie wiem, co to jest. Ale nienawidzę go jak dziecko nienawidzi nowo narodzonego brata czy siostry. On jest nie taki jak trzeba. Pomóżcie mi, dobrze?

– Oczywiście – Rockwell uśmiechnął się. – Moje pustynne sanatorium będzie się doskonale nadawało do tego, żeby go tam przebadać. Smith jest chyba najbardziej zdumiewającym przypadkiem w historii medycyny. Ludzkie ciało tak się nie zachowuje!

Rockwell nie zdołał powiedzieć nic więcej. Hartley wycelował broń prosto w jego żołądek.

– Chwileczkę, zaczekaj. Ty... ty nie zamierzasz pogrzebać Smitha? Myślałem, że mi pomożesz, Smith nie jest zdrowy. Chcę, żeby został zabity! On jest niebezpieczny! Z całą pewnością!

Rockwell zamrugał oczami. Hartley musi być psychoneurotykiem. Nie wie, co mówi. Rockwell wyprostował się czując wewnątrz chłód i spokój.

– Jeśli zastrzelisz Smitha, oskarżę cię o morderstwo. Jesteś przemęczony psychicznie i fizycznie. Odłóż broń.

Wpatrywali się w siebie nawzajem.

Rockwell podszedł do Hartleya, spokojnie wziął od niego rewolwer, z wyrozumiałością poklepał go po ramieniu i wręczył broń Murphy'emu, który miał taką minę, jakby ten rewolwer kąsał.

– Zadzwoń do szpitala, Murphy. Ja biorę tydzień wolnego. Może więcej. Powiedz im, że prowadzą badania w sanatorium.

Tłusta, czerwona twarz Murphy'ego wykrzywiła się w złości.

– Co mam zrobić z tą bronią? Hartley mocno zacisnął zęby.

– Zatrzymać. Przyda ci się... później.

Rockwell miał ochotę wykrzyknąć wobec całego świata, że jest jedynym posiadaczem najdziwniejszej istoty ludzkiej na przestrzeni dziejów. Pustynne sanatorium, pokój, w którym leżał na stole milczący Smith, z urodziwą zieloną twarzą zastygłą w beznamietnym wyrazie, wypełniał słoneczny blask.

Rockwell wszedł cicho. Przytknął stetoskop do zielonej piersi i usłyszał chrobot, jakby ktoś metalem przejechał po pancerzu żuka.

Obok stał McGuire cuchnący świeżo wypitym piwem i z powątpiewaniem przyglądał się ciału.

Rockwell wyęczał słuch.

– Mógł doznać wstrząsu w czasie transportu karetką. Nie ma co ryzykować.

Nagle krzyknął. McGuire podszedł do niego ociężale.

– Co się stało?

– Co się stało?! – Rockwell powiódł dokoła zrozpaczonym wzrokiem. Zacisnął pięści. – Smith umiera!

– Skąd wiesz? Hartley mówił, że on symuluje. Znów dałeś się nabrać...

– Nie! – Rockwell jak szalony uwijał się koło ciała wstrzykując weń leki.

Jakiegokolwiek. Wszystkie. I klnąc na czym świat stoi. Po takich kłopotach nie może stracić Smitha. W każdym razie nie teraz.

Z ciała Smitha, które drżało, wibrowało, skręcało się gdzieś w swoich głębiach ogarnięte szaleństwem, dobywał się dźwięk przypominający pomruk wzbierającego lawą wulkanu.

Rockwell usiłował zachować spokój. Przypadek Smitha to było coś dla niego. Normalne leczenie nic mu nie pomogło. Wobec tego co? Co?

Rockwell patrzył. Na twardej powłoce Smitha lśniło słońce. Gorące słońce. Jego promienie połyskiwały odbijając się od stetoskopu. Słońce. Za oknem niebo

zaciągnęło się chmurami. W pokoju pociemniało. Ciało Smitha drgnęło i pograżyło się w ciszy. Wulkan zamarł.

– McGuire! Spuść żaluzje! Zanim wyjdzie słońce!

McGuire wykonał polecenie. Serce Smitha zwolniło do swego zwykłego leniwego rytmu.

– Źle znosi słońce. Ono czemuś przeciwdziała. Nie wiem czemu ani dlaczego, ale mu szkodzi – Rockwell odprężył się. – O Boże, nie chciałbym stracić Smitha. Za nic. Jest li inny. Wyznacza własne normy, robi rzeczy, których człowiek nigdy nie robił. Wiesz co, Murphy?

– Co?

– Smith wcale nie cierpi. Ani nie umiera. I śmierć wcale nie przyniesie mu ulgi, bez względu na to, co wygaduje Hartley. Wczoraj wieczorem, jak przekładałem Smitha na nosze przygotowując go do drogi, stwierdziłem nagle, że on mnie lubi.

– O rany. Najpierw Hartley. A teraz ty. Powiedział ci to?

– Nie, nie powiedział. Ale on wcale nie jest nieprzytomny pod tą swoją twardą łuską. On ma świadomość. Tak, właśnie tak. Ma świadomość.

– On zwyczajnie i po prostu ulega petryfikacji. Umiera. Od tygodni nie był karmiony. Tak mówił Hartley. Hartley odżywił go dożylnie, dopóki skóra nie stwardniała tak, że nie był w stanie przebić jej igłą.

Powoli, ze skrzypem, drzwi pokoju otworzyły się. Rockwell drgnął. W drzwiach zobaczył wysoką postać Hartleya. Jego twarz o ostrych rysach po kilku godzinach snu robiła wrażenie odprężonej, ale pełne goryczy spojrzenie szarych oczu w dalszym ciągu było wrogie.

– Jeśli opuścisz ten pokój – rzekł spokojnie – zniszczę Smitha w ciągu paru sekund. Dobrze?

– Nie ruszaj się z miejsca. – Rockwell, zirytowany, podszedł do Hartleya. – Za każdym razem kiedy się tu pojawisz, zostaniesz zrewidowany. Mówiąc szczerze, nie ufam ci. – Nie znalazł przy nim broni. – Dlaczego mi nie powiedziałeś o działaniu słońca?

– Co? – Cicho, powoli Hartley powiedział: – Aha, zapomniałem. Parę tygodni temu usiłowałem go przenieść. Znalazł się wtedy pod działaniem słońca i rzeczywiście zaczął umierać. Naturalnie zrezygnowałem z przenoszenia go. Miałem wrażenie, że niejasno zdaje sobie sprawę z tego, na co się zanosilo. Może to nawet zaplanował, nie jestem pewny. W okresie kiedy mógł jeszcze mówić i kiedy jadł tak żarłocznie, zanim jego ciało zeszytniało całkowicie, ostrzegał mnie, żeby go nie ruszać przez dwanaście tygodni. Powiedział, że źle znosi słońce, że to by wszystko popsuło. Myślałem, że żartuje. Ale nie. Jadł jak zwierzę, wygłodniałe, dzikie zwierzę, a potem zapadł w stan nieświadomości, o tak właśnie jak teraz... – Hartley zaklął pod

nosem. – Miałem nadzieję, że go zostawisz na słońcu tak długo, że go to zabije ostatecznie, nieodwracalnie.

McGuire przeniósł z nogi na nogę swoje dwieście pięćdziesiąt funtów ciężaru.

– No dobrze, a jeśli złapiemy od niego tę chorobę?

Hartley popatrzył na ciało i oczy mu się zwięzły.

– Smith nie jest na nic chory. Nie widzisz, że to degeneracja? Coś w rodzaju raka. Tym się człowiek nie zaraża. Po prostu dziedziczy skłonność. Nie bałem się Smitha ani go nie nienawidziłem, dopóki, tydzień temu, nie stwierdziłem, że on oddycha i tętni życiem mimo zarośniętych ust i nozdrzy. Nie wolno na coś takiego pozwalać.

McGuire powiedział drżącym głosem:

– A jeżeli ty, ja i Rockwell – wszyscy zrobimy się zieloni i ta zaraza obejmie cały kraj, to co wtedy?

– Wtedy – odparł Rockwell – jeśli nie mam racji, a możliwe, że nie mam, umrę. Ale zupełnie mnie to nie martwi.

Z tymi słowy odwrócił się z powrotem do Smitha i podjął przerwane zajęcie.

Dzwonek. Dzwonek. Dwa dzwonki, dwa dzwonki. Tuzin dzwonek. Setka dzwonek. Dziesięć tysięcy, milion głośnych, nieustępliwych, ogłuszających, metalicznych dzwonek. Wszystkie naraz zrodziły się w ciszy wrzeszcząc, krzycząc, raniąc echa, dżgając w uszy.

Dzwoniąc, śpiewając głośno i cicho, tenorem i basem, nisko i wysoko. Wielkie serca, których uderzenia rozdzierały powietrze potężnym, natrętnym łomotem.

Ogłupiały od tych dzwonek Smith nie mógł się od razu połapać, gdzie jest. Wiedział, że nie widzi, bo ma zarośnięte oczy, i że nie może mówić, bo ma zarośnięte wargi. Uszy też miał zasklepione, ale mimo to dzwonienie do nich docierało.

Nie widział. Ale owszem, owszem, widział, miał wrażenie, jakby się znalazł wewnątrz małej czarno-czerwonej jaskini, jakby jego oczy były wywrócone do środka, do wnętrza czaszki. Próbował poruszyć językiem i nagle, usiłując krzyknąć, zdał sobie sprawę, że nie ma języka, że miejsce, gdzie zwykle był, jest puste – swędzące miejsce, w którym brakuje języka, nieosiągalnego właśnie teraz.

Brak języka. Dziwne. Dlaczego? Smith próbował zatrzymać dzwony. Przestały bić nagradzając go ciszą, która spowiła go jak chłodna płachta. Coś się działo. Działo się coś.

Usiłował zgiąć palec, ale nie miał nad nim władzy. Stopa, noga, palec u nogi, głowa – niczym nie mógł poruszyć. Tors, ręce – wszystko to nieruchome, jakby zastygłe w trumnie z betonu.

W chwilę później nastąpiło potworne odkrycie: nie oddycha. W każdym razie nie płucami.

Ponieważ nie mam płuc! – krzyknął. Krzyknął wewnętrznie i ten duchowy krzyk

został zatopiony, zasnuty, ścięty i spłynął ospale z czerwoną, ciemną falą. Czerwona, ospała fala, która leniwie pochłaniała krzyk, zdusiła go, zabrała, pozwalając Smithowi odprężyć się nieco.

Nie odczuwam strachu, pomyślał. Rozumiem to, czego nie rozumiem. Rozumiem, że nie odczuwam strachu, ale nie znam przyczyny.

Nie ma języka, nie ma nosa, nie ma płuc.

Ale później je odzyska. Tak, odzyska. Coś się dzieje.

Przez pory pokrytego łuską ciała przedostawało się powietrze, kłując jak krople deszczu, budząc do życia. Oddychanie przez miliony skrzel, oddychanie tlenem, azotem, wodorem i dwutlenkiem węgla – tak, on to wszystko zużywa. Ciekawe. Czy jego serce bije w dalszym ciągu?

Ależ tak, bije. Wolno, wolno, wolno. Czerwony, mglisty szum, powódź, rzeka opływająca go dokoła wolno, wolniej, wolniej. Jak przyjemnie.

Jak spokojnie.

W miarę jak dni zmieniały się w tygodnie, elementy łamigłówki zaczynały pasować coraz lepiej. McGuire pomagał. Emerytowany chirurg, przez wiele lat był sekretarzem Rockwella. Pomoc niewielka, ale przynajmniej towarzystwo.

Rockwell zauważył, że McGuire żartuje na temat Smitha gburowato, nerwowo i dużo. Usiłuje być opanowany. Ale pewnego dnia przestał żartować, zamyślił się i powiedział przeciągając słowa:

– Przyszła mi jedna rzecz do głowy. Smith żyje. A powinien nie żyć. Ale żyje. Mój Boże!

Rockwell roześmiał się.

– A co ty sobie, do diabła, wyobrażasz – że nad czym ja pracuję? W przyszłym tygodniu przynoszę tu aparat rentgenowski, żeby zobaczyć, co się tam wewnątrz tej jego skorupy dzieje. – Rockwell dźgnął Smitha igłą do zastrzyków podskórnych. Złamała się na twardej łusce.

Spróbował następnej igły i jeszcze jednej, aż w końcu udało mu się wkłuć; pobrał krew i zbadał ją pod mikroskopem. W parę godzin później podsunął spokojnie McGuire'owi pod jego czerwony nos wynik badania krwi i powiedział szybko:

– Trudno w to uwierzyć, ale jego krew ma własności bakteriobójcze. Wpuściłem do niej kolonię streptokoków i zginęły w ciągu ośmiu sekund! Można wstrzyknąć Smithowi zarazki wszelkich znanych chorób, a on je nie tylko zniszczy, ale nawet mu posłuży.

Nie minęło kilka godzin, kiedy porobili nowe odkrycia. Rockwell nie spał, rzucał się po nocach na łóżku łamiąc sobie głowę nad różnymi wielkimi koncepcjami. Na przykład...

Hartley wprowadzał Smithowi do krwi, przez cały okres jego choroby, pewną

ilość centymetrów sześciennych odżywki dziennie.

Nic z tego nie zostało wydalone. Organizm zmagazynował wszystko, ale nie w postaci fałd tłuszczu, tylko w formie jakiegoś nieznanego, wysoce skoncentrowanego roztworu, płynu x, zawartego we krwi. Uncja tej substancji wystarczyłaby człowiekowi jako pokarm na trzy dni. Ten płyn x krążył w organizmie, który w odpowiednim momencie go zużywał. Było to znacznie praktyczniejsze niż tłuszcz. Bez porównania!

Rockwell szalał z powodu tego odkrycia. Smith miał zmagazynowane w sobie tyle płynu x, że mógł dzięki niemu przetrwać jeszcze długie miesiące. Był samowystarczalny.

McGuire, kiedy mu Rockwell o tym powiedział, popatrzył smętnie na swój brzuch.

– Szkoda, że mnie się w ten sposób nie odkładają kalorie.

Ale to nie wszystko. Smithowi wystarczała niewielka ilość powietrza, które czerpał w drodze osmozy przez skórę. I które też zużywał całkowicie. Bez żadnych produktów spalania.

– W tej sytuacji – zakończył Rockwell – serce Smitha mogło pozwolić sobie na pewne przerwy w pracy.

– Ale to oznacza, że Smith wtedy nie żył – powiedział McGuire.

– Dla mnie, dla ciebie – zgoda. Dla niego samego – może. Właśnie: może.

Zastanów się nad tym, McGuire. Reasumując, mamy w przypadku Smitha do czynienia z samooczyszczającym się krwiobiegem, miesiącami nie wymagającym żadnych uzupełnień poza zasobami wewnętrznymi, odpornym, nie wydalającym niczego, ponieważ dosłownie każda cząsteczka jest wykorzystywana, samorozwijającym się i zabójczym dla wszelkich mikrobów. A Hartley ośmiela się mówić o degeneracji.

Hartley był zły, gdy się dowiedział o tych odkryciach. Ale w dalszym ciągu twierdził, że Smith przechodzi proces degeneracji, że jest niebezpieczny.

McGuire dorzucił swoje trzy grosze:

– A skąd my możemy wiedzieć, że nie są to zarazki wykrywalne tylko pod mikroskopem elektronowym, które rozwijając się w swojej ofierze niszczą wszelkie inne bakterie? Ostatecznie w pewnych przypadkach używa się zarazków malarii do leczenia syfilisu. Może to jakiś nowy bakcyl, który zabija wszystkie inne?

– Coś w tym musi być – rzekł Rockwell – ale przecież my nie jesteśmy chorzy.

– Może to okres inkubacji.

– Punkt widzenia typowy dla lekarzy starej daty. Obojętne, co się z człowiekiem dzieje, jeśli odbiega od normy, to znaczy, że jest „chory”. Ale to twój pogląd, Hartley – oświadczył Rockwell – nie mój. Lekarze nie spoczną, dopóki nie postawią diagnozy



i nie przykleją etykiety każdemu przypadkowi. Ja uważam, że Smith jest zdrowy, tak zdrowy, że się go boisz.

– Zwariowałeś – rzekł McGuire.

– Możliwe. W każdym razie nie sądzę, żeby Smithowi potrzebna była jakakolwiek interwencja lekarska. Sam sobie poradzi. Ty uważasz, że on się degeneruje. Ja uważam, że on się rozwija.

– Spójrz na jego skórę – jęknął McGuire.

– Owca w wilczej skórze. Na zewnątrz twardy, sztywny naskórek. Wewnątrz odrodzenie według określonego porządku, zmiany. Dlaczego? Jestem bliski poznania odpowiedzi na to pytanie. Zmiany wewnątrz Smitha są tak gwałtowne, że aż wymagają zabezpieczenia w postaci skorupy. A ty, Hartley, powiedz mi szczerze: czy jak byłeś mały, nie bałeś się przypadkiem owadów, pajaków i tym podobnych stworzeń?

– Owszem.

– No widzisz. Fobia. Lęk przed Smithem. Ta fobia tłumaczy twoją niechęć do zachodzących w nim zmian.

W ciągu najbliższych tygodni Rockwell starannie studiował dotychczasowe życie Smitha. Odwiedził laboratorium elektroniczne, w którym Smith pracował i zachorował. Obejrzał starannie pokój, w którym spędził pierwsze tygodnie swojej „choroby”, pielęgnowany przez Hartleya. Zbadał znajdującą się tam aparaturę. Coś z promieniowaniem...

Opuszczając sanatorium Rockwell za każdym razem starannie zamykał Smitha i kazał McGuire’owi pilnować drzwi na wypadek, gdyby Hartleyowi coś strzeliło do głowy.

Dwudziestotrzyletnie życie Smitha było bardzo nieskomplikowane: przez pięć lat pracował w laboratorium elektronicznym, prowadząc prace doświadczalne. Nigdy nie był poważnie chory.

Czas płynął i Rockwell odbywał długie samotne spacerunki w okolicach sanatorium. Miał kiedy przemyśleć i dopracować niewiarygodną teorię, która zaczęła krystalizować się w jego umyśle.

Pewnego popołudnia zatrzymał się przed sanatorium koło kwitnącego krzewu jaśminu, sięgnął ręką i z wysokiej gałązki zdjął z uśmiechem ciemny, błyszczący przedmiot. Spojrzał na niego i schował go do kieszeni. Po czym wszedł do sanatorium.

Zawołał z werandy McGuire’a. Za McGuire’em, miotając groźby i narzekając, przywłókł się Hartley. Siedzieli we trójkę w części mieszkalnej budynku.

I wtedy im Rockwell powiedział:

– Smith nie ma żadnej choroby. Zarazki nie mogłyby w nim żyć. Nie zawiadnęły

jego ciałem żadne złe duchy ani nadprzyrodzone potwory. Mówię o tym, żeby was przekonać, że niczego nie zaniedbałem. Odrzucam wszelkie normalne diagnozy na temat Smitha. I przeciwstawiam im najpoważniejszą, a zarazem najłatwiejszą do przyjęcia: opóźnionej dziedzicznej mutacji.

– Mutacji? – głos McGuire’a zabrzmiał dziwnie.

Rockwell uniósł do światła czarny, błyszczący przedmiot.

– Znalazłem to na krzaku w ogrodzie. To idealnie zilustruje moją teorię. Po przestudiowaniu objawów Smitha, zbadaniu jego laboratorium i obejrzeniu kilku takich – obrócił w palcach ciemny przedmiot – mam pewność. To jest metamorfoza. Regeneracja, zmiana, mutacja po narodzeniu. Proszę. Łap. To jest Smith.

Rzucił przedmiot Hartleyowi.

– To jest poczwarka gąsienicy – powiedział Hartley.

Rockwell skinął głową.

– Zgadza się.

– Nie zamierzasz chyba sugerować, że Smith jest... poczwarka?

– To nie ulega wątpliwości – odparł Rockwell.

W wieczornym mroku Rockwell stał nad ciałem Smitha. Hartley i McGuire siedzieli w drugim końcu pokoju i w milczeniu słuchali. Rockwell delikatnie dotknął Smitha.

– A może żyć to coś więcej niż narodzić się, przetrwać siedemdziesiąt lat i umrzeć. Może w ludzkim istnieniu jest do osiągnięcia jakiś znacznie wyższy stopień i Smithowi pierwszemu było to dane.

Patrząc na gąsienicę uważamy ją za przedmiot statyczny. Ale przecież ona się zmienia w motyla. Dlaczego? Nie ma jeszcze ostatecznej teorii, która by to wyjaśniała. To jest postęp, przede wszystkim. Chodzi o to, że przedmiot uważany za niezmienny przybiera formę pośrednią, zupełnie inną, staje się poczwarka, z której ostatecznie wyłania się motyl. Na zewnątrz poczwarka robi wrażenie martwej. I to jest mylące. Smith nas zwiódł. Na zewnątrz – martwy. Wewnątrz – tętni sokami; wewnątrz odbudowa, gwałtowny celowy ruch. Od larwy do komara, od gąsienicy do motyla, od Smitha do?...

– Smith poczwarka? – McGuire zaśmiał się rubasznie.

– Tak.

– Ludzie nie podlegają takim przemianom.

– Spokojnie, McGuire. Ten krok naprzód w ewolucji jest zbyt wielki na to, żebyś go pojął. Zbadaj Smitha i powiedz mi, co to może być innego. Skóra, oczy, oddychanie, krwiobiegi. Tygodnie przyswajania pokarmu na okres tej opancerzonej hibernacji. Po co by tak jadł, po co by mu był cały ten płyn x, jak nie do celów metamorfozy? A przyczyna tego wszystkiego leży w promieniowaniu.

W promieniowaniu twardym z aparatury w laboratorium Smitha. Zaplanowanym czy też przypadkowym – nie wiem. W każdym razie musiało ono objąć jakąś zasadniczą część jego struktury genetycznej, jakąś część struktury ewolucyjnej człowieka, która może jeszcze przez tysiące lat miała drzemać nie rozbudzona.

– Czy myślisz, że pewnego dnia wszyscy ludzie?...

– Larwa nie pozostaje na zawsze w stojącej wodzie sadzawki, pędrak w ziemi, a gąsienica na liściu kapusty. One się zmieniają, falami ogarniając wszechświat.

Smith stanowi odpowiedź na pytanie: „Co stanie się dalej z człowiekiem, dokąd stąd pójdziemy?” Stoimy przed ślepą ścianą wszechświata i przeznaczeniem polegającym na konieczności życia w nim, a człowiek na obecnym etapie rozwoju nie jest w stanie stawić czoła temu wszechświatowi. Najmniejszy wysiłek go męczy, przepracowanie niszczy mu serce, choroba ciało. Może Smith odpowie na odwieczne pytanie filozofów o sens życia. Może on nada temu życiu nowy sens.

Cóż... Wszyscy jesteśmy tylko nędznymi insektami, miotającymi się na maleńkiej jak łeppek od szpilki planecie. A człowiek wcale nie jest skazany na to, by tu pozostać, być chorym, małym i słabym – po prostu nie odkrył jeszcze tajemnicy wiedzy wyższej.

Ale zmieńcie go. Stwórzcie człowieka doskonałego. Nadczołowieka, jeśli wolicie. Uwolnijcie go z więzów ciasnoty umysłowej, dajcie mu całkowitą kontrolę nad własną fizjologią, systemem nerwowym, psychiką; wyposażcie go w jasny, twórczy umysł, nieskończenie wytrzymały system krwionośny, organizm, który mógłby miesiącami obywać się bez pokarmu, który byłby zdolny przystosować się do każdego klimatu i zwalczać każdą chorobę. Wyzwólcie człowieka z pęt ciała i jego ułomności, a przestanie być nędzną istotą, która boi się nawet marzyć, wiedząc, że na drodze do spełnienia jej marzeń stoi właśnie owo niedoskonałe ciało, i podejmie walkę, jedyną wartą podjęcia – walkę odrodzonego człowieka przeciwko całemu przeklętemu wszechświatowi!

Bez tchu, zachrypnięty, z bijącym sercem Rockwell ekstatycznym ruchem położył zdecydowanie ręce na zimnej poczwarcie i zamknął oczy. Przepelniało go poczucie mocy, działania, wiary w Smitha. Ma rację. Ma rację. Wiedział, że ma rację. Otworzył oczy i spojrzał na Hartleya i McGuire’a, którzy w przyćmionym świetle przypominali cienie.

Po kilku sekundach milczenia Hartley, zaciągając się papierosem, powiedział:

– Nie wierzę w tę teorię.

McGuire dodał:

– Skąd wiesz, że Smith nie jest w środku kupą galarety? Prześwietlałeś go?

– Bałem się ryzykować. Mogłoby to okazać się równie szkodliwe dla jego przemian jak światło słoneczne.

– To Smith ma zostać nadczłowiekiem? Jak będzie wyglądał?  
– Zobaczymy.  
– Czy myślisz, że on słyszy, jak o nim rozmawiamy?  
– Słyszysz czy nie słyszysz, jedno jest pewne: że posiadliśmy tajemnicę, która nie była dla nas przeznaczona. Smith nie brał w swoich planach pod uwagę mnie i McGuire’a. Musiał być bardzo ostrożny. Nadczłowiek nie lubi, żeby ludzie o nim wiedzieli. Potrafią być paskudnie zawistni, zazdrośni, nieżyczliwi. Zdawał sobie sprawę, że nie będzie bezpieczny, jak się o nim dowiedzą. Może to wyjaśnia i twoją nienawiść, Hartley.

Słuchali w milczeniu. Panowała kompletna cisza, tylko krew w skroniach Rockwella szumiała, to wszystko. Był wśród nich Smith, już właściwie nie Smith: pojemnik oznaczony SMITH z nie znaną zawartością.

– Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą – rzekł Hartley – to tym bardziej powinniśmy go zniszczyć. Pomyśl o władzy, jaką miałyby nad światem. I jeśli, jak sądzę, ten fakt wywrze wpływ na jego umysł, to przecież będzie usiłował nas zabić, jak tylko ucieknie, ponieważ my jedni znamy jego tajemnicę. Znienawidzi nas za to, żeśmy go podpatrzyli. Rockwell powiedział lekko:

– Ja się nie boję.

Hartley milczał. Słysząc było tylko jego ciężki, chrapliwy oddech.

Rockwell okrążył stół i podszedł do nich gestykulując.

– Myślę, że teraz się już pożegnamy, jak uważacie?

Samochód Hartleya zniknął w drobno siąpiącym deszczu. Rockwell zamknął drzwi, powiedział McGuire’owi, żeby spał na dole, na polowym łóżku ustawionym naprzeciwko drzwi od pokoju Smitha, a sam poszedł położyć się na górę.

Rozbierając się rozpamiętywał wszystkie niewiarygodne wydarzenia z ostatnich tygodni. Nadczłowiek. Dlaczego nie? Sprawność, siła...

Wśliznął się pod kołdrę.

Kiedy? Kiedy Smith wychynie ze swojej poczwarki? Kiedy?

Deszcz padał cicho na dach sanatorium.

Pośród przypominających trzęsienie ziemi grzmotów i bębnienia deszczu spał na polowym łóżku ciężko wzdychając przez sen McGuire. Gdzieś skrzypnęły drzwi, ale McGuire oddychał dalej równo. Do hallu wdarł się wiatr. McGuire jęknął i obrócił się na bok. Drzwi zamknęły się cicho i wiatr ustał. Delikatne kroki po puszystym dywanie. Powolne kroki, przemyślane, ostrożne, czujne. Kroki. McGuire zamrugał oczyma i otworzył je.

W mroku stała nad nim jakaś postać.

Pojedyncza lampa na górze w hallu rzucała żółty snop światła tuż koło jego łóżka.

Rozszedł się odór rozgniecionego owada. Poruszyła się ręka. Głos zaczął mówić. McGuire wrzasnął. Ponieważ ręka, która znalazła się w kręgu światła, była zielona.

Zielona.

– Smith?

McGuire niezdarnie rzucił się z krzykiem przed siebie.

– On chodzi! Nie może chodzić, ale chodzi! Pod ciężarem McGuire’a drzwi ustąpiły.

Wokół niego zawodził siekący deszczem wiatr; McGuire bełkocząc pognął w burzę.

W hallu stała bez ruchu jakaś postać. Na górze drzwi otworzyły się szybko i Rockwell zbiegł ze schodów. Zielona ręka usunęła się z kręgu światła i schowała za plecami postaci.

– Kto tam? – Rockwell zatrzymał się w pół drogi.

Postać wystąpiła z mroku. Oczy Rockwella zwęziły się. – Hartley! Co ty tu robisz?.

– Coś się stało – odparł Hartley. – Sprowadź McGuire’a, wybiegł w deszcz bełkocząc jak wariat.

Rockwell nie zdradzał się ze swoimi podejrzeniami. Jednym szybkim spojrzeniem objął Hartleya i wybiegł w lodowaty wicher.

– McGuire! McGuire! Wracaj, idioto! Rockwell biegł nie zważając na deszcz. Znalazł McGuire’a szlochającego jakieś sto jardów od sanatorium.

– Smith... Smith chodzi...

– Bzdura. Hartley wrócił, i tyle.

– Widziałem zieloną rękę... ruszała się...

– Przyśniło ci się.

– Nie. Nie. – Twarz McGuire’a była papierowo-biała, mokra. – Widziałem zieloną rękę, wierz mi. Po co wrócił Hartley? On...

Na dźwięk nazwiska Hartleya Rockwell doznał nagłego olśnienia. Przez głowę przeleciała mu błyskawica strachu, gwałtowne ostrzeżenie, zębate ostrze bezgłośniego wołania o pomoc.

Gwałtownie odsuwając McGuire’a na bok, Rockwell obrócił się i krzycząc pobiegł z powrotem do sanatorium. Wpadł do hallu...

Drzwi do pokoju Smitha były wyważone.

Pośrodku pokoju stał z bronią w ręku Hartley. Odwrócił się słysząc nadbiegającego Rockwella. Zrobili to jednocześnie: Hartley pociągnął za spust, Rockwell zgasił światło.

Ciemność. W pokoju zajaśniał płomień oświetlając niby lampa błyskowa sztywno

leżące ciało Smitha. Rockwell rzucił się ku płomieniowi. Mimo głębokiego wstrząsu, jakiego doznał, zrozumiał, dlaczego Hartley wrócił. W mgnieniu oka, nim jeszcze zgasło światło, mignęły mu palce Hartleya.

Były kruche, zielono cętkowane.

A potem pięści. I padający nieprzytomnie Hartley, kiedy zapaliły się światła, i w drzwiach ociekający wodą McGuire, który zapytał:

– Czy... czy Smith został zabity? Smithowi nic się nie stało. Kula przeszła ponad nim.

– Co za dureń! Co za dureń! – wykrzykiwał Rockwell nad pozbawionym czucia Hartleyem. – Największa rewelacja w historii ludzkości, a ten próbuje ją zniszczyć!

Hartley powoli przychodził do siebie.

– Powinienem się tego spodziewać. Smith cię ostrzegł.

– Bzdura, on... – Rockwell przerwał, zdumiony. Tak, to nagłe olśnienie. Tak. Spojrzał na Hartleya ponuro. – Pójdiesz na górę. Zamknę cię na noc. I ciebie, McGuire, żebyś go pilnował.

McGuire zaskrzeczał:

– Ręka Hartleya. Spójrz na nią. Jest zielona. Wtedy w hallu to był Hartley, nie Smith!

Hartley przyglądał się swoim palcom.

– Ładne, co? – powiedział z goryczą. -

Przez dłuższy czas, na początku choroby Smitha, byłem w zasięgu tego promieniowania. Staję się takim samym stworem jak... on. Tak jest już od kilku dni. Ukrywałem to. Usiłowałem nic nie mówić. Ale dziś wieczór... nie mogłem dłużej wytrzymać i wróciłem, żeby zniszczyć Smitha za to, co mi zrobił...

Nagle rozdarł powietrze suchy trzask. Wszyscy trzej zastygli w oczekiwaniu.

Z kokona Smitha wystrzeliły w górę trzy delikatne łuski i lotem spiralnym opadły na podłogę.

Rockwell błyskawicznie znalazł się przy stole, wpatrzony w to, co się działo.

– Zaczyna pękać. Od obojczyka do pępka mikroskopijna szczelina! Już wkrótce wyjdzie z poczwarki!

McGuire'owi latały szczęki.

– I co wtedy?

Słowa Hartleya pełne były goryczy:

– Będziemy mieli nadczłowieka. Pytanie: jak wygląda nadczłowiek? Odpowiedź: nikt nie wie.

Odkoczyły następne łuski. McGuire wzdrygnął się.

– Będziesz próbował z nim rozmawiać?

– Oczywiście.

– A od kiedy to... motyle mówią?

– Na miłość boską, McGuire!

Zamknawszy bezpiecznie tamtych dwóch na górze, Rockwell sam poszedł do pokoju

Smitha i położył się na polowym łóżku, by spędzić na oczekiwaniu długą deszczową noc – obserwując, słuchając, myśląc.

Patrzył, jak delikatne łuski odpadają od marszczącej się skóry poczwarki, a z jej wnętrza delikatnie wydostaje się NIEZNANE.

Jeszcze parę godzin. Deszcz bębnił o dach budynku. Jak Smith może wyglądać? Pewnie będzie miał jakieś zmiany w uszach – przystosowanie do ostrzejszego słuchu; może dodatkowe oczy, zmiany w strukturze czaszki, układzie twarzy, kośćcu, rozmieszczeniu organów, fakturze skóry – tysiące zmian.

Rockwell czuł zmęczenie, a mimo to bał się zasnąć. Powieki ciężkie, ciężkie. A jeśli się myli? Jeśli jego teoria nie ma sensu? Jeśli Smith rzeczywiście jest wewnątrz jedynie ruchliwą galareta? A może to szaleniec, chory umysłowo, i jeszcze do tego groźny dla świata? Nie. Nie. Rockwell z pijackim uporem potrząsał głową. Smith jest doskonały. Doskonały. Nie ma w nim miejsca na zło. Doskonały. W sanatorium panowała śmiertelna cisza. Jedynym dźwiękiem był delikatny trzask spadających na podłogę łusek poczwarki.

Rockwell zasnął. Zapadł mrok, który skrył cały pokój podsuwając mu senne widziadła. W tych snach Smith wstał i szedł sztywnym krokiem, a Hartley z krzykiem zamierzał się na niego, waląc raz po raz lśniąca siekierą w zielony pancerz i zamieniając Smitha w jakąś płynną potworność. W tych” snach szlochający McGuire biegł wśród krwawego deszczu. W tych snach...

Blask słoneczny. Upał w całym pokoju. Ranek. Rockwell przetarł oczy, zaniepokojony faktem, że ktoś podniósł żaluzje. Ktoś... zerwał się na nogi! Słońce! Żaluzje w żaden sposób nie mogły zostać podniesione. Były opuszczone od tygodni! Rockwell krzyknął.

Drzwi stały otworem. W sanatorium panowała cisza. Nie mając odwagi odwrócić głowy, spojrzął na stół. Powinien leżeć na nim Smith. Ale nie leżał.

Na stole nie było nic poza blaskiem słonecznym. Słonecznym blaskiem i rozrzuconymi szczątkami poczwarki. Szczątkami.

Kruche czerepy, jakiś kształt pęknięty na dwoje, ułamek skorupy okrywającej udo, pozostałości ramienia, kawałek klatki piersiowej – połamane resztki!

Smith zniknął. Rockwell, zdruzgotany, przywłókł się do stołu. Grzebał jak dziecko pośród szeleszczących papirusów skóry. A potem obrócił się jak pijany, zataczając się wyszedł z pokoju i wbiegł na schody z krzykiem.

– Hartley! Co z nim zrobiłeś? Hartley! Czy wyobrażasz sobie, że możesz go

zabić, zniszczyć ciało i zostawić parę łusek dla zamydlenia mi oczu?

Drzwi pokoju, w którym spali Hartley i McGuire, były zamknięte. Rockwell majstrował przy nich chwilę nieporadnie, zanim je otworzył. Zastał w środku obydwóch: i Hartleya, i McGuire'a.

– Jesteś tutaj – powiedział w osłupieniu. – A więc nie byłeś na dole. A może otworzyłeś drzwi, zszedłeś na dół, włamałeś się, zabiłeś Smitha i... nie, nie.

– Co się stało?

– Smith zniknął! McGuire, czy Hartley wychodził z tego pokoju?

– Nie ruszył się stąd przez całą noc.

– Wobec tego istnieje tylko jedno wyjaśnienie: Smith opuścił poczwarkę i uciekł! Nigdy go już nie zobaczę, nigdy nie zdołam go zobaczyć, do diabła! Co za idiota ze mnie, że zasnąłem!

– Otóż właśnie! – oświadczył Hartley. – Ten człowiek jest niebezpieczny.

W przeciwnym razie zostałby i pokazał się nam. Bóg jeden wie, kim on jest!

– Musimy go znaleźć. Nie mógł odejść daleko. Musimy go szukać. Szybko, Hartley! McGuire!

McGuire usiadł ciężko.

– Ja tam się nie ruszam. Niech się sam znajdzie. Ja już mam dosyć.

Rockwell nie zwlekał ani chwili dłużej. Zbiegł na dół, a tuż za nim Hartley. McGuire, zaspany, dogonił ich w chwilę później.

Rockwell miotał się w hallu na dole, wreszcie zapatrzył się w szerokie okna, wychodzące na pustynię i góry, na których lśniło poranne słońce. Wyrżał i zastanowił się, czy w ogóle istniała jakakolwiek szansa na znalezienie Smitha. Pierwsza nadistota. Być może pierwsza, która zapoczątkuje cały nowy gatunek. Rockwell pocił się. Smith by nie odszedł nie pokazawszy się przynajmniej jemu. Nie mógł odejść. A może mógłby?

Drzwi do kuchni otworzyły się powoli.

W progu ukazała się noga, potem druga, a na tle ściany uniesiona ręka.

Z zamkniętych ust unosił się dym papierosowy.

– Czy ktoś mnie szukał?

Rockwell, osłupiały, obrócił się. Widział wyraz twarzy Hartleya, widział, jak McGuire'a zatkało ze zdumienia. Wszyscy trzej powiedzieli jednocześnie jak na komendę:

– Smith!

Smith wydychał dym papierosowy. Twarz miał zaczerwienioną, jakby świeżo opaloną, oczy migotliwe, niebieskie. Był bosy, a na gołym ciele nie miał nic poza starym fartuchem Rockwella.

– Czy moglibyście mi powiedzieć, gdzie ja jestem? Co się ze mną dzieło przez



ostatnie trzy-cztery miesiące? Czy to jest... szpital?

Rockwell, oszołomiony, zapomniał języka w gębie. Przełknął ślinę.

– Jak się masz. To ja. To znaczy... nie pamięta pan... nic?

Smith pokazał czubki palców.

– Pamiętam, jak zacząłem zielenieć, jeśli o to panu chodzi. A poza tym – nic. –

Różową dłonią przecesał swoje kasztanowate włosy z wigorem istoty nowo narodzonej, szczęśliwej, że znów może oddychać.

Rockwell oparł się o ścianę. Dramatycznym gestem wznosił ręce do twarzy i potrząsnął głową. Nie wierząc własnym oczom powiedział:

– O której godzinie wyszedł pan z poczwarki?

– O której godzinie wyszedłem... skąd? Rockwell poprowadził go przez hali do sąsiedniego pokoju i wskazał na stół.

– Zupełnie nie wiem, o czym pan mówi -: powiedział Smith szczerze zdziwiony.

– Pół godziny temu stwierdziłem, że stoję w tym pokoju zupełnie nago, jak mnie Pan Bóg stworzył.

– I to wszystko? – spytał McGuire z nadzieją. Robił wrażenie, jakby odczuł ulgę.

Rockwell wyjaśnił mu pochodzenie leżącej na stole poczwarki.

Smith zmarszczył czoło.

– To niedorzeczne. A kim wy jesteście? Rockwell przedstawił tamtych dwóch.

Smith spojrział na Hartleya spode łba.

– Pan przyszedł, kiedy zachorowałem, prawda? Pamiętam. W zakładach atomowych. Ale to jest bez sensu. Co to była za choroba?

Mięśnie twarzy Hartleya były mocno napięte.

– To nie żadna choroba. Czy pan nie wie nic na ten temat?

– Wiem tyle, że znalazłem się wśród nie znanych ludzi w nie znanym sanatorium, nagi, w pokoju, w którym spał na łóżku polowym jakiś człowiek. Błąkałem się po tym budynku, wygłodniały. Trafiam do kuchni, znajduję jedzenie, jem, słyszę podniecone głosy, a potem zarzuca mi się, że wyszedłem z jakiejś poczwarki. Co mam o tym wszystkim myśleć? Aha, przy okazji, dziękuję za ten fartuch, jedzenie i papierosa, którego sobie pożyczyłem. Przede wszystkim nie chciałem pana obudzić, panie Rockwell. Nie miałem pojęcia, kim pan jest, ale robił pan wrażenie śmiertelnie zmęczonego.

– Ach, głupstwo. – Rockwell nie mógł w to uwierzyć. Wszystko się waliło.

Z każdym słowem Smitha jego nadzieje pryskały niby skorupka poczwarki. – Jak pan się czuje?

– Wspaniale. Jestem pełen sił. To dziwne, kiedy się weźmie pod uwagę, jak długo byłem nieprzytomny.

– Bardzo dziwne – rzekł Hartley.

– Możecie sobie wyobrazić, co czułem, kiedy zjrzałem do kalendarza. Wszystkie te miesiące – fiut! – stracone. Zastanawiam się, co przez ten cały czas robiłem.

– My też. McGuire roześmiał się.

– Daj mu spokój, Hartley. Tylko dlatego, że go nienawidziłeś...

– Nienawidził? – Brwi Smitha uniosły, się w górę. – Mnie? Dlaczego?

– O! Dlatego! – Hartley pokazał palce. – To przez tamto pańskie przekłete promieniowanie. Noc w noc czuwałem przy panu w pańskim laboratorium. I co ja mam teraz z tym zrobić?

– Hartley – ostrzegł go Rockwell – siedź cicho.

– Nie mam zamiaru siedzieć cicho! Czyście się obaj dali nabrać tej imitacji człowieka, temu różowemu osobnikowi, wierzycie w największą mistyfikację świata? Gdybyście mieli choć odrobinę zdrowego rozsądku, zabilibyście go, zanim zdoła uciec!

Rockwell przeprosił Smitha za wybuch Hartleya.

Smith potrząsnął głową.

– Nie szkodzi. Niech mówi. O co właściwie chodzi?

– Już wiesz, o co chodzi! – wykrzyknął Hartley ze złością. – Leżałeś tam miesiącami, słuchając, planując. Ale mnie nie oszukasz. Rockwell dał się nabrać. Wyobrażał sobie, że jesteś nadczłowiekiem. Może ma rację. Ale w każdym razie nie jesteś Smithem. Już nie. To po prostu jeszcze jedna twoja sztuczka. My mieliśmy nie wiedzieć o tobie wszystkiego i świat miał o tobie nie wiedzieć. Mogłeś nas zabić, zupełnie łatwo, ale wolałeś się przyczać, żeby nas przekonać, że jesteś normalny. Sprytny sposób. Mogłeś uciec kilka minut temu, ale obudziłyś w ten sposób podejrzenia. Dlatego czekałeś, żeby nas przekonać, że jesteś normalny.

– Ale on jest normalny – jęknął McGuire.

– Nie, nie jest. Ma inny umysł. Jest inteligentny.

– To poddaj go testowi na skojarzenia słowne – zaproponował McGuire.

– Na to też jest za inteligentny.

– Wobec tego sprawa jest prosta. Zrobimy mu badanie krwi, posłuchamy serca i wstrzykniemy różne surowice.

Smith miał niepewną minę.

– Czuję się jak królik doświadczalny, ale jeżeli chcecie... To jest wszystko bez sensu.

Hartley był wstrząśnięty. Spojrzał na Rockwella.

– Przynieś strzykawki.

Rockwell przyniósł strzykawki myśląc gorączkowo. A może mimo wszystko Smith jest nadczłowiekiem. Jego krew. Superkrew, z jej właściwościami bakteriofagowymi. Serce. Oddech. Może Smith jest nadczłowiekiem sam o tym nie

wiedząc. Tak. Tak, może...

Rockwell pobrał Smithowi krew i wziął próbkę pod mikroskop. Opuścił rękę. Była to normalna krew. Kiedy wprowadziło się do niej zarazki, ginęły w zwykłym czasie; już nie miała właściwości bakteriobójczych. I nie było w niej już płynu x. Rockwell westchnął zdruzgotany. Temperaturę Smith też miał normalną. I puls. Narządy zmysłów i system nerwowy działały prawidłowo.

– No tak, to przesądza sprawę – powiedział Rockwell cicho.

Hartley z szeroko otwartymi oczyma opadł na krzesło, trzymając głowę w kościstych dłoniach. Westchnął głęboko.

– Przepraszam. Poniosła mnie wyobraźnia. Te miesiące tak się wlokły. Noc za nocą. Ogarnął mnie obsesyjny lęk. Zrobiłem z siebie idiotę. Przepraszam.

Przepraszam bardzo. – Wpatrywał się w swoje zielone palce. – A co ze mną?

Smith powiedział:

– Ja wyzdrowiałem, to i pan wyzdrowieje. Współczuję panu. Ale to wcale nie było takie straszne... Kompletnie nic nie pamiętam.

Hartley odprężył się.

– Ma pan rację. Nie zachwyca mnie perspektywa tego, że całe moje ciało zeszywnieje, ale co ja na to poradzę. W końcu nic się nie stanie.

Rockwell był wykończony. Załamał się pod wpływem straszliwego zawodu. Zapał, energia, głód, ciekawość, ogień – wszystko go nagle opuściło. A więc to był człowiek, który wyszedł z poczwarki? Po prostu ten sam, który się w nią zamienił. Na nic całe to oczekiwanie i dociekania.

Odetchnął głęboko usiłując uporządkować rozbiegane myśli. Chaos. Ten różowy na twarzy facet o rześkim głosie, który siedział przed nim i najspokojniej palił papierosa, nie był nikim innym jak człowiekiem dotkniętym częściowym stwardnieniem skóry, człowiekiem, którego gruczoły pod wpływem promieniowania przestały na jakiś czas normalnie pracować, ale mimo wszystko był to tylko człowiek, nic więcej. Umysł Rockwella, jego nadmiernie rozbudzona wyobraźnia uczepiły się poszczególnych elementów choroby podporządkowując wszystko jednolitej koncepcji podyktowanej pobożnym życzeniem. Rockwell był głęboko wstrząśnięty, poruszony i rozczarowany.

To, że Smith utrzymywał się przy życiu bez pożywienia, jego czysta krew, niska temperatura i inne dowody wyższości były teraz jedynie objawami dziwnej choroby. Choroby i niczego więcej. Czegoś, co przeminęło, znikło, pozostawiając po sobie jedynie kilka kruchych skorupki na zalanym blaskiem słonecznym stole. Jeżeli choroba Hartleya się rozwinie, będzie przynajmniej okazja zaobserwować jej postępy i wzbogacić medycynę o jej opis.

Ale Rockwella nie interesowała choroba.

Jego interesowała doskonałość. A ta doskonałość została podarta w strzępy, przepadła. Wraz z nią przepadło jego marzenie. I jego nadistota. Dla niego cały świat mógł teraz stwardnieć, zzielenieć, okryć się idiotyczną skorupą. Smith ścisnął wszystkim dokoła ręce.

– Ja już chyba będę wracał do Los Angeles. Czekają na mnie ważne sprawy w moim zakładzie. Praca na mnie czeka. Przykro mi, że nie mogę zostać. Ale rozumiecie.

– Powinien pan tu u nas przynajmniej parę dni wypocząć – powiedział Rockwell. Nie mógł się pogodzić z tym, że ulatują ostatnie strzępy jego snów.

– Nie, dziękuję. Jeśli pan pozwoli, doktorze, wpadnę do pana za jakiś tydzień na badanie. A w przyszłym roku będę przychodził na oględziny co parę tygodni, zgoda?

– Zgoda. Zgoda, Smith. Proszę przychodzić. Chciałbym z panem porozmawiać na temat, pańskiej choroby. Ma pan szczęście, że pan żyje.

McGuire powiedział radośnie:

– Odwiozę pana do Los Angeles.

– Proszę się nie fatygować. Pójdę do Tujungy i wezmę taksówkę. Chętnie się przejdę. Tak dawno nie chodziłem, że już zapomniałem, jakie to uczucie.

Rockwell pożyczył mu stare buty i stary garnitur.

– Dziękuję, doktorze. Ureguluję wszystko, co jestem panu winien, jak tylko będę mógł.

– Nic mi pan nie jest winien. To było bardzo interesujące.

– No cóż, do widzenia, doktorze. Do widzenia, McGuire, Hartley.

– Do widzenia, Smith.

– Do widzenia.

Udał się ścieżką w kierunku starego łożyska potoku, wysuszonego przez popołudniowe słońce na pieprz. Szedł lekko, radośnie pogwizdując.

Chciałbym teraz móc pogwizdywać – pomyślał Rockwell, zmęczony.

Smith odwrócił się, pomachał im i zaczął się wspinać na wzgórze, oddalając się ku odległemu miastu.

Rockwell patrzył za nim z takim uczuciem jak małe dziecko, które widzi, że fala podmyła, a następnie zabrała wzniesiony z trudem zamek z piasku.

– Nie mogę w to uwierzyć – powtarzał w kółko. – Nie mogę w to uwierzyć. Wszystko skończyło się tak szybko, tak gwałtownie. Jestem zupełnie otępiały, pusty w środku.

– Dla mnie wszystko przedstawia się różowo – zachichotał radośnie McGuire.

Hartley stał w słońcu. Jego zielone ręce zwisały swobodnie po bokach, blada twarz po raz pierwszy od miesiący była odprężona. Rzekł cicho:

– Wyjdę z tego w końcu. W końcu z tego wyjdę. Dzięki Bogu. Nie będę

potworem. Nie będę niczym innym, tylko sobą, – Zwrócił się do Rockwella: – Pamiętaj, proszę cię, pamiętaj, żeby mnie przez pomyłkę nie pogrzebali. Żeby mnie tylko nie pochowali żywcem. Pamiętaj.

Smith szedł pod górę ścieżką wiodącą przez wyschnięte łożysko strumyka. Zapadał wieczór i słońce chowało się już za błękitnymi wzgórzami. Pojawiły się pierwsze gwiazdy. W nagrzanym powietrzu unosił się zapach wody, kurzu i kwiatu pomarańczy.

Zerwał się wiatr. Smith oddychał głęboko. Szedł.

Kiedy był już niewidoczny, z dala od sanatorium, zatrzymał się i stał chwilę bez ruchu. Spojrzał w niebo.

Rzucił na ziemię papierosa i zgniótł go dokładnie obcasem. Następnie wyprostował swoją zgrabną postać, odrzucił do tyłu kasztanowate włosy, zamknął oczy, przełknął ślinę i rozluźnił ręce.

Bez najmniejszego wysiłku, z lekkim tylko poszumem, wzniosł się łagodnie w ciepłe powietrze.

Szybko, cicho wzbił się w górę i ulatując w kosmos zniknął wśród gwiazd...

*Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz*

## ŚLUP OGNI

Wyszedł z ziemi nienawidząc. Nienawiść była mu ojcem; nienawiść była mu matką.

Dobrze jest znowu chodzić. Dobrze tak wyskoczyć z ziemi, podnieść się, mocno rozprostować zdrętwiałe ręce i spróbować głęboko wciągnąć powietrze.

Spróbował. Krzyknął.

Nie mógł oddychać. Wyrzucił ręce w górę i próbował oddychać. Nie mógł. Chodził po ziemi, wyszedł z ziemi. Ale był martwy. Nie mógł oddychać. Mógł nabrać powietrza w usta i siłą wtłoczyć do gardła słabymi ruchami długo drzemiących mięśni – zaciekle, zajadle! I o tej odrobinie powietrza mógł krzyczeć i wrzeszczeć! Pragnął zapłakać, ale łzy także nie chciały płynąć. Wiedział tylko, że stoi wyprostowany, że jest martwy i że nie powinien móc chodzić! Nie oddychał, a jednak stał.

Zewsząd otaczały go zapachy świata. Daremnie próbował złowić zapach jesieni. Jesień doszczętnie spaliła ziemię. Wszędzie wokół leżały ruiny lata; rozległe lasy kwitły płomieniem, który powalał coraz to nowe drzewa na leżące już, bezlistne pnie. Dym spalenizny był obfity, niebieski i niewidoczny.

Stał na cmentarzu nienawidząc. Chodził po świecie, a mimo to nie czuł ani jego smaku, ani zapachu. Czy słyszał? Tak. Wiatr świstał mu w na nowo otwartych uszach. Ale był martwy. Chociaż chodził, wiedział, że jest martwy i że nie powinien zbyt wiele oczekiwać od siebie ani od znenawidzonego żyjącego świata.

Dotknął płyty na swym własnym pustym grobie. Znow wiedział, jak się nazywa. Była to dobra rzeźbiarska robota.

William Lantry Tak było napisane na nagrobku.

Jego palce drżały na zimnej powierzchni kamienia... Ur. 1898 – Zm.

Urodzony ponownie...?

W którym roku? Wlepił oczy w niebo i w jesienne gwiazdy świecące o północy, sunące w powolnych iluminacjach poprzez wietrzną czerń. W gwiazdach tych wyczytał piętno stuleci. Orion tak i tak. Auriga tutaj! A gdzie Taurus? Taam!

Zmrużył oczy. Jego wargi wypowiedziały rok cyfra po cyfrze:

– 2349.

Dziwna liczba. Jak suma w szkole. Mówiono, że człowiek nie może objąć umysłem żadnej liczby przekraczającej setkę. Dalej wszystko wydaje się tak cholerną abstrakcją, że liczenie nie ma sensu. Więc to rok 2349! Jakiś liczebnik, jakaś suma. I on – człowiek, który leżał w swojej znenawidzonej trumnie i nienawidził za to, że został pogrzebany; nienawidził ludzi żyjących nad nim, żyjących bez końca, nienawidził ich przez wszystkie te wieki, aż do dziś; a teraz, zrodzony z nienawiści, stał przy swym własnym, dopiero co rozkopanym grobie. Być może w powietrzu

unosił się zapach świeżej ziemi, ale on go nie czuł!

– Jestem anachronizmem – powiedział, zwracając się do wstrząsanej wiatrem topoli. Uśmiechnął się blado.

Popatrzył na cmentarz, zimny i pusty. Wszystkie nagrobki wyrwano i jak płaskie cegły ułożono w stos jeden na drugim w odległym kącie przy ogrodzeniu z kutego żelaza.

Praca ta trwała przez dwa ciągnące się bez końca tygodnie. W swej głęboko zakopanej trumnie słyszał bezlitosną, zacieklą krzątaninę ludzi, którzy dźgali ziemię zimnymi łopatami, wydzierali trumny i zabierali wyschnięte, wiekowe ciała do spalenia. Skręcając się ze strachu czekał, aż przyjdą po niego.

Dziś dotarli do jego trumny, ale było już późno. Od pokrywy dzieliły ich tylko centymetry, gdy zabrzmiał dzwonek na piątą. Czas kończyć i iść do domu na kolację. Robotnicy odeszli. Nakładając płaszcze powiedzieli, że jutro dokończą pracę. Na pustym cmentarzu zapanowała cisza. Powoli, ostrożnie, z cichym turkotem grudek darniny uniosła się pokrywa trumny.

I teraz, drżąc, William Lantry stał na ostatnim cmentarzu na Ziemi.

– Pamiętasz? – zapytał sam siebie, patrząc na świeżą ziemię. – Pamiętasz te historyjki o ostatnim człowieku na Ziemi? O ludziach samotnie błakających się wśród ruin? A więc, ty, Williamie Lantry, przywodzisz te historyjki na pamięć. Zdajesz sobie z tego sprawę? Jesteś ostatnim martwym człowiekiem na całym bożym świecie!

Więcej martwych już nie ma. Nigdzie, w żadnym kraju nie ma jednej martwej osoby. Że niemożliwe? Lantry'emu nie było wesoło. Owszem, możliwe w tych głupich, sterylnych, pozbawionych wyobraźni, antyseptycznych czasach superczystości i naukowych metod!

Mój Boże, ludzie oczywiście umierają. Ale martwi? Zwłoki? Nie istnieją!

Co się dzieje ze zmarłymi?

Cmentarz leżał na wzgórzu. William Lantry szedł w ciemnościach palącej nocy, aż dotarł do skraju cmentarza i spojrzął na leżące w dole miasto – nowe Salem. Całe było rozświetlone i kolorowe. Statki rakietowe przecinały ogień nad miastem i sunęły po niebie do wszystkich odległych portów Ziemi.

Nowy rodzaj przemocy tego świata przyszłości dotarł do jego grobu i wsączył się w Williama Lantry'ego. Zalewany był nią latami. Wiedział o niej wszystko – świadomością martwego człowieka, który nienawidzi.

Najważniejsze to dowiedzieć się, co ci głupcy robią ze zmarłymi.

Podniósł wzrok. W środku miasta stał masywny, kamienny palec i celował w gwiazdy. Był wysoki na sto metrów i szeroki na piętnaście. Z przodu znajdowało się obszerne wejście z podjazdem.

Powiedzmy, że w mieście umiera człowiek – pomyślał William Lantry. – Za

chwilę będzie martwy. Co się wtedy dzieje? Ledwo puls mu ustaje, natychmiast przygotowuje się akt zgonu, krewni pakują go do samochodu-żuka i pośpiesznie wywożą do...

Krematorium!

To ten funkcjonalny palec, ten słup ognia strzelający w gwiazdy. Krematorium. Funkcjonalna, potworna nazwa. Ale taka jest prawda w tym świecie przyszłości.

Pana Zmarłego wrzuca się do pieca jak drewno na podpałkę. Fiuut!

William Lantry patrzył na koniec gigantycznego pistoletu wycelowanego w gwiazdy. Dobywała się stamtąd cienka smuga dymu. Właśnie tam kierowano zmarłych. – Uważaj na siebie, Williamie Lantry – mruknął. – Jesteś ostatni. Rzadki okaz, ostatni martwy człowiek. Wszystkie cmentarze na Ziemi wysadzono w powietrze. To ostatni cmentarz, a ty jesteś ostatnim martwym człowiekiem z minionych wieków. Ci ludzie nie wierzą, że wśród nich są zmarli, a tym bardziej zmarli, którzy chodzą. Wszystko, czego nie można wykorzystać, idzie z dymem jak zapalka, łącznie z przesadami!

Popatrzył na miasto. W porządku – pomyślał spokojnie. Nienawidzę was i wy mnie nienawidzicie, a raczej nienawidzilibyście, gdybyście wiedzieli, że istnieję. Nie wierzycie w takie rzeczy, jak wampiry czy duchy. Krzyczycie, że to nazwy bez desygnatów! Wyśmiewacie to. Dobrze, wyśmiewajcie. Szczerze mówiąc, ja też w was nie wierzę! Nie lubię was! Was i tych waszych krematoriów.

Zadrzał. Tak niewiele brakowało. Dzień w dzień wyciągali innych zmarłych i palili jak smolne drzazgi. Na całym świecie ogłoszono dekret. Słyszał rozmowę robotników w czasie kopania.

– Uważam, że to dobry pomysł zrobić porządek z tymi cmentarzami – powiedział jeden z ludzi.

– No chyba – odparł drugi – ohydny zwyczaj. Wyobrażasz sobie? Być zakopanym! Jakie to niezdrowe! I te robaki!

– Wstyd. Trochę to niby romantyczne zostawić nietknięty ten jeden cmentarz przez całe wieki. Z innymi zrobiono porządek. W którym to było roku, Bili?

– Sądzę, że około 2260. Taa, to było w 2260, prawie sto lat temu. Członkowie jakiegoś komitetu w Salem poczuli się ważni i powiedzieli: „Słuchajcie no, zostawmy po prostu jeden cmentarz, żeby nam przypominał o zwyczajach barbarzyńców”. I rząd poskrobał się po głowie, przemyślał sprawę i powiedział: „Dobra. Niech to będzie Salem. Ale ze wszystkimi innymi cmentarzami koniec, rozumiecie, ze wszystkimi!”

– I skończyli z nimi – powiedział Jim.

– Jasne, załatwili je ogniem, koparkami i raketowymi odkurzaczami. Jeśli ktoś był pochowany na pastwisku, a oni o tym wiedzieli, załatwiali i jego. Oczyszczili wszystko, oj, oczyszczili! Wiesz, trochę to okrutne.



– Nie chciałbym być zacofany, ale tylu turystów przyjeżdżało tu co roku, żeby tylko zobaczyć, jak wygląda prawdziwy cmentarz.

– Racja. Przewinęło się ich prawie milion w ciągu ostatnich trzech lat. Dali nieźle zarobić. Ale zarządzenie jest zarządzeniem. Rząd mówi „skończyć z brudami”, więc je załatwiamy. No, to zaczynamy. Podaj łopate, Jim.

William Lantry stał na wzgórzu w podmuchach jesiennego wiatru. Dobrze jest znowu chodzić, czuć wiatr i słyszeć szelest liści umykających na pobliskiej drodze jak myszy. Dobrze widzieć zimne gwiazdy, które wiatr niemal zdmuchuje.

A nawet dobrze znowu odczuwać lęk.

Jego lęk bowiem wzrastał, a on nie mógł go od siebie odegnąć. Sam fakt, że chodził, czynił z niego wroga. A na całym świecie nie było przyjaciela, drugiego martwego człowieka, do którego można by zwrócić się o pomoc lub pocieszenie. Cały ten melodramatyczny świat żyjących był przeciwko jednemu Williamowi Lantry'emu. Ten cały świat, który nie wierzył w wampiry, palił ciała i unicestwiał cmentarze, był przeciwko człowiekowi w czarnym garniturze stojącemu na ciemnym, jesiennym wzgórzu. Wyciągnął swe blade, zimne ręce w kierunku światła miasta. Powyrywaliście nagrobki z cmentarza jak zęby – pomyślał. A ja za to znajdę jakiś sposób, by porozwalać te wasze krematoria. Znowu stworzę martwych ludzi i w ten sposób będę miał przyjaciół. Nie mogę być sam jak palec. Muszę szybko rozpocząć produkcję przyjaciół. Dziś w nocy.

– Wojna wypowiedziana – stwierdził i roześmiał się. Niezbyt to rozsądne, żeby jeden człowiek wypowiadał wojnę całemu światu.

Świat na to nie zareagował. Ciągnąc za sobą smugę ognia, jakaś rakietka przecięła niebo; wyglądała jak odlatujące krematorium.

Lantry usłyszał kroki. Pośpieszył do skraju cmentarza. Czyżby wracali kopacze, żeby skończyć pracę? Nie. Po prostu ktoś przechodził. Jakiś mężczyzna.

Kiedy doszedł do bramy cmentarza, Lantry szybko wyszedł.

– Dobry wieczór! – powiedział mężczyzna, uśmiechając się.

Lantry uderzył go w twarz. Mężczyzna upadł. Lantry spokojnie pochylił się i kantem dłoni zadał mu śmiertelny cios w szyję.

Wciągnąwszy ciało w cień, rozebrał martwego mężczyznę i zamienił ubrania. Staromodny garnitur nie nadawał się dla faceta włóczącego się po tym świecie przyszłości. W płaszczu mężczyzny znalazł mały scyzoryk. Niezbyt wielki był to nóż, ale wystarczający, jeśli się umie nim posługiwać. A on umiał.

Przetoczył ciało do jednego z otwartych już, i opróżnionych grobów. W minutę przysypał zwłoki warstwą ziemi wystarczająco grubą, by je ukryć. Mało prawdopodobne, żeby je znaleźli. Przecież nie będą rozkopywali tego samego grobu dwukrotnie.

Poprawił na sobie swój nowy, luźny metaliczny garnitur. Świetnie, wspaniale. William Lantry z nienawiścią schodził w kierunku miasta, by walczyć z Ziemią.

## II

Krematorium było otwarte. Nigdy się nie zamykało. Prowadziło doń szerokie, dyskretnie oświetlone wejście z dojazdem i lądowiskiem dla helikopterów. Samo miasto zasypiało po kolejnym pracowitym dniu. Przygasały światła, a jedynym spokojnym, oświetlonym miejscem w mieście było teraz krematorium. Boże! Co za praktyczna i nieromantyczna nazwa.

William Lantry wszedł w szerokie, dobrze oświetlone wejście. Było to prawdziwe wejście – bez drzwi, które trzeba otwierać i zamykać. Ludzie mogli swobodnie wchodzić i wychodzić, a wewnątrz – czy to zimą, czy latem – było zawsze ciepło. Ciepło od ognia, z szumem pośpiesznie ulatującego kominem” przez który wirniki, śmigła i dmuchawy wyrzucały drobiny szarego popiołu na piętnastokilometrowy spacer po niebie.

Było to ciepło piekarni. Sale wyłożono gumą. Nikt nie mógł hałasować, nawet gdyby chciał. Skądś z ukrycia płynęła muzyka. Nie była to wcale muzyka śmierci, tylko muzyka życia; żyjącego w krematorium słońca albo w każdym razie jego najbliższego krewniaka – co pozwalało łatwiej znieść obecność ognia szalejącego za grubą ścianą z cegieł.

William Lantry zszedł z rampy. Usłyszał za sobą szmer i obejrzał się. Jakiś pojazd-żuk zatrzymał się przed wejściem. Zadzwoił dzwonek. Jakby na dany sygnał, muzyka osiągnęła ekstatycznie wysoką nutę. Była w niej radość.

Z żuka, otwierającego się z tyłu, wyszła obsługa niosąc złotą skrzynię, która miała dwa metry długości i pokrywały ją symbole słońca. Z innego żuka wyszli krewni człowieka w skrzyni i ruszyli w ślad za nią w kierunku jakiegoś ołtarza. Z boku ołtarza był napis: ZE SŁOŃCA POWSTAŁEŚ I DO SŁOŃCA WRÓCISZ. Skrzynię postawiono na ołtarzu, muzyka nagle zagrała w wysokich rejestrach, kierownik krematorium powiedział tylko parę słów, a potem obsługa wzięła złotą skrzynię, podeszła do przezroczystej ściany i równie przezroczystej śluzy bezpieczeństwa, która została otwarta. Skrzynię wsunięto w szklany otwór. Po chwili otworzyły się wewnętrzne drzwiczki i skrzynia, wtłoczona do przewodu kominowego, natychmiast zniknęła buchając płomieniem.

Obsługa odeszła. Krewni bez słowa odwrócili się i wyszli. Muzyka grała.

William Lantry zbliżył się do śluzы ogniowej. Zajrzał przez ścianę do ogromnego, żarzącego się bezustannie serca krematorium, które paliło się równomiernie, bez migotania, cichutko sobie podśpiewując. Ognia było tak dużo, że wyglądał jak złota

rzeka, wypływająca z ziemi w niebo. Cokolwiek wrzucono do tej rzeki, ulatywało w górę i znikalo.

Lantry znowu poczuł nienawiść do tej rzeczy, tego potwora – oczyszczającego ognia.

Obok niego stanął jakiś człowiek.

– Czym mogę panu służyć?

– Co? – Lantry odwrócił się gwałtownie. – Co pan powiedział?

– Czy mogę w czymś pomóc?

– Ja... znaczy... – Lantry rzucił krótkie spojrzenie na rampę i wyjście. Ręce mu się trzęsły. – Nigdy tu nie byłem.

– Nigdy? – zdziwił się pracownik. Lantry uświadomił sobie, że mówiąc to popełnił błąd. Ale co powiedział, to powiedział.

– To znaczy, niezupełnie – rzekł. – Jako dziecko człowiek jakoś nie zwraca na takie rzeczy uwagi. Dziś wieczorem nagle sobie uświadomiłem, że właściwie to ja nie znam krematorium.

Pracownik uśmiechnął się.

– Nigdy nic nie wiadomo, prawda? Z przyjemnością pana oprowadzę.

– O, nie. Proszę się nie trudzić. To... to jest cudowne miejsce.

– Tak, rzeczywiście – z dumą odpowiedział pracownik. – Sądzę, że to jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie.

Lantry uznał, że powinien udzielić więcej wyjaśnień.

– Niewielu moich krewnych umarło od czasu, gdy byłem dzieckiem. Właściwie nikt. Więc, widzi pan, nie byłem tu od lat.

– Aha! – twarz pracownika jakby z lekka pociemniała.

Co takiego teraz palnąłem? – pomyślał Lantry. – Gdzie, na Boga, popełniłem błąd? Co zrobiłem? Jeśli nie będę uważał, prędko wpadnę w tę ogniową pułapkę. Co się dzieje z twarzą tego faceta? Za bardzo się mną interesuje.

– Czy przypadkiem nie jest pan jednym z tych, co to niedawno wrócili z Marsa? – spytał pracownik.

– Nie. Dlaczego pan pyta?

– Głupstwo – pracownik zbierał się do odejścia. – Jeśli pan będzie czegoś potrzebował, proszę po prostu zwrócić się do mnie.

– Tylko jedno – powiedział Lantry.

– O co chodzi?

– Oto!

Lantry wymierzył mu ogłuszające uderzenie w szyję.

Fachowym okiem popatrzył na operatora ogniowej pułapki. Następnie trzymając w ramionach bezwładne ciało, nacisnął guzik, który otworzył ciepłe zewnętrzne

drzwiczki, umieścił ciało w otworze, usłyszał, jak muzyka głośnieje, i zobaczył, otwierające się drzwiczki wewnętrzne. Ciało wpadło do rzeki ognia. Muzyka przycichła.

– Dobra robota, Lantry, dobra robota.

W chwilę potem do sali wszedł inny pracownik. Zaskoczył Lantry'ego z wyrazem przyjemnego podniecenia na twarzy. Pracownik rozejrzał się, jakby kogoś szukał, i ruszył w kierunku Lantry'ego.

– Czym mogę panu służyć?, – Po prostu sobie patrzę.

– Jest dość późno – powiedział pracownik.

– Nie mogłem spać.

To również była niewłaściwa odpowiedź. W tym świecie spał każdy. Nikt nie cierpiał na bezsenność. A jeśli tak, to włączało się hipnotyzer i po sześćdziesięciu sekundach człowiek chrapał. Po prostu jest pełen niewłaściwych odpowiedzi. Najpierw popełnił ten fatalny błąd mówiąc, że nigdy przedtem nie był w krematorium. Wiedział przecież, że wszystkie dzieci, od czwartego roku życia, przywożą tu co rok na wycieczki, by wpoić im idee krematorium i czystej śmierci w ogniu. Śmierć jest jasnym płomieniem, ciepłem i słońcem, a nie ciemnym mrokiem. To ważny element ich wychowania. A on, błąd, bezmyślny głupiec, natychmiast zdradził się ze swoją ignorancją.

I jeszcze jedno – ta jego bladeść. Popatrzył na swoje ręce i uświadomił sobie z rosnącym przerażeniem, że blade ludzie również nie istnieją w tym świecie. Jego bladeść jest podejrzana. Dlatego pierwszy pracownik spytał, czy nie jest jednym z tych, co właśnie wrócili z Marsa. No i ten drugi: czysty, promienny, w kolorach – tryskający zdrowiem i energią. Lantry schował blade ręce do kieszeni. Ale był w pełni świadomy badawczych spojrzeń, którymi pracownik obrzucał jego twarz.

– To znaczy – rzekł Lantry – nie chciałem spać. Chciałem trochę pomyśleć.

– Czy przed chwilą odbywało się nabożeństwo? – spytał pracownik, rozglądając się dookoła.

– Nie wiem, dopiero co wszedłem.

– Wydawało mi się, że słyszałem, jak śluza ogniowa otwiera się i zamyka.

– Nie wiem – powiedział Lantry. Pracownik nacisnął jakiś guzik na ścianie.

– Anderson?

– Słucham.

– Poszukaj Saula, dobrze?

– Zadzwoń na korytarze. – A po chwili: – Nie mogę go znaleźć.

– Dziękuję – pracownik był zaintrygowany. Zaczął poruszać nozdrzami, jakby chciał złowić jakiś zapach.

– Czy pan... czy pan czymś nie pachnie? Lantry pociągnął nosem.

– Nie. Dlaczego?

– Coś czuję.

Lantry ujął w kieszeni scyzoryk. Czekał.

– Pamiętam, gdy byłem dzieckiem – powiedział mężczyzna – znaleźliśmy martwą krowę na polu. Leżała tam dwa dni w upalnym słońcu. To ten sam zapach. Ciekaw jestem, skąd się wziął?

– Och, wiem skąd – powiedział Lantry spokojnie. Wyciągnął rękę. – Stąd.

– Cooo!?

– To ja tak pachnę oczywiście.

– Pan?

– Nie żyję od kilkuset lat.

– Dziwne żarty się pana trzymają – mężczyzna był zaintrygowany.

– Bardzo dziwne – Lantry wyjął scyzoryk. – Wie pan, co to jest?

– Scyzoryk.

– Czy próbujecie jeszcze scyzoryków na ludziach?

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– No, czy zabijacie ich za pomocą noży, rewolwerów albo trucizny?

– Naprawdę dziwne żarty się pana trzymają – mężczyzna uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Mam zamiar pana zabić – powiedział Lantry.

– Nikt nikogo nie zabija.

– Nikt więcej tego nie robi, ale w dawnych czasach się to robiło.

– Wiem.

– Będzie to więc pierwsze morderstwo od trzystu lat. Dopiero co zabiłem pańskiego kolegę. Przed chwilą wpakowałem go do pieca.

Uwaga ta wywarła pożądane wrażenie. Sparaliżowała mężczyznę tak kompletnie, wstrząsnęła nim tak dokładnie swoim brakiem logiki, że Lantry miał dość czasu, by doń podejść. Przyłożył mu nóż do piersi.

– Zabiję pana.

– To idiotyczne – powiedział odrętwiały mężczyzna. – Tego się nie robi.

– O, widzi pan, w ten sposób.

Nóż wbił się w klatkę piersiową mężczyzny, który patrzył przez chwilę wytrzeszczonymi oczami. Lantry przytrzymał padające ciało.

### III

Komin w Salem eksplodował tego ranka o godzinie szóstej. Wielkie palenisko

rozleciało się na dziesięć tysięcy kawałków, zasypując nimi ziemię, niebo i domy pełne śpiących ludzi. Wszędzie ogień i grzmoty; ogień większy od wywołanego przez jesień płonąca na wzgórzach.

W chwili wybuchu Lantry znajdował się pięć mil od miejsca eksplozji. Widział jedną wielką, rozszerzającą się kremację miasta. Pokiwał głową, zachichotał i z zadowoleniem zaklaskał w dłonie.

Poszło stosunkowo łatwo. Idziesz i zabijasz ludzi, którzy nie wierzą w mord, którzy słyszeli o nim pośrednio, jak o mglistym, przebrzmiałym, barbarzyńskim obyczaju. Wchodzisz do sterowni krematorium i pytasz, jak to się obsługuje, a operator wszystko ci wyjaśnia, bo w tym świecie przyszłości każdy mówi prawdę, nikt nie kłamie, ponieważ nie ma powodu kłamać: nie istnieje po prostu żadne niebezpieczeństwo, którego można uniknąć kłamiąc. Na świecie jest tylko jeden zbrodniarz i nikt nie wie, że ON jeszcze istnieje.

Och, niewiarygodnie pomyślna sytuacja. Operator po prostu mu powiedział, jak działa krematorium, które regulatory ciśnienia sterują przepływem ognia w przewodzie kominowym i które dźwignie należy przestawiać. Lantry przyjemnie sobie z nim porozmawiał. Spokojny, wolny świat, w którym ludzie darzą się wzajemnie zaufaniem. W chwilę później Lantry zatopił nóż w ciele operatora i nastawił regulatory ciśnienia na maksimum, z półgodzinnym opóźnieniem, i pogwizdując opuścił pomieszczenia krematorium.

Teraz nawet niebo okrywała ogromna, czarna chmura od wybuchu.

– To dopiero pierwsze – powiedział Lantry, patrząc w niebo. – Ale rozwalę wszystkie, zanim ktokolwiek zacznie podejrzewać, że jest na swobodzie człowiek pozbawiony moralności. Nie wzięli pod uwagę takiego odszczepieńca jak ja. Jestem poza zasięgiem ich pojmwania. Jestem niepojęty, niemożliwy, a więc nie istnieję. Mój Boże, mogę wymordować setki tysięcy, zanim uświadomią sobie, że znów jest morderca na świecie. Za każdym razem mogę to robić tak, by wyglądało na wypadek. Pomysł jest tak wspianiały, że aż niewiarygodny!

Ogień palił miasto, a Lantry długo siedział pod drzewem; aż do rana. Wówczas znalazł jakąś pieczarę wśród wzgórz i wszedł do niej, by się przespać.

O zachodzie słońca zbudził go nagle sen o ogniu. Śniło mu się, że wpełznął do krematorium, gdzie płomienie rozerwały go na kawałki i gdzie spłonął doszczętnie. Usiadł na ziemi, uśmiechnął się do siebie. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Zszedł do miasta i znalazł budkę telefoniczną. Nakręcił numer centrali.

– Proszę z policją.

– Co proszę? – powiedziała telefonistka. Spróbował jeszcze raz.

– Z Siłami Porządkowymi – rzekł.

– Połączę pana z Sekcją do Spraw Pokoju – powiedziała w końcu.

Poczuł lekkie pulsowanie strachu, jak tykanie małego zegarka. Przypuścimy, że telefonistka uznała słowo „policja” za anachronizm, zapisała numer budki, z której dzwonił, i wyśle kogoś, by zbadał sprawę. Nie, nie mogła tego zrobić. Dlaczego miałyby podejrzewać? Paranoicy nie istnieją w tej cywilizacji.

– Dobrze, z Sekcją do Spraw Pokoju – powiedział.

Sygnał. Po czym odezwał się męski głos:

– Sekcja do Spraw Pokoju, Stephens przy telefonie.

– Proszę z Wydziałem Morderstw – powiedział Lantry, uśmiechając się.

– Z czym?

– Kto prowadzi dochodzenia w sprawie morderstw?

– Przepraszam, o czym pan mówi?

– Pomyłka – Lantry odwiesił słuchawkę, śmiejąc się w kułak. – Patrzcie no, nie ma czegoś takiego, jak Wydział Morderstw. Nie ma morderstw, to nie potrzebują wywiadowców. Doskonale, wspaniale!

Zadzwonił telefon. Lantry zawahał się i podniósł słuchawkę.

– Proszę mi powiedzieć – odezwał się głos – kim pan jest?

– Osoba, która dzwoniła, właśnie odeszła – rzekł Lantry i jeszcze raz odwiesił słuchawkę.

Uciekł. Poznali go po głosie i pewnie wyślą kogoś, żeby sprawdził. Ludzie przecież nie kłamią, a on właśnie skłamał. Znają jego głos. Skłamał. A skoro skłamał, potrzebny mu jest psychiatra. Przyjdą, by go zabrać i sprawdzić, dlaczego skłamał. Bez żadnych innych powodów. Nie podejrzewają go o nic innego. Zatem musi uciekać.

Musi bardzo uważać od tej chwili. Nic nie wie o tym świecie, o tym dziwnym, uczonym, prawdomównym, moralnym świecie. Jesteś błąd – już cię podejrzewają. Nie sypiasz – jesteś podejrzany. Nie kąpiesz się i śmierdzisz jak... zdechła krowa? – jesteś podejrzany. Wszystkim się zdradzasz.

Musisz iść do biblioteki. Ale to również jest niebezpieczne. Jak teraz wyglądają biblioteki? Są w nich książki czy taśmy filmowe, z których wyświetla się treść na ekranie?, A może ludzie mają biblioteki w domach i duże biblioteki publiczne są niepotrzebne?

Postanowił jednak zaryzykować. Jego archaiczne słownictwo też może ściągać na niego podejrzania, ale teraz najważniejsza sprawa to dowiedzieć się jak najwięcej o tym odrażającym świecie, do którego wrócił. Zatrzymał jakiegoś człowieka na ulicy.

– Którędy do biblioteki? Człowiek nie był zdziwiony, – Druga ulica na wschód i pierwsza przecznica na północ.

– Dziękuję. Jakie to proste.

W kilka minut później wchodził do biblioteki.

– Czym mogę służyć?

Popatrzył na bibliotekarkę. „Czym mogę służyć? Czym mogę służyć?” Co za usłużni ludzie!

– Chciałbym Edgara Allana Poe. Uważnie dobrał słowa. Nie powiedział „przeczytać”. Obawiał się, że nie ma już książek, że drukarstwo to sztuka zapomniana. Być może wszystkie „książki” mają teraz formę trójwymiarowych filmów z pełnym tekstem. Jak, u diabła, można zrobić film z Sokratesa, Schopenhauera, Nietzschego czy Freuda?

– Czy może mi pan jeszcze raz podać nazwisko?

– Edgar Allan Poe.

– Nie mamy takiego autora w katalogu.

– Bardzo proszę, niech pani sprawdzi jeszcze raz.

Sprawdziła.

– Och, tak. Mam tu czerwony znaczek na karcie. To jeden z autorów z okresu Wielkiego Palenia w 2265 roku.

– Jak mogłem nie wiedzieć!

– Głupstwo – powiedziała. – Czy dużo pan o nim słyszał?

– Miał dość interesujące barbarzyńskie poglądy na śmierć – rzekł Lantry.

– Okropne – powiedziała marszcząc nos. – Przerazające.

– Tak. Przerazające. Właściwie obrzydliwe. Dobrze, że go spalono. Aha! A może ma pani coś Lovecrafta?

– To o seksie?, Lantry wybuchnął śmiechem.

– Nie, skądże. Przerzucała kartki katalogu.

– Też go spalono. Razem z Poem.

– Przypuszczam, że to samo dotyczy Machena, Derletha i również Ambrose’a Bierce’a?

– Tak – zamknęła szafkę z katalogami – wszystkich spalono. Chwała Bogu.

Spojrzała na niego z zastanawiającym ciepłym zainteresowaniem.

– Założę się, że dopiero co wrócił pan z Marsa.

– Dlaczego pani tak sądzi?

– Wczoraj był tu inny podróżnik. Tuż po powrocie z Marsa. Również interesował się literaturą na temat spraw nadprzyrodzonych. Okazuje się, że na Marsie są „groby”.

– A co to są groby? – Lantry uczył się trzymać język za zębami.

– Wie pan, to coś takiego, w czym kiedyś chowano ludzi.

– Co za barbarzyński zwyczaj. Okropne!



– Prawda? Otóż oglądanie marsjańskich grobów obudziło ciekawość tego młodego badacza. Przyszedł i zapytał mnie, czy mam właśnie tych autorów, których pan wymienił. Oczywiście po ich książkach nie pozostał nawet ślad.

Przyjrzała się jego bladej twarzy.

– Pan jest jednym z tych ludzi z rakiety na Marsa, prawda?.

– Tak – powiedział – wróciłem parę dni temu.

– Ten młody człowiek nazywał się Burkę. – Oczywiście, Burkę! Mój dobry przyjaciel!

– Przepraszam, że nie mogłam panu pomóc. Najlepiej niech pan weźmie trochę witamin i poopala się pod kwarcówką. Okropnie pan wygląda, panie...?

– Lantry. Zastosuję się do rady. Bardzo pani dziękuję. Do zobaczenia w wigilię Wszystkich Świętych!

– Ale pan mądry – roześmiała się – gdyby dalej istniał dzień Wszystkich Świętych, bylibyśmy umówieni na randkę.

– Ale to święto też spalili.

– Och, spalili wszystko – rzekła. – Dobranoc.

– Dobranoc pani – powiedział i wyszedł.

Och, jak uważnie utrzymywał równowagę w tym świecie! Jak tajemniczy, bezszelestnie wirujący żyroskop – bardzo cichy człowiek. Idąc ulica o ósmej wieczorem z zainteresowaniem zauważył, że nie ma zbyt wiele światła. Na każdym rogu stały latarnie, ale same domy były słabo oświetlone. Czyżby ci nadzwyczajni ludzie nie bali się ciemności? Bzdura! Każdy boi się mroku. Nawet on bał się jako dziecko. To tak naturalne jak jedzenie.

Jakiś mały chłopiec biegł pędem, a za nim sześciu innych. Wyli, wrzeszczeli i tarzali się w liściach na ciemnej, zimnej, październikowej trawie. Lantry obserwował ich przez kilka minut, nim zwrócił się do jednego z chłopców, który ciężko dyszał, jakby nadmuchiwał dziurawą papierową torbę.

– Ejże! – powiedział Lantry. – Zamączysz się.

– Pewnie – rzekł chłopiec.

– Czy mógłbyś mi powiedzieć, dlaczego między przecznicami nie ma latarni?, – Dlaczego pan pyta?

– Jestem nauczycielem i chciałem sprawdzić, czy wiesz – powiedział Lantry.

– No, dobra – odrzekł chłopiec. – Bo nie są potrzebne.

– Ale robi się ciemno. – No to co?

– Nie boisz się? – spytał Lantry:

– Czego?

– Ciemności.

– Cha! Cha! Cha! Dlaczego miałbym się bać?

– Bo widzisz – powiedział Lantry – zapada zmrok, jest ciemno. A poza tym latarnie wynaleziono, żeby ten mrok rozjaśniać i odpędzać strach.

– To śmieszne. Latarnie są po to, żeby widzieć, gdzie się idzie. Nic poza tym.

– W ogóle nie rozumiesz, o co chodzi – rzekł Lantry. – Czy chcesz przez to powiedzieć, że mógłbyś siedzieć całą noc na pustym placu i byś się nie bał?

– Czego?

– Czego! Czego! Ty fujaro! Ciemności!

– Cha! Cha! Cha!

– Poszedłbyś na wzgórze i siedziałbyś tam całą noc w ciemności?

– Pewnie.

– Mógłbyś zostać sam w pustym domu?

– Jasne.

– I byś się nie bał?

– No chyba.

– Jesteś kłamczuch!

– Proszę mnie tak brzydko nie nazywać! – krzyknął chłopiec. Było to naprawdę drażliwe słowo. Chyba najgorszy epitet. Ten mały potworek rozwścieczył Lantry'ego do reszty.

– Słuchaj – upierał się – spójrz mi w oczy...

Chłopiec spojrział.

Lantry wyszczerzył zęby, wyciągnął ręce jak szpony, groźnie nimi poruszając, łypnął okiem i wykrzywił twarz w przerażającym grymasie.

– Cha! Cha! Cha! Jaki pan śmieszny.

– Coś powiedział?

– Że to śmieszne. Niech pan jeszcze tak zrobi. Hej! Chłopaki, chodźcie! Ten pan robi śmieszne rzeczy.

– Nic z tego.

– Niech pan zrobi tak jeszcze, proszę pana.

– Darujmy to sobie. Dobranoc! – Lantry uciekł.

– Dobranoc panu! I niech pan uważa na ciemności! – zawołał chłopiec.

Wszystko to z głupoty, zwykłej, pospolitej, karygodnej, bezmyślnej głupoty! Nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego! Wychowywać dzieci bez krzty wyobraźni! Jak można cieszyć się dzieciństwem bez zmyślania różnych rzeczy?

Przestał biec. Zwolnił kroku i po raz pierwszy zaczął sam siebie analizować. Przetarł twarz dłonią. Przygryzł palec. Zauważył, że stoi na ulicy między przecznicami, i poczuł się nieswojo. Ruszył w stronę rogu ulicy, gdzie świeciła latarnia.

– Tak lepiej – powiedział wyciągając ręce jak człowiek, który chce je ogrzać przy

ogniu.

Nasłuchiwał. Nie dochodził go żaden dźwięk poza nocnym, cykaniem świerszczy. W końcu usłyszał cichy syk ognia, gdy przez niebo przemykała rakietka. Był to dźwięk, jaki mogłoby wydawać światło latarki delikatnie omiatające mrok.

Nasłuchiwał odgłosów swego ciała i po raz pierwszy uświadomił sobie, że jest w tym coś dziwnego. Nie dochodził stamtąd żaden dźwięk. Nie słyszał szmeru powietrza w nozdrzach i płucach. Jego płuca nie wciągały tlenu ani nie wydychały dwutlenku węgla – trwały w bezruchu. Włosków w nozdrzach nie cesało ciepłe powietrze. W nosie nie było delikatnego szmeru oddechu. Dziwne. Zabawne. Dźwięki, których w ogóle nie słyszy się za życia – oddech karmiący ciało – a jednak, och, jak bardzo mu tego brak, gdy jest martwy.

Dźwięki te słyszał tylko w czasie bezsennych, głębokich nocy, spędzonych na czuwaniu, kiedy budził się, nasłuchiwał i najpierw słyszał wciąganie i delikatne wydychanie powietrza przez nos, a potem głuchy, głęboki, przytłumiony, czerwony grzmot krwi w skroniach, uszach, gardle, bolących przegubach, ciepłych łędźwiach i w piersi. Te wszystkie rytmy przepadły. Nie ma pulsu w przegubach ani w gardle, pierś już się nie wznosi. Nie ma szumu krwi krążącej w górę i w dół, wokół i w głąb, w górę i w dół, wokół i w głąb. Teraz było tak, jakby słuchało się posągu.

A jednak żyje czy raczej porusza się. Jak do tego doszło ponad i poza nauką – z jej wyjaśnieniami, teoriami i wątpliwościami?

Doprowadziła do tego jedna jedyna rzecz.

Nienawiść.

Jest jego krwią i krąży w górę i w dół, wokół i w głąb, w górę i w dół, wokół i w głąb. Jego sercem, które co prawda nie bije, ale jest ciepłe. Cały jest... czym?. Złością. Zawiścią. Powiedzieli, że dłużej już nie może leżeć tam, w trumnie na cmentarzu. Ale on bardzo chciał. Nigdy szczególnie nie pragnął wstać i chodzić. Przez wszystkie te wieki wystarczało mu, że leży w głębokiej skrzyni i ma świadomość, ale nie odczuwa fizycznie tykania milionów owadów-zegarków dokoła, rojenia się robaków w ziemi, podobnych kłębiącym się myślom.

Ale wtedy przyszli oni i powiedzieli: „Wyłaź i do pieca!” I to jest najgorsze, co można powiedzieć człowiekowi. Nie można mu rozkazywać, co ma robić. Jeśli mu się powie, że jest martwy, będzie chciał żyć. Jeśli mu się powie, że wampiry nie istnieją, zapragnie być wampirem po prostu na złość. Gdy mu powiedzą, że martwy człowiek nie może chodzić, to on na pewno wypróbuje swoje nogi. Jak ktoś powie, że morderstwa już się nie zdarzają – popełni morderstwo. I on właśnie jest tym wszystkim, co niemożliwe. To oni sprawili, że się urodził, przez te ich praktyki i niedostatki wiedzy. O, jakże się mylili! Trzeba im to udowodnić. On im udowodni! Twierdzą, że słońce i noc są równie dobre, że w mroku nie ma nic złego.

– Ciemność to strach! – wykrzyknął półgłosem w kierunku małych domków. – Musicie się bać! Słuchajcie! Zawsze tak było na świecie. Wy, niszczyciele Edgara Allana Poe i cudownego Lovecrafta, i ty, co spaliłeś maski na wigilię Wszystkich Świętych, i ty, co zniszczyłeś głowy ludzkie z wydrażonej dyni! Uczynię z nocy to, czym niegdyś była, przeciwko czemu człowiek bronił się budując swoje oświetlone miasta i płodząc liczne dzieci!

Jakby w odpowiedzi na to nisko przeleciała rakieta, ciągnąc za sobą pióropusz płomieni. Lantry skulił się i zadrżał.

#### IV

Do miasteczka Science Port było zaledwie dziesięć mil. Dotarł tam pieszo przed świtem. Ale i to było podejrzane. O czwartej nad ranem jakiś srebrny żuk zatrzymał się koło niego na drodze.

– Dzień dobry! – zawołał mężczyzna z pojazdu.

– Dzień dobry – odpowiedział zmęczony Lantry.

– Dlaczego chodzi pan piechotą? – spytał mężczyzna.

– Idę do Science Port.

– Dlaczego pan nie jedzie?

– Ja lubię chodzić.

– Nikt nie lubi chodzić. A może pan jest chory? Podrzucić pana?

– Dziękuję, ale ja naprawdę lubię chodzić. Mężczyzna zawahał się, a potem zaniknął drzwi żuka.

– Do widzenia!

Kiedy żuk zniknął za wzgórzem, Lantry ukrył się w pobliskim lesie. Co za świat pełen czynnych fajtlap! Na Boga, nawet jak idziesz na piechotę, podejrzewają, że jesteś chory. A to oznacza tylko jedno. Nie wolno mu więcej chodzić pieszo – musi jeździć. Powinien był przyjąć propozycję tego faceta.

Przez resztę nocy szedł w dostatecznej odległości od drogi, by zdążyć zniknąć w zaroślach, gdy będzie nadjeżdżał jakiś żuk. Nad ranem wczołgał się do pustej rury suchego kanału odwadniającego i zamknął oczy.

Sen był tak realistyczny, jakby wszystko działo się na jawie.

Zobaczył cmentarz, gdzie leżał i dojrzywał przez wieki. Wczesnym rankiem usłyszał kroki robotników powracających, by skończyć pracę.

– Nie podałybyś mi łopaty, Jim?

– Proszę bardzo.

– Chwileczkę, chwileczkę!

– Co jest?

- Spójrz no! Przecież nie skończyliśmy wczoraj, prawda?
- No, pewnie.
- Była jeszcze jedna trumna, no nie?, – Tak.
- I jest, ale pusta.
- Pomyliłeś groby.
- Jakie nazwisko jest na nagrobku?!
- Lantry. William Lantry.
- To on, to ten! Przepadł.
- Jakim cudem?
- Skąd mam wiedzieć. Wczoraj było ciało.
- Nie wiadomo, nie zaglądaliśmy.
- Ludzie nie chowają pustych trumien. On był, a teraz go nie ma.
- Może jednak ta trumna była pusta?
- Nonsens. Czujesz ten smród? Na pewno było ciało.

Chwila wahania.

- Chyba nikt go nie zabrał?
- Po co?
- Może jako ciekawostkę.
- Nie wygłupiaj się. Ludzie po prostu nie kradną. Nikt nie kradnie.
- W takim razie widzę tylko jedno rozwiązanie.
- No?
- Wstał i poszedł sobie.

Chwila przerwy. W tym ponurym śnie Lantry spodziewał się teraz usłyszeć śmiech. Jednak zamiast śmiechu doszedł do niego głos grabarza, który rzekł po chwili namysłu:

- Tak. Tak musiało być. Wstał i poszedł sobie.
- Ciekawe – powiedział drugi.
- Prawda?

Lantry obudził się. Wszystko było snem, ale jakże prawdziwym. Jak dziwnie ci ludzie rozmawiali. Ale nie nienaturalnie, o, nie. Mówili, jak tego należało oczekiwać od ludzi przyszłości. Ludzie przyszłości. Lantry uśmiechnął się krzywo. Dla was to anachronizm. To była przeszłość. Działo się to teraz. Nie za trzysta lat, ale teraz, nie wtedy ani kiedy indziej. Nie w dwudziestym wieku. O, jak spokojnie ci ludzie we śnie powiedzieli: „Wstał i poszedł sobie”. „Ciekawe”. „Prawda?”. Nawet głos im nie zadrzał. Nie obejrżeli się trwożnie przez ramię, ani nie trzęsły im się ręce, w których trzymali łopaty. Ale oczywiście te ich absolutnie uczciwe, logiczne umysły znalazły tylko jedno rozwiązanie – z pewnością nikt nie ukradł zwłok. „Nikt nie kradnie”. Zwłoki najzwyczajniej wstały i odeszły. Zwłoki mogły się ruszyć tylko same. Z kilku

przypadkowych słów grabarzy Lantry dowiedział się, co myślą. Oto człowiek, który przez setki lat znajdował się w stanie życia utajonego, ale nie był naprawdę martwy. Hałas i zamieszanie wyrwały go z tego stanu.

Każdy zapewne słyszał o małych, zielonych żabkach, które w ile lub w lodzie przez wieki żyją w letargu. I o tym, że naukowcy wyjmują je stamtąd, rozgrzewają w dłoniach, jak marmurowe kulki, a później żabki skaczą i mrugają. Nic dziwnego, że grabarze myśleli o Williamie Lantry w podobny sposób.

Ale co będzie, gdy na przykład jutro różne fakty zostaną ze sobą powiązane? Jeśli skojarzy się zniknięcie ciała z wysadzonym krematorium? Co się stanie, gdy ten Burkę, który wrócił z Marsa taki blady, pójdzie znów do biblioteki, poprosi o jakieś książki, a bibliotekarka powie: „Niedawno był tutaj ten pański przyjaciel, Lantry” i on zapyta „Co za Lantry? Nie znam nikogo o takim nazwisku”. I wtedy ona: „Ach, to on skłamał”. A teraz ludzie nie kłamią. Wówczas wszystko ułoży się w całość – punkt po punkcie, kawałek po kawałku. Jakiś człowiek, który był blady, choć nie powinien, skłamał, a ludzie przecież nie kłamią; i jakiś człowiek szedł boczną wiejską drogą, a ludzie już nie chodzą; i z cmentarza zginęło ciało; i krematorium wyleciało w powietrze; i, i, i...

Zaczną go ścigać i w końcu znajdą. Łatwo go znaleźć, bo chodzi na piechotę, bo kłamie, bo jest blady. Znajdą go, zabiorą i wrzucą przez służbę ogniową do najbliższego krematorium, a będzie to pan William Lantry, jak dwa razy dwa cztery.

Sprawnie i dokładnie można było zrobić tylko jedno. Gwałtownie poderwał się na nogi. Szeroko otworzył usta, wytrzeszczył oczy, palące drżenie wstrząsnęło jego ciałem. Musi zabijać, zabijać bez końca. Z wrogów musi uczynić przyjaciół, ludzi mu podobnych, którzy chodzą, choć nie powinni, którzy są bladzi w państwie rumianych. Musi mordować i jeszcze raz mordować. Musi produkować zwłoki, martwych, trupy. Musi niszczyć krematorium za krematorium, po kolei. Wybuch za wybuchem. Śmierć za śmiercią. I wówczas, gdy wszystkie krematoria legną w gruzach i każda pośpiesznie założona kostnica zapełni się ciałami ludzi porozrywanych wybuchem, zacznie z nich robić przyjaciół, rozpocznie zaciąg martwych dla własnej sprawy.

Zanim go wyśledzą, znajdą i uśmiercą, sami muszą zginąć. Tymczasem jest bezpieczny. Może zabijać, a oni nie mogą odpowiedzieć mu tym samym. To jest margines bezpieczeństwa. Wyczołgał się z opuszczonego kanału i stanął na drodze.

Wyciągnął scyzoryk i zatrzymał pierwszego nadjeżdżającego żuka.

Zupełnie jak w święto narodowe Czwartego Lipca! Największy ze wszystkich fajerwerków. Krematorium w Science Port pękło na pół i rozpadło się na kawałki. Po tysiącu małych eksplozji nastąpił większy wybuch. Szczątki krematorium spadły na miasto, miażdżąc domy i paląc drzewa. Wybuch zbudził ludzi, a potem ułożył do snu wiecznego.

Siedząc w żuku, który nie był jego własnością, William Lantry leniwie nastawił radio. Eksplozja krematorium zabiła około czterystu ludzi. Wielu zginęło pod gruzami domów, innych uśmierciły fruwające w powietrzu kawałki metalu. Zakładano właśnie prowizoryczną kostnicę...

Podano jej adres.

Lantry zapisał go ołówkiem w notatniku.

Może działać dalej, pomyślał. Od miasta do miasta, kraj po kraju – niszczyć krematoria, słupy ognia, aż rozpadnie się ten wspaniały higieniczny system. Wszystko sobie pięknie wyliczył – każdy wybuch daje przeciętnie pięciuset martwych. Tym sposobem w krótkim czasie można dojść do stu tysięcy.

Nacisnął dźwignię w podłodze żuka i, uśmiechając się, ruszył ciemnymi ulicami miasta.

Władze zarekwirowały stary magazyn. Od północy do czwartej rano szare żuki nadjeżdżały lśniąco od deszczu ulicami i zostawiały zwłoki, które układano pod prześcieradłami na zimnej, betonowej podłodze. Trwało to nieprzerwanie do około pół do piątej. Zwieziono koło dwustu ciał – białych i zimnych.

Około piątej, z brzaskiem jaśniejącym na wschodzie, przyjechała pierwsza grupa krewnych, by zidentyfikować swych synów i ojców, matki i wujów. Ludzie szybko wchodzili do magazynu, dokonywali identyfikacji i prędko go opuszczali. Do szóstej, kiedy niebo na wschodzie było już jaśniejsze, wszyscy odeszli.

William Lantry przeciął szeroką, mokrą jezdnię i wszedł do magazynu. W rękę trzymał kawałek niebieskiej kredy.

Minął koronera, który stał w wejściu i mówił coś do dwu innych osób:

– ...Jutro zawieziecie ciała do krematorium w Mellin Town... – głosy przycichły.

Lantry był w ciągłym ruchu, a jego kroki odbijały się cichym echem od zimnego betonu. Opanowała go fala bezbrzeżnej ulgi, gdy chodził wśród kształtów okrytych całunem. Jest między nimi. A nawet więcej! On ich stworzył! On uczynił ich martwymi! On zorganizował sobie armię leżących przyjaciół!

Lantry odwrócił głowę, by sprawdzić, czy koroner go obserwuje. Nie. W magazynie było cicho, spokojnie i niezbyt jasno tego posepnego poranka. Koroner ze swymi pomocnikami przechodził teraz przez jezdnię i zamierzał rozmawiać z kimś, kto siedział w żuku po drugiej stronie ulicy.

William Lantry niebieską kredą rysował gwiazdę wokół każdego ciała na podłodze. Bystro, chyżo się poruszał – bez szmeru, bez mrugnięcia okiem. W kilka minut, spoglądając co chwila, czy koroner jest jeszcze zajęty, obrysował sto ciał. Wyprostował się i włożył kredę do kieszeni.

Teraz nadszedł czas, by wszyscy dobrzy ludzie przyszli sobie z pomocą, teraz nadszedł czas, by wszyscy dobrzy ludzie przyszli sobie z pomocą, teraz nadszedł

czas, by wszyscy dobrzy ludzie przyszli sobie z pomocą...

Kiedy przez wieki leżał w ziemi, jak w głęboko zakopaną gąbkę wsączyły się w niego myśli i osiągnięcia przemijających pokoleń, przemijających czasów. A teraz, jak na ironię, jakaś czarna maszyna do pisania nieprzerwanie wystukiwała w jego pośmiertnej pamięci równe wiersze: „Teraz nadszedł czas, by wszyscy dobrzy ludzie, wszyscy dobrzy ludzie przyszli z pomocą...”

Williamowi Lantry’emu.

Innymi słowy...

Wstawajcie, kochani, i idźcie sobie... Zwinny, rudy lis wyskoczył ponad...  
Sparafrazuj to. Zwinne, powstałe z martwych zwłoki wyskoczyły ponad zwalone krematorium...

„Łazarzu, tobie mówię, wstań”...

Znał właściwe słowa. Trzeba było je tylko wypowiedzieć, jak to robiono przed wiekami. Wystarczy wykonać ruch rękami i wymówić te słowa, magiczne słowa, od których zwłoki zaczynają drgać, wstają i chodzą!

A kiedy już wstaną, zaprowadzi je do miasta. Będą tam zabijać innych i ci inni wstaną i pójdą. Nim dzień się skończy, będzie miał tysiące dobrych przyjaciół. A co się stanie z tymi naiwnymi ludźmi, którzy żyją o tej godzinie, tego dnia, w tym roku? Są całkowicie nie przygotowani. Poniosą porażkę, bo nie spodziewają się żadnej wojny. Nie wierzą, że jest możliwa, że się skończy, zanim oni się przekonają, że coś tak nielogicznego może się zdarzyć.

Uniósł ręce. Zaczął poruszać ustami. Wypowiadał te słowa. Rozpoczął śpiewnym szeptem, a potem mówił na cały głos. Powtarzał słowa na nowo, raz za razem. Oczy miał zaciśnięte, kołysał się. Mówił coraz szybciej. Posuwał się naprzód wśród ciał. Magiczne słowa płynęły z jego ust. Był pod wpływem własnych słów. Pochylał się i z pewnym siebie uśmiechem rysował dalsze znaki niebieską kredą, jak dawni czarodzieje. Za chwilę drgną pierwsze ciała, za chwilę zwłoki wstaną i podskoczą!

Uniósł ręce w powietrze. Pochylał głowę. Mówił, mówił bez końca. Poruszał rękami. Napięty, z wytrzeszczonymi oczami, głośno wypowiadał słowa nad zwłokami.

– A teraz – krzyknął gwałtownie – wstawać! Wszyscy!

Nie było żadnej reakcji.

– Wstawać! – wrzasnął z okropną udręką w głosie.

Prześcieradła leżały w biało-niebieskich fałdach na nieruchomych ciałach.

– Słuchajcie mnie i działajcie! – krzyknął.

W oddali przemknął ulicą jakiś żuk.

Lantry krzyczał i prosił bez końca. Pochylał się nad ciałami i gwałtownie namawiał każde z osobna. Daremnie. Jak obłąkany biegał między równymi, białymi



rzędami, wymachiwał rękami i pochylał się co i raz, by zrobić niebieski znak.

Lantry był bardzo blady. Oblizął spieczone wargi.

– No, wstawać – powiedział. – Zawsze wstawali, przez tysiące lat, kiedy się robiło, o, taki znak i mówiło się, o, te słowa! Zawsze wstawali! Dlaczego teraz nie chcą!? No, wstawać, zanim tamci wrócą!

Magazyn okrył się cieniem. Dach opierał się na poprzecznych i pionowych stalowych dźwigarach. Z wewnątrz nie dobywał się żaden dźwięk poza wrzaskami samotnego mężczyzny.

Lantry zatrzymał się.

Poprzez szeroko otwarte drzwi zobaczył w przelocie ostatnie zimne gwiazdy poranka.

Był rok 2349.

Popatrzył szklanym wzrokiem, ręce mu opadły bezwładnie wzdłuż boków. Stał bez ruchu.

Dawniej ludzi przechodziły ciarki, gdy słyszeli wiatr za oknami – wieszali krzyże i tojad, wierzyli w strzygi, wampiry i wilkołaki. A póki wierzyli, poty istniały strzygi, wampiry i wilkołaki. Wiara je rodziła i nadawała im realną postać.

Ale...

Popatrzył na przykryte bielą ciała.

Ci ludzie nie wierzyli.

Nigdy nie wierzyli. Nigdy by nie uwierzyli. Nigdy nie wyobrażali sobie, że martwy człowiek może chodzić. W ich świecie zmarli idą z dymem w krematoriach. Nigdy nie słyszeli o przesądach, nigdy nie trzęśli się ze strachu i nie doświadczali niepewności w mroku. Martwi, którzy mogą chodzić – to nielogiczne. Człowieku, to w końcu rok 2349!

A zatem ci ludzie nie mogą powstać i znów chodzić. Są martwi, leżą płasko na ziemi, zimni. Nic ich nie podniesie i nie zmusi do poruszania się, żadna kreda, zaklęcie czy zabobon. Są martwi i wiedzą, że są martwi!

Został sam.

Na świecie są żywi ludzie, którzy chodzą i jeżdżą żukami, piją sobie spokojnie w małych, mrocznych przydrożnych barach, całują kobiety i rozmawiają całymi dniami.

Ale on nie jest żywy.

Tę odrobinę ciepła, którą posiadał, zawdzięczał tarcu.

Tu w tym magazynie leży na podłodze dwustu zimnych martwych ludzi. Pierwsi martwi od stu lat, którym pozwolono być zwłokami o godzinę dłużej, a może więcej. Pierwsi, którzy nie zostali natychmiast wywiezieni do krematorium i spaleni, jak fosfor.

Powinien cieszyć się szczęściem z nimi, wśród nich.

Ale stało się inaczej. Nie wiedzieli, że można chodzić, gdy serce zatrzyma się i przestanie bić, ani w to nie wierzyli. Są najbardziej martwi z martwych.

Rzeczywiście został sam, bardziej samotny niż najsamotniejszy człowiek. Poczuł, jak chłód samotności wypełnia mu pierś, dusząc podstępnie.

William Lantry odwrócił się nagle; zatkało go. Ktoś wszedł do magazynu – jakiś wysoki mężczyzna o siwych włosach w lekkim, brązowym płaszczu, bez kapelusza. Trudno powiedzieć, jak długo znajdował się w pobliżu.

Nie było sensu stać tam dłużej. Lantry odwrócił się i zaczął powoli wychodzić. Po drodze rzucił przelotne spojrzenie mężczyźnie, który przyjrzał mu się z ciekawością. Czy słyszał te zaklęcia, błagania i krzyki? Czy, podejrzewał? Lantry zwolnił kroku. Czy ten człowiek widział go, jak robił znak niebieską kredą? Ale z drugiej strony, czy wziąłby je za symbole jakiegoś dawnego przesądu? Prawdopodobnie nie.

Zbliżywszy się do drzwi, Lantry przystanął. Przez chwilę jedynym jego pragnieniem było położyć się i znów być zimnym, prawdziwym trupem, by zanieśli go spokojnie ulicami do jakiegoś odległego krematorium i tam wyprawili z tego świata wśród popiołu i buzującego ognia. Jeśli jest naprawdę sam, nie ma szansy zebrać armii dla swej sprawy, więc czy jest sens dalej to ciągnąć? Mordować? Tak, zabije jeszcze parę tysięcy. Ale to nie wystarczy, choć może zrobić tylko tyle, zanim go schwytają.

Popatrzył na zimne niebo.

Ciemny firmament przecięła rakieta, ciągnąc za sobą ogień.

Mars świecił czerwono wśród milionów gwiazd.

Mars. Biblioteka. Bibliotekarka. Rozmowa. Powracający kosmonauci. Groby.

Lantry omal nie krzyknął. Powstrzymał rękę, która tak bardzo chciała sięgnąć do nieba i dotknąć Marsa. Rozkoszna czerwona gwiazda na niebie. Dobra gwiazda, która nieoczekiwanie dała mu nową nadzieję. Gdyby teraz miał żywe serce, byłoby jak oszalałe, oblewałby go pot, miałby nierówny puls i łzy w oczach!

Pójdzie tam, skąd rakiety zrywają się do lotu w kosmos. Poleci na Marsa tak czy inaczej. Odnajdzie tam marsjańskie groby. Założyłby się o swoją nienawiść, że tam są zmarli, którzy powstaną i pójdą z nim pracować! Oni mają dawną kulturę, która bardzo się różni od ziemskiej, wzorowaną na egipskiej, jeśli bibliotekarka powiedziała prawdę. A egipska kultura – jak w tyglu mieszały się w niej wierzenia i nocne strachy! A więc Mars. Wspaniały Mars!

Ale nie wolno mu zwracać na siebie uwagi. Musi postępować ostrożnie. Tak, chciał biec, uciekać, ale byłoby to najgorsze posunięcie. Od czasu do czasu siwy

mężczyzna w wejściu spoglądał na Lantry'ego. Za dużo ludzi tu się kręci. Gdyby do czegoś doszło, mieliby nad nim liczebną przewagę. Dotychczas miał za każdym razem do czynienia tylko z pojedynczymi ludźmi.

Lantry zmusił się do pozostania na schodach przed magazynem. Siwowłosey mężczyzna również stanął na schodach i patrzył w niebo. Wyglądało, jakby chciał nawiązać rozmowę. Pogrzebał w kieszeniach i wyjął paczkę papierosów.

Stali razem przed kostnicą – wysoki, rumiany, siwy mężczyzna i Lantry, z rękami w kieszeniach. Noc była zimna i biała tarcza księżyca srebrzyła tutaj dom, tam drogę, a jeszcze dalej kawałek rzeki.

– Papierosa? – zaproponował mężczyzna.

– Dziękuję.

Obaj zapalili. Mężczyzna patrzył na usta Lantry'ego.

– Zimna noc – powiedział.

– Zimna.

Przestępowali z nogi na nogę. – Straszny wypadek.

– Straszny.

– Tylu zabitych.

– Taak.

Lantry miał wrażenie, jakby się znalazł na szalce wagi. Mężczyzna wydawał się nie patrzeć na niego; raczej wsłuchiwał się weń, starając się go wyczuć, jak gdyby go wazył. Lantry poczuł się nieswojo, chciał odejść i uniknąć tej oceny, tego wazenia.

Wysoki, siwy mężczyzna powiedział:

– Nazywam się McClure.

– Czy miał pan tam jakichś przyjaciół? – spytał Lantry.

– Nie. Pewna przypadkowa znajomość. Okropny wypadek.

– Okropny.

Badali się wzajemnie. Jakiś żuk przejechał ulicą na swych siedemnastu cicho obracających się kołach. Księżyc oświetlał miasteczko leżące dalej wśród ciemnych wzgórz.

– Proszę pana – powiedział ten McClure.

– Słucham.

– Czy mógłby pan odpowiedzieć na pewne pytanie?

– Z przyjemnością – odrzekł Lantry otwierając scyzoryk w kieszeni płaszcza.

– Pan się nazywa Lantry?.

– Tak.

– William Lantry?

– Tak.

– Więc to pan jest tym człowiekiem, który przedwczoraj wyszedł z cmentarza

w Salem, tak?

– Tak.

– Wielki Boże! Cieszę się, że pana spotkałem! Szukamy pana od dwudziestu czterech godzin!

Mężczyzna schwycił jego dłoń, uściskał i poklepał go po plecach.

– Jak to?

– Człowieku, dlaczego pan uciekł? Czy pan wie, co to za wydarzenie? Chcemy z panem porozmawiać!

McClure uśmiechał się rozpromieniony. I jeszcze jeden uścisk dłoni, jeszcze jedno klepnięcie.

– Wiedziałem, że to pan!

Ten człowiek oszalał – pomyślał Lantry – całkiem zwariował. Ja tu im rozwalam krematoria, zabijam ludzi, a on ściska mi dłoń. Wariat, szaleniec!

– Nie zechciałby pan pójść do Centrum? – powiedział mężczyzna ujmując go za łokieć.

– D-do jakiego centrum? – Lantry cofnął się.

– Do Centrum Nauki, oczywiście. Prawdziwe przypadki utajonego życia to niecodzienne wydarzenie. Co innego u niższych zwierząt, ale u ludzi... Pójdzie pan?

– O co chodzi? – zapytał Lantry z wściekłością. – Po co ta cała rozmowa?

– Mój drogi przyjacielu, o czym pan myśli? – Mężczyzna był oszołomiony.

– Mniejsza z tym. Czy to jest jedyny powód, dla którego chcecie mnie widzieć?

– A jaki inny powód mógłby wchodzić w rachubę, panie Lantry? Nie wie pan, jak się cieszę, że pana widzę. – Mężczyzna omal nie zatańczył. – Podejrzywałem, że to pan, gdy byliśmy tam razem. Ta pańska bladeść i tak dalej. I sposób, w jaki pan palił papierosa – coś w tym było – i mnóstwo innych rzeczy, wszystko wyczułem podświadomie. Ale to pan, prawda? To pan!

– Ja. William Lantry – odpowiedział oschle.

– No, chodźmy, mój drogi!

Żuk mknął o świcie ulicami miasta, a McClure mówił nieprzerwanie.

Lantry siedział zdumiony i słuchał. Oto ten głupiec, McClure, odkrywa przed nim karty! Oto ten głupi naukowiec, wszystko jedno zresztą kim jest, bierze go ufnie, nie podejrzewając w nim mordercy. Wręcz przeciwnie! Uważają go wyłącznie za przypadek utajonego życia! Wcale nie za kogoś niebezpiecznego. Dalecy są od tego!

– Oczywiście – wykrzyknął McClure szczerząc zęby w uśmiechu – nie wiedział pan, dokąd pójść, do kogo się zwrócić. Wszystko wydawało się panu nieprawdopodobne.

– Tak.

– Czuję, że pan będzie w kostnicy tej nocy – powiedział McClure

z zadowoleniem.

– Oo!? – Lantry zeszywniał.

– Tak. Nie umiem tego wytłumaczyć. Ale wy, jak to powiedzieć, starożytni Amerykanie, mieliście zabawne poglądy na śmierć. A pan tak długo przebywał wśród martwych, że czułem, że ten wypadek, kostnica i to wszystko przywiedzie tu pana. To nie jest zbyt logiczne. Właściwie głupie. Po prostu przecucie. Nienawidzę przecuć, ale tak było.

V

Coś mnie tknęło, jak by pan to powiedział, prawda?

– Można to tak ująć.

– No i widział pan coś takiego?

– Widziałem.

– Nie jest pan głodny?

– Nie, już jadłem.

– Jak pan się poruszał?

– Jeździłem autostopem.

– Czym?

– Ludzie mnie podwozili.

– Niesłychane.

– Przypuszczam, że tak to musi wyglądać. – Popatrzył na domy, które mijali. – Więc to jest era podróży kosmicznych, prawda?

– Och, jeździmy na Marsa od jakichś czterdziestu lat.

– Zdumiewające. A te wielkie kominy, te wieże w środku każdego miasta?

– Nie wie pan? Krematoria. Och, naturalnie, za pańskich czasów nie było czegoś takiego. Mamy z nimi jakiegoś pecha. Eksplozja w Salem, a teraz tu. Obie w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Wydawało mi się, że chciał pan coś powiedzieć.

– Pomyślałem sobie – rzekł Lantry – jakie miałem szczęście, że wyszedłem wtedy z trumny. Mogliby mnie wrzucić do jednego z tych waszych krematoriów i spalić.

– Rzeczywiście.

Lantry zabawiał się oglądaniem wskaźników na desce rozdzielczej żuka. Nie pojedzie na Marsa. Zmienił plany. Jeśli ten głupiec nie umie poznać się na przestępstwie, choć samo pcha mu się w ręce, to niech pozostanie głupi. Jeżeli nie skojarzyli sobie tych dwu eksplozji z człowiekiem z grobu, tym lepiej. Wszystko w porządku. Niech się łudzą w dalszym ciągu. Jeśli nie wyobrażają sobie, że ktoś może być podłym, wstrętnym mordercą, niech niebiosa mają ich w swojej opiece.

Z zadowoleniem zatarł ręce. O, nie, tymczasem wycieczka na Marsa nie dla ciebie, Lantry. Najpierw zobaczymy, co się da zrobić od wewnątrz. Masz mnóstwo czasu. Krematoria mogą jeszcze z tydzień poczekać. Trzeba działać delikatnie. Każdy wybuch zbyt szybko po tamtych mógłby wywołać lawinę domysłów: McClure trąknął zajadle.

– Oczywiście nie musimy pana badać natychmiast. Zapewne będzie pan chciał odpocząć. Zabiorę pana do siebie.

– Dziękuję. Nie czuję się na siłach, żeby stanąć teraz do badań. Mamy dużo czasu, może za tydzień.

Zatrzymali się przed jakimś domem i wysiedli.

– Oczywiście chce się pan przespać?

– Spałem przez wieki. Sen nie jest mi potrzebny. Nie jestem ani trochę zmęczony.

– Dobrze.

McClure otworzył drzwi i skierował się do baru;

– Napijemy się, to nam dobrze zrobi.

– Proszę nalać sobie – powiedział Lantry – ja się napiję później. Chcę po prostu posiedzieć.

– Ależ bardzo proszę, niech pan siada.

McClure nalał sobie. Rozejrzał się po pokoju, popatrzył na Lantry'ego, przechylił głowę na jedno ramię, językiem wypychając policzek. Potem wzruszył ramionami i zakręcając szklaneczką zamieszał jej zawartość. Powoli podszedł do fotela i usiadł, popijając małymi łykami. Wydawał się czegoś nasłuchiwać.

– Na stole są papierosy – powiedział.

– Dziękuję.

Lantry wziął jednego i zapalił. Przez jakiś czas nic nie mówił. Biorą to zbyt lekko – pomyślał. – Chyba powinienem zabić go i uciec. Jest jedyną osobą, która mnie znalazła. Może to wszystko pułapka? Może po prostu czekamy na policję albo na coś, co teraz mają zamiast policji. Spojrzał na McClure'a. Nie, nie czekają na policję. Czekają na coś innego.

McClure nic nie mówił. Patrzył na twarz Lantry'ego i na jego ręce. Przez dłuższy czas z beztróskim spokojem obserwował jego klatkę piersiową. Powoli sączył drinka. Popatrzył na stopy Lantry'ego i na koniec rzekł:

– Skąd pan wziął to ubranie?

– Poprosiłem i dali mi. Bardzo ładnie z ich strony.

– Tacy właśnie jesteście w tym świecie. Wystarczy tylko poprosić.

McClure znów milczał. Poruszał oczami. Tylko oczami – niczym więcej. Raz czy dwa razy podniósł szklaneczkę.

Gdzieś w oddali tykał zegarek.

– Proszę mi o sobie opowiedzieć, panie Lantry.

– Nie ma zbyt wiele do opowiadania.

– Jest pan skromny.

– Nie za bardzo. Pan zna przeszłość. Ja nie wiem nic o przyszłości, a raczej o dniu dzisiejszym i o przedwczoraj. Niewiele można się dowiedzieć w trumnie.

McClure nic nie powiedział. Nagle pochylił się do przodu, a potem znów zagłębił się w fotelu i pokiwał głową.

Nigdy nie będą mnie podejrzewać – pomyślał Lantry. – Nie są przesądni, po prostu, nie potrafią uwierzyć, że martwy człowiek może chodzić. Będę ciągle odkładał badania lekarskie. Są uprzejmi i nie zmuszą mnie. Wówczas tak wszystko urządzię, by dostać się na Marsa. A potem te groby w odpowiednim dla mnie czasie i mój plan. Boże, jakie to proste. Jakże naiwni są ci ludzie.

McClure siedział po przeciwnej stronie pokoju przez pięć minut. Przeszedł go chłód. Jego twarz z wolna traciła kolory, jak kroplomierz, z którego po trochu spływa lekarstwo. Nic nie mówiąc, pochylił się do przodu i poczęstował Lantry'ego jeszcze jednym papierosem.

– Dziękuję – powiedział Lantry.

McClure usiadł głębiej w wygodnym fotelu i założył nogę na nogę. Nie patrzył na Lantry'ego, a jednak w jakiś dziwny sposób patrzył. Lantry znów miał uczucie, że go waży. McClure wyglądał jak wysoki, chudy przewodnik psów, który nasłuchuje czegoś, co wyłącznie on mógł usłyszeć. Są gwizdki, które słyszą tylko psy. McClure wydawał się nasłuchiwać takiego niewidocznego gwizdka wszystkimi zmysłami: oczami, półotwartymi suchymi ustami i nozdrzami poruszającymi się w czasie oddychania.

Lantry co chwila pociągał papierosa i wypuszczał dym, pociągał i wypuszczał. McClure przypominał chudego wyżła o rudej sierści, nieustannie nasłuchującego z oczami skierowanymi w bok, z obawą, którą można było tylko wyczuć, jak wyczuwa się niewidoczny gwizdek częścią mózgu bardziej wyczuloną niż oczy, uszy czy nozdrza.

W pokoju było tak cicho, że Lantry niemal słyszał ulatujący do sufitu dym z papierosa. McClure był wszystkim: termometrem, wagą aptekarską, nasłuchującym wyżłem, papierkiem lakmusowym i czułkami. Może to nieprzyjemne wrażenie zniknie. Przedtem zniknęło. Dłuższą chwilę McClure siedział bez ruchu, a potem bez słowa ruchem głowy wskazał karafkę z sherry, ale Lantry cicho odmówił. Obaj siedzieli, to patrząc to znów nie patrząc na siebie.

McClure powoli sztywniał. Lantry zauważył, jak bledną jego chude policzki, jak palce zaciskają się na szklaneczce z sherry, jak w końcu pojawia się w oczach

zrozumienie, by już nie zniknąć.

Lantry nie ruszał się. Nie mógł. To wszystko było tak fascynujące, że pragnął jedynie patrzeć i słuchać. Od tej chwili był to już tylko występ McClure'a. McClure mówił:

– Pomyślałem sobie: on celowo nie oddycha przez nos. Obserwowałem pańskie nozdrza, panie Lantry. Włoski nie drgnęły w nich ani razu w ciągu ostatniej godziny. Nie koniec na tym. Był to po prostu fakt, który odnotowałem. Ale to jeszcze nie koniec. Specjalnie oddycha przez usta – powiedziałem sobie. I wtedy dałem panu papierosa, a pan wciągał dym i wypuszczał, wciągał i wypuszczał. Nigdy pan nie wypuścił dymu przez nos. Pomyślałem sobie: w porządku, nie zaciąga się. Czy jest w tym coś strasznego? Podejrzanego? Wszystko ustami, wszystko ustami. I wówczas popatrzyłem na pańską klatkę piersiową. Nigdy nie uniosła się ani nie opadła. Trwała w bezruchu. Wmówił sobie – pomyślałem. – Wszystko to sobie wmówił. Klatka piersiowa mu się nie rusza, ale oddycha, gdy sądzi, że nikt nie patrzy. Tak właśnie pomyślałem.

W ciszy pokoju słowa płynęły nieprzerwanym strumieniem, w dalszym ciągu jak we śnie.

– I wtedy zaproponowałem panu drinka, ale pan odmówił, więc pomyślałem sobie: nie pije. Co w tym strasznego? I przez cały czas nieustannie pana obserwowałem. Lantry udaje pomyłonego i wstrzymuje oddech. Ale teraz, tak, teraz bardzo dobrze rozumiem. Teraz wiem, jak to wszystko naprawdę się przedstawia. A wie pan skąd? Nie słyszę w pokoju oddechu. Czekam i nic nie słyszę. Nie ma bicia serca i odgłosu oddychających płuc. Taka cisza panuje w pokoju. Bzdura – mógłby ktoś powiedzieć, ale ja wiem. Tak jest w krematorium. Istnieje bowiem zasadnicza różnica: gdy wchodzi pan do pokoju, gdzie jakiś człowiek leży na łóżku, od razu pan wie, czy spojrzy na pana i coś powie, czy też nigdy się już nie odezwie. Niech pan się śmieje, ale to można odróżnić. Podświadomie. Jak z gwizdkiem, który słyszy tylko pies. Jak z zegarem, który tak długo tyka, że już nikt tego nie zauważa. Jest coś w atmosferze pokoju, w którym przebywa żywy człowiek, czego nie ma tam, gdzie leży martwy.

McClure przymknął oczy. Odstawił drinka. Odczekał chwilę, zaciągnął się papierosem i odłożył go do popielniczki.

– Sam jestem w tym pokoju – powiedział.

Lantry trwał w bezruchu.

– Pan jest martwy – rzekł McClure – ale to nie mój umysł doszedł do tego. To nie kwestia dedukcji. To sprawa zmysłów i podświadomości. Początkowo sądziłem: ten człowiek twierdzi, że jest martwy, że powstał z martwych, i uważa się za wampira. Czy brak tu logiki? Czy nie pomyślałby w ten sposób o sobie człowiek wychowany



w pełnej przesądów, słabo rozwiniętej kulturze, który tyle wieków przeleżał w grobie? Tak, to logiczne. Ten człowiek zahipnotyzował się i tak ustawił funkcje swego organizmu, że nie odbierają mu iluzji, nie naruszają jego wielkiej paranoi. On panuje nad swym oddechem. Wmawia sobie, że jeśli go nie słyszy, to znaczy, że jest martwy. Nie je i nie pije. Robi to prawdopodobnie w czasie snu, z udziałem tylko części świadomości, a później ukrywa dowody tych ludzkich odruchów przed swym omamionym umysłem. McClure kończył:

– Myliłem się. Pan nie jest szalony. Pan siebie nie zwodzi. Ani mnie. Brak w tym wszystkim logiki, co jest, muszę przyznać, przerażające. Czy odczuwa pan przyjemność na myśl, że pan mnie przeraża? Nie umiem pana sklasyfikować. Jest pan bardzo dziwnym człowiekiem, panie Lantry. Cieszę się, że pana poznałem. Sprawozdanie będzie naprawdę interesujące.

– Czy jest coś niewłaściwego w tym, że jestem martwy? – spytał Lantry. – Czy to przestępstwo?

– Musi pan jednak przyznać, że to bardzo niezwykle.

– Ale ja pytam, czy to jest przestępstwo?

– Nie mamy przestępstw ani sądów karnych. Oczywiście, chcemy pana zbadać, by ustalić, jak do tego doszło, że pan istnieje. To tak, jak z tym związkiem chemicznym, który do pewnego czasu jest obojętny i nagle staje się żywą komórką. Któż może powiedzieć gdzie, z czym i co się stało? Pan jest właśnie czymś takim. To wystarczy, żeby całkiem zwariować.

– Czy puścicie mnie po tych badaniach?

– Pan nie będzie zatrzymany. Jeśli pan sobie nie życzy, nie będziemy pana badać. Ale mam nadzieję, że pan nam pomoże.

– Ewentualnie.

– Ale proszę mi powiedzieć – rzekł McClure – co pan robił w kostnicy?

– Nic.

– Gdy wchodziłem, słyszałem, jak pan coś mówił.

– Byłem tam po prostu z ciekawości, – Pan kłamie. To bardzo źle, panie Lantry. Prawda jest daleko lepsza. A prawda jest taka, że pan jest martwy i jako jedyny przedstawiciel tego gatunku czuł się pan samotny. Zatem zabijał pan, by mieć towarzystwo.

– Jak pan na to wpadł? McClure roześmiał się.

– Logika, mój drogi przyjacielu. Kiedy przed chwilą stwierdziłem, że jest pan martwy naprawdę, że pan jest prawdziwym – jak pan to nazywa – wampirem (idiotyczne słowo!), natychmiast skojarzyłem pana z wybuchem w krematorium. Przedtem nie było powodu. Ale gdy tylko znalazłem brakujące ogniwo, łatwo było domyślić się pańskiej samotności, nienawiści, zazdrości, całej tej tandetnej motywacji

chodzącego trupa. I wtedy w oka mgnieniu ujrzałem wybuchające w płomieniach krematoria i pomyślałem sobie, że wśród ciał w kostnicy szukał pan pomocy, przyjaciół, ludzi sobie podobnych, by z nimi pracować...

– Niech cię diabli! – Lantry poderwał się z fotela. Był w pół drogi do McClure’a, gdy ten odskoczył i, robiąc unik, stracił karafkę. Z rozpaczą Lantry uświadomił sobie, że – jak idiota – nie wykorzystał jedynej szansy zabicia McClure’a. Powinien był zrobić to wcześniej. Jediną broń Lantry’ego stanowił właściwie ów margines bezpieczeństwa. Jeśli w tym społeczeństwie ludzie nigdy nie zabijają się nawzajem, to nikt nikogo nie podejrzewa. Do każdego można podejść i zabić go.

– Chodź tu! – Lantry rzucił nożem. McClure stanął za fotelem. Myśl o ucieczce, obronie i walce w dalszym ciągu była mu obca. Zaczęła mu dopiero świtać, ale Lantry miał jeszcze niewielką szansę, gdyby chciał z niej skorzystać.

– O, nie – powiedział McClure, zasłaniając się fotelem przed nacierającym mężczyzną. – Pan chce mnie zabić. To dziwne, ale tak jest. Nie mogę tego zrozumieć. Chce mnie pan skaleczyć tym nożem albo coś w tym rodzaju, a do mnie należy przeszkodzić panu w zrobieniu takiej dziwnej rzeczy.

– Zabiję cię! – wyrwało się Lantry’emu. Ugryzł się w język. To było najgorsze, co mógł powiedzieć.

Napierając piersią na fotel, Lantry starał się schwycić McClure’a.

McClure rozumował bardzo logicznie. – Zabijając mnie nic pan nie osiągnie. Pan to wie.

Mocowali się ze sobą w zajadłym uścisku. Z przewracających się stołów spadały przedmioty.

– Pamięta pan, co się stało w kostnicy? – Co mnie to obchodzi! – wrzasnął Lantry.

– Nie wskrzesił pan tych zmarłych, prawda?

– Gwiżdżę na to! – krzyknął Lantry.

– Proszę posłuchać – powiedział rozsądnie McClure – już nigdy więcej nie będzie takich jak pan, nigdy, nie ma po co.

– Więc zniszczę was wszystkich, co do jednego! – wrzasnął Lantry.

– I wtedy co? Będzie pan w dalszym ciągu bez siebie podobnych.

– Pojadę na Marsa. Tam są groby. Znajdę więcej takich jak ja!

– Nie – rzekł McClure – wczoraj wyszło tam zarządzenie. Ze wszystkich grobów usuwa się zwłoki. Zostaną spalone w przyszłym tygodniu.

Upadli na podłogę. Lantry schwycił McClure za gardło.

– Widzi pan – powiedział McClure – pan umrze.

– Jak to!? – krzyknął Lantry.

– Kiedy już pan nas wszystkich pozabija i zostanie sam, pan umrze! Umrze

nienawiść, która była motorem pana działania! To zawiść jest pana siłą napędową. Nic ponadto! Pan niechybnie umrze. Pan nie jest nieśmiertelny. Pan nawet nie jest żywy, jest pan tylko chodzącą nienawiścią.

– Gwizdź na to! – wrzasnął Lantry i zaczął go dusić i bić po głowie pięściami, siedząc na bezbronnym. McClure spojrział na niego gasnącymi oczami.

Otworzyły się frontowe drzwi i weszło dwóch mężczyzn.

– Co tu się dzieje? – powiedział jeden z nich. – Jakaś nowa gra?

Lantry odskoczył i rzucił się do ucieczki.

– Tak, nowa gra – powiedział McClure podnosząc się z wysiłkiem. – Złapcie go, to wygracie!

Mężczyźni schwytali Lantry'ego.

– Wygraliśmy – powiedzieli.

– Puście! – Lantry zaatakował, bijąc ich po twarzach. Poląła się krew.

– Trzymajcie go mocno! – krzyknął McClure.

Przytrzymali go.

– Ale brutalna gra – rzekł jeden z nich. – I co teraz?

Leśną drogą jechał żuk. Padał deszcz i wiatr szarpał mokre, ciemnozielone drzewa. Wewnątrz żuka, trzymając ręce na kierownicy, McClure mówił coś szemrzącym, hipnotyzującym szeptem. Dwaj inni mężczyźni siedzieli z tyłu. Z przodu siedział, a raczej leżał Lantry, z głową odchyloną do tyłu. Oczy miał półprzymknięte, a na jego policzkach odbijała się jaskrawa zieleń wskaźników z deski rozdzielczej. Usta mu złagodniały. Milczał.

McClure mówił spokojnie i logicznie o życiu i ruchu, o śmierci i bezruchu, o słońcu i o wielkim słonecznym krematorium, o opróżnionych cmentarzach, o nienawiści, o tym, jak nienawiść żyła i sprawiła, że pewien zmarły ożył i zaczął chodzić i jak bardzo nielogiczne było to wszystko, wszystko, wszystko. Jak ktoś jest martwy, martwy, martwy, to koniec, koniec, koniec. Nie próbuje się zmienić. Cicho szumiąc, samochód jechał drogą przesuwaną się pod kołami. Na przedniej szybie delikatnie rozpryskiwały się krople deszczu. Mężczyźni na tylnym siedzeniu rozmawiali cicho. Dokąd jechali, jechali, jechali? Do krematorium oczywiście. W powietrzu leniwie unosił się dym z papierosów, tworząc szare falujące spirale i pętle. Jak ktoś jest martwy, musi się z tym pogodzić.

Lantry nie ruszał się. Był jak marionetka, której odcięto sznurki. W sercu i w oczach, przypominających dwa węgielki, miał tylko odrobinę nienawiści – słabej, ledwo widocznej, gasnącej.

Jestem Poe – pomyślał. – Jestem wszystkim, co pozostało z Edgara Allana Poe, i jestem wszystkim, co pozostało z Ambrose'a Bierce'a, i wszystkim, co pozostało

z niejakiego Lovecrafta. Jestem szarym, nocnym nietoperzem o ostrych zębach i czarnym potworem z monolitu. Jestem Ozyrysem, Baalem i Setem. Księga śmierci i stojącym w płomieniach domem Usherów. Czerwonym Morem, człowiekiem zamurowanym w katakumbach z baryłką amontillado... Jestem tańczącym szkieletem. Trumną, całunem, błyskawicą odbijającą się w oknie starego domu. Jestem drzewem ogołoconym z liści przez jesień, przewalającym się grzmiotem. Pożółkłą księgą, której karty odwraca szponiasta ręka. Fisharmonią, grającą na poddaszu o północy. Jestem maską, maską śmierci, ukazującą się zza dębu ostatniego dnia października. Jestem gotującym się w kotle zatrutym jabłkiem dla dziecięcych ząbków do gryzienia... Czarną świecą palącą się przed odwróconym krzyżem. Wiekiem trumny, prześcieradłem z oczami, krokami w ciemnej klatce schodowej. Jestem Dunsanym i Machenem i legendą o Śpiącej Dolinie. Małpią Łapką i Upiorną Riksą. Jestem Kotem i Kanarkiem, Gorylem i Nietoperzem. Duchem ojca Hamleta na murach zamku.

To wszystko to ja. I te wszystkie rzeczy zostaną teraz spalone. Gdy żyłem – żyły jeszcze i one. Gdy poruszałem się, nienawidziłem, istniałem – one jeszcze istniały. Tylko ja je pamiętam. Jestem wszystkim, co z nich przetrwało i co zginie dzisiaj. Dziś spłonimy razem: i Poe, i Bierce, i ojciec Hamleta. Ułożą nas w wielką stertę i podpalą, jak fajerwerk w dzień Guya Fawkesa – z całą pirotechniką, pochodniami, krzykami i tak dalej.

A jakie podniesiemy larum! Świat będzie od nas wolny, ale odchodząc powiemy jeszcze: do czego podobny jest świat wyzuty ze strachu? Gdzie jest pełna tajemnic wyobraźnia z pełnych tajemnic czasów? Gdzie się podziela groza, lęk, niepewność dawnej wigilii Wszystkich Świętych? Wszystko to przepadło i nigdy nie wróci, zgładzone, roztrzaskane i spalone przez ludzi z raket i krematoriów, zniszczone i wymazane, zastąpione przez drzwi, które otwierają się i zamykają, przez światła, które zapalają się i gasną – nie budząc strachu. Żebyście choć pamiętali, jak żyliśmy kiedyś, czym była dla nas wigilia Wszystkich Świętych, kim był Poe i jak chlubiłiśmy się naszymi ciemnymi praktykami. No, to jeszcze jeden łyk amontillado, drodzy przyjaciele, przed spaleniem! To wszystko, wszystko istnieje, ale w ostatnim mózgu na ziemi. Dziś umiera cały świat. Jeszcze jeden łyk, błagam.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział McClure.

Krematorium było jasno oświetlone. W pobliżu rozlegała się cicha muzyka. McClure wyszedł z żuka, podszedł do drzwi z drugiej strony i otworzył je. Lantry po prostu leżał. Pod wpływem słów, logicznych słów, powoli wyciekło z niego życie. Teraz był tylko woskową lalką z odrobiną blasku w oczach. Ach, ten świat przyszłości, ci ludzie i ten ich sposób mówienia – jak logicznie wyperswadowali ci, żebyś przestał żyć. Nie chcieli w niego uwierzyć. Siła ich niewiary go zmroziła. Nie

mógł ruszyć ręką ani nogą. Mógł tylko mamrotać coś bez sensu, nieprzytomnie, mrugając oczami.

McClure i dwaj pozostali mężczyźni pomogli mu wysiąść z samochodu, włożyli go do złotej skrzyni i na stole na kółkach zawieźli do promieniejącego ciepłem budynku.

Jestem Edgar Allan Poe, Ambrose Bierce, wigilia Wszystkich Świętych, trumna, całun, Małpia Łapka, upiór, wampir...

– Tak, tak – cicho powiedział nad nim McClure. – Wiem, wiem.

Stół sunął. Kołysały się ściany nad nim i obok niego. Muzyka grała. Jesteś martwy. Logicznie martwy.

Nigdy już nie będę Usherem, Maelstrómem, Rękopisem Znalezionym w Butelce, Studnią i Wahadłem, Zdradzieckim Sercem, Krukiem, nigdy, przenigdy.

– Nigdy – powiedział McClure, kiedy tak szli cichutko. – Wiem.

– Jestem w katakumbach! – krzyknął Lantry.

– Tak, w katakumbach – rzekł nad nim jeden z mężczyzn.

– Przykuwają mnie łańcuchem do ściany, a tu nie ma butelki amontillado – słabym głosem zawołał Lantry, z zamkniętymi oczami.

– Wiem – powiedział ktoś.

Jakiś ruch. Otworzyły się drzwi przeciw ogniowe.

– Teraz ktoś zamurowuje celę. Zamyka mnie!

– Tak, wiem.

Szmer. Złota skrzynia wśliznęła się do śluzy ogniowej.

– Zamurowują mnie!!! Ale świetny kawał! Przepadnijmy! – dziki wrzask i wybuch śmiechu.

Otworzyły się wewnętrzne drzwiczki. Złota skrzynia runęła w ogień.

– Na miłość boską, Montresorze! Na miłość boską!

*Przełożył Marek Cegiela*

## GODZINA ZERO

Och, jak byczo! To ci dopiero zabawa! Takiej emocji nie było już dawno. Dzieciarnia wyskakiwała jak z katapulty, puszczając się klusem poprzez zielone trawniki, pokrzykując do siebie, trzymając się za ręce, wirując w, kołach, włącząc na drzewa, wybuchając śmiechem. Nad ich głowami szybowwały rakiety, z ulicy dobiegało buczenie aut podobnych do żuków – ale dzieci bawiły się dalej. Taka uciecha, taka wibrująca radość, taka ogłuszająca wrzawa.

Mink wpadła do domu, cała brudna i spocona. Jak na swoje siedem lat była hałaśliwa, silna i stanowcza. Mignęła tylko matce, pani Morris, wyszarpnęła szuflady i z grzechotem zgarnęła garnki i sztucce do obszernej torby.

- Wielkie nieba, Mink, co się dzieje?
  - Najfajniejsza zabawa na świecie! – wydyszała Mink z wypiekami na twarzy.
  - Odetchnij choć chwilę – powiedziała matka.
  - Nie, nic mi nie jest – sapała dziewczynka. – Wezmę te rzeczy, mam, dobrze?
  - Tylko nie powyszczerbiaj.
  - Dziękuję, dziękuję! – zawołała Mink i bum! – wyleciała jak rakietka.
- Pani Morris patrzyła w ślad za zmiatającym brzdącem.
- Jak się nazywa ta zabawa?
  - Inwazja! – odrzeczyknęła Mink. Trzasnęły drzwi.

Na każdym podwórku przy ich ulicy dzieciaki wносиły z domów noże i widelce, pogrzebaczki, stare rury od piecyków i klucze do otwierania puszek. Interesujący był fakt, że w tym nowym szaleństwie i całym tym zamieszaniu brały udział wyłącznie maluchy. Starsze dzieci, te powyżej dziesięciu lat, zignorowały całą sprawę i demonstrując swoje lekceważenie wymaszerowały na piesze wyprawy lub oddawały się bardziej dostojnej wersji zabawy w chowanego.

Tymczasem ich rodzice przyjeżdżali i odjeżdżali w swych chromowych żukach. Zjawiali się mechanicy, żeby zreperować pneumatyczne windy w domach, poprawić drgający obraz w telewizorze albo postukać młotkiem w zacinający się rurociąg spożywczy. Cywilizacja dorosłych przechodziła tuż obok zaabsorbowanych maluchów, zazdroszcząc pasji małym dzikusom, rozbawiona ich rozbrykaniem, z uczuciem żalu, że nie może się do nich przyłączyć.

– Tak i tak, i tak – Mink instruowała inne dzieci, co mają zrobić z wybranymi łyżkami i kluczami francuskimi. – Zróbcie to i przynieście tutaj. Nie! Tutaj, głuptasie. Dobrze. A teraz wracajcie na swoje miejsce, a ja to umocuję. – Wysunięty koniuszek języka, czoło w brzdach zamyślenia. – O, tak. Widzicie?

- Taaa...! – wołały dzieciaki. Nadbiegł dwunastoletni Joseph Connors.
- Spływaj – poradziła mu Mink.

– Ja chcę się bawić – powiedział Joseph. – Nie można – odparła Mink.

– Dlaczego?

– Bobyś się naśmiewał.

– Słowo daje, że nie.

– Aha, już my cię znamy! Spływaj, bo cię wykopiemy.

Drugi dwunastolatek nadjechał z warkotem na motorowych łyżwach.

– Hej, Joe! Chodź! Niech się te pętaki bawią same.

Joseph wyraźnie się ociągał.

– Ja chcę się bawić.

– Jesteś za stary – powiedziała Mink stanowczo.

– Nie taki stary – zauważył chłopiec rozsądnie.

– Śmiałyś się tylko i zepsułyś całą inwazję.

Chłopak na motorowych łyżwach wydał ustami nieprzyzwoity dźwięk.

– Chodź, Joe! Zostaw ich w spokoju z tymi bajeczkami. Bzdury!

Joseph powlókł się za nim, oglądając się cały czas za siebie aż do zakrętu.

Mink wróciła do swojej roboty. Sporządzała właśnie z zebranego sprzętu coś w rodzaju aparatu. Wyzaczyła drugą dziewczynkę, z bloczkiem i ołówkiem, która z bolesnym wysiłkiem gryzmoła jakieś notatki. Ich głosy unosiły się i opadały w ciepłym słońcu.

Wokół dudniło miasto. Ulice były obsadzone zielonymi, spokojnymi drzewami. I tylko wiatr mącił ten spokój, przelatując ponad miastem, ponad krajem, ponad całym kontynentem. W tysiącach innych miast też były drzewa i dzieci, i aleje; w cichych gabinetach swych biur biznesmeni nagrywali swoje głosy lub oglądali telewizję. Rakiety szybowały po błękitnie nieba podobne z daleka do cerujących igieł. Na całej ziemi królowało poczucie pewności i beztroski ludzi przywykłych już do pokoju i przekonanych, że go nigdy nic nie zakłóci. Ramię w ramię, ludzie na całym globie tworzyli wspólny front. Broń doskonałą z jednakową odpowiedzialnością dzierżyły wszystkie narody. Osiągnięto stan pełnej równowagi sił. Nie było już zdrajców, nieszczęśliwych ani utyskujących – świat opierał się na trwałych podstawach. Słońce oświetlało połowę kuli ziemskiej i drzewa drzemały w ciepłym powietrzu.

Matka Mink wyjrzała z okna na piętrze.

Dzieci. Popatrzyła na nie i pokręciła głową. No cóż, będą miały apetyt i będą dobrze spały, a w poniedziałek pójdą już do szkoły. Żywe srebro, niech je Bóg ma w swojej opiece. Nasłuchiwała.

Mink mówiła z przejęciem do kogoś koło krzewu róży – a przecież nikogo tam nie było.

Dziwne dzieci. I ta mała, jak jej na imię... Anna... zapisywała coś w bloczku.

Najpierw Mink pytała o coś krzew róży, potem odpowiedź podawała Annie.

- Trójkąt – powiedziała Mink.
- Co to jest trój...ką? – z trudem powtórzyła dziewczynka.
- Nieważne – orzekła Mink.
- Jak to się pisze? – zapytała Anna.
- Tr... – literowała wolno Mink, potem nagle ucięła. – Och, pisz sobie sama.

Promieniowanie – dyktowała dalej.

- Jeszcze nie mam trójkąta – przerwała jej Anna.
- No dobrze, pospiesz się – popędzała ja Mink.
- Pani Morris wychyliła się z okna.
- Trójkąt – podpowiedziała.
- Dziękuję pani – zawołała dziewczynka.
- Proszę bardzo. – Pani Morris cofnęła się ze śmiechem w głąb mieszkania

i zabrała się do odkurzania hallu elektromagnetycznym odkurzaczem.

Dziecięce głosy załamywały się w drgającym powietrzu.

- Promieniowanie – powtórzyła Anna.
- Cztery dziewięć siedem ABX – pani Morris usłyszała z daleka poważny głos Mink. – I sznur, i widelec, i szesześciosześciokątny.

W porze lunchu Mink wychyliła duszkiem mleko i już była przy drzwiach. Matka uderzyła w stół.

– Siadaj z powrotem – rozkazała. – Już podaję gorącą zupę. – Nacisnęła czerwony guzik robota kuchennego i w chwilę później coś wylądowało z łoskotem w impregnowanym pojemniku odbiorczym. Pani Morris wydobyła puszkę z aluminiowymi uchwyty, otworzyła ją jednym szarpnięciem i napełniła miskę gorącą zupą.

Przez ten czas Mink niecierpliwiła się:

- Pospiesz się, mamo! To sprawa życia i śmierci!
- Ja byłam taka sama w twoim wieku.
- Zawsze sprawa życia lub śmierci. Wiem, wiem.
- Mink rzuciła się na zupę.
- Wolniej – powiedziała matka.
- Nie mogę, Dryl na mnie czeka.
- Kto to jest Dryl? – zapytała matka. – Co za szczególne imię.
- Nie znasz go.
- Nowy chłopiec w sąsiedztwie?
- Tak, nowy – odpowiedziała Mink. Zaczęła już drugą miskę zupy.
- Skąd jest Dryl? – spytała matka.
- No, skądś – brzmiała wymijająca odpowiedź. – Śmiałybyś się ze mnie.



Wszyscy się tylko nabijają, psiakość!

– Dryl jest nieśmiały?

– Tak. Nie. W pewnym sensie. Ojej, mamó, muszę już lecieć, jeśli chcemy mieć tę inwazję!

– Czyją inwazję? Na kogo?

– Marsjan na Ziemię. No, może niezupełnie Marsjan. Oni są... Nie wiem skąd.

No, stamtąd – wskazała łyżką sufit.

– I stąd. – Matka dotknęła jej rozgorączkowanego czoła.

Mink zbuntowała się.

– Wyśmiewasz się. Zabiłabyś Dryla i wszystkich.

– Nic takiego nie miałam na myśli – powiedziała matka. – Dryl jest Marsjaninem?

– Nie. On jest...no...pewnie z Jupitera, Saturna czy Wenus. W każdym razie nie miał tam łatwego życia.

– Wyobrażam sobie. – Pani Morris zasłoniła usta ręką.

– Oni nie mogli znaleźć sposobu zaatakowania Ziemi.

– Jesteśmy niepokonani – powiedziała matka z udaną powagą.

– Tak właśnie mówił Dryl. Niekonieko... Właśnie to słowo, mamusiu.

– Nie do wiary. Dryl to mały geniusz.

– Więc nie mogli znaleźć sposobu, mamusiu. Dryl mówi... On mówi, że jeśli mają wygrać walkę, to trzeba wymyślić jakąś nową metodę, żeby zaskoczyć ludzi. Wtedy można wygrać. I jeszcze mówi, że potrzebna jest im pomoc przeciwnika.

– Piąta kolumna – podpowiedziała matka.

– Aha. Tak właśnie Dryl powiedział. I oni nie mogli znaleźć sposobu, jak zaskoczyć ludzi albo zapewnić sobie ich pomoc.

– Nic dziwnego, jesteśmy wystarczająco silni. – Matka roześmiała się, sprząając naczynia. Dziewczynka siedziała ze wzrokiem utkwionym w stół.

– Aż pewnego dnia – szepnęła melodramatycznie – pomyśleli o dzieciach.

– Aha – powiedziała pani Morris domyślnie.

– Oni pomyśleli, że dorośli są zawsze tak zajęci, że nigdy nie zagląдают pod krzaki róż ani nie patrzą na trawniki.

– Chyba że szukają ślimaków albo grzybów.

– I potem jeszcze mówił coś o wy...wymienię...

– Wymię?

– Wymiarze.

– A, wymiarze.

– O czterech wymiarach. I coś o dzieciach poniżej dziesięciu lat i o wyobraźni. Żebyś wiedziała, mamusiu, jak ciekawie mówi Dryl.

Pani Morris poczuła się zmęczona.

– Tak, z pewnością to musi być ciekawe. Ale nie możesz go dłużej trzymać. Robi się już późno, więc jeśli macie skończyć tę inwazję przed wieczorną kąpielą, to już lepiej pędź.

– To mam się dzisiaj kąpać? – burknęła Mink.

– Oczywiście. Dlaczego dzieci tak nie lubią wody. I to niezależnie od epoki.

– Dryl mówi, że już nie będę musiała się kąpać – powiedziała Mink.

– Co takiego?

– Mówił to wszystkim dzieciom. Nie będzie już więcej kąpeli. I możemy chodzić spać po dziesiątej. A w sobotę oglądać dwa spektakle telewizyjne zamiast jednego.

– Dobrze, dobrze. Lepiej niech pan Dryl nauczy się dobrze abecadła, bo jak porozmawiam z jego matką, to...

Mink podeszła do drzwi.

– Wciąż nam dokuczają tacy faceci, jak Pete Britz czy Dale Jerrick. Oni już są duzi. Wyśmiewają się z nas. Są gorsi od rodziców. I na pewno nie będą chcieli uwierzyć w Dryla. Są tacy ważni, bo są już duzi. Pozjadali wszystkie rozumy. Jeszcze parę lat temu byli mali. Ich nienawidzę najbardziej. Zabijemy ich na początku.

– Mnie i tatusia na końcu?

– Dryl mówi, że jesteś niebezpieczna. Wiesz, dlaczego? Bo ty nie wierzysz w Marsjan. Oni pozwolą nam rządzić światem. Nie tylko nam, dzieciom z sąsiedztwa też. Ja będę królową. – Otworzyła drzwi.

– Mamusiu?

– Tak?

– Co to jest logika?

– Logika? To, moja droga, znaczy wiedzieć, co jest prawdziwe, a co nie.

– O tym też mówił – powiedziała Mink. A imaimaimaginacja? – wymówienie tego słowa zajęło jej minutę.

– Hm, to znaczy... – Matka spuściła oczy, uśmiechając się lekko. – To znaczy, kochanie, być dzieckiem.

– Dziękuję za lunch! – Mink wybiegła, potem wsunęła jeszcze głowę. – Mamusiu, zobaczysz, nie będziesz bardzo cierpiała, naprawdę!

– Dziękuję ci – odparła matka. Trzaśnięcie drzwi.

O czwartej rozległ się dzwonek wideofonu. Pani Morris nacisnęła klawisz.

– Jak się masz, Helen? – powiedziała na powitanie.

– Jak się masz, Mary. Co słychać w Nowym Jorku?

– Dziękuję, wszystko w porządku. A co w Scranton? Wyglądasz na zmęczoną.

– Ty także. Dzieciaki; zawsze coś zmalują – powiedziała Helen.

Pani Morris westchnęła.

– Moja Mink też. Właśnie jest superinwazja.  
Helen uśmiechnęła się.  
– To i u was dzieci bawią się w tę grę?  
– O Boże, tak. Jutro będą to kanciaste pieniądze i zmotoryzowane „klasy”. Czy i my byliśmy takie niezdolne jako małe dziewczynki w 48?  
– Gorsze. Wtedy była moda na Japończyków i hitlerowców. Nie wiem, jak moi rodzice ze mną wytrzymywali. Byłam niezłe ziółko.  
– Rodzice przymykają na to oczy. Milczenie.  
– Stało się coś, Mary? – spytała Helen. Pani Morris miała półprzymknięte oczy, przesunęła językiem wolniutko, z namysłem, po dolnej wardze.  
– Co? – drgnęła. – Och, nic takiego. Tak sobie rozmyślałam o tym, co powiedziałaś. O przymykaniu oczu i w ogóle. Nieważne. O czym to mówiłyśmy?, – Mój Tim dostał bzika na punkcie jakiegoś... Dryl ma chyba na imię ten chłopak.  
– To musi być jakaś nowa moda. Mink też za nim szaleje.  
– Nie miałam pojęcia, że to doszło aż do Nowego Jorku. Widocznie krążyło z ust do ust. Rozmawiałam z Josephine i ona powiedziała, że jej dzieci – to jest w Bostonie – też wariują za tą nową grą. Ogarnęła już cały kraj.  
Mink właśnie przycwałowała do kuchni, żeby wychylić duszkiem szklanicę wody. Pani Morris odwróciła się do niej.  
– Jak idzie?  
– Prawie kończymy – odpowiedziała dziewczynka.  
– Nadzwyczajnie. A to co jest?  
– Jojo – odparła Mink. – Popatrz. Puściła jojo w ruch. Szpula zjechała w dół na sznurku i kiedy znalazła się na jego końcu... zniknęła.  
– Widziałas! – spytała Mink. – Hop! – Nawinęła ze świstem na sznurek szpulę, która znów się pojawiła.  
– Powtórz to jeszcze raz – poprosiła matka.  
– Nie mogę. Godzina zero – o piątej! Cześć! – Mink wyszła, nawijając ze świstem swoje jojo.  
Helen, w wideofonie, roześmiała się.  
– Tim przyniósł takie jojo dziś rano, ale kiedy się tym zainteresowałam, powiedział, że nie może mi pokazać. A jak chciałam puścić je w ruch, nie działało.  
– Nie masz wyobraźni – powiedziała pani Morris.  
– Co takiego?  
– Nieważne. Coś sobie przypomniałam.. Chciałaś coś ode mnie, Helen?  
– Tak, przepis na przekładaniec.  
Godziny wlokły się ospale. Dnia ubywało. Słońce schodziło coraz niżej na bezchmurnym błękitnie nieba. Wydłużały się cienie na zielonych trawnikach. Śmiechy

i ożywienie trwały nadal. Jakaś mała dziewczynka odbiegła od dzieci z płaczem. Pani Morris wyszła przed dom.

– Mini, czy to Peggy Ann płakała? Mink stała pochylona na podwórzu koło krzewu róży.

– Mhm. Ona jest tchórz. Nie chcemy, żeby się z nami bawiła. Jest za stara.

– I dlatego płakała? Bzdura. Odpowiadaj grzecznie, moja panno, albo wrócisz do domu.

Mink wierciła się, zmieszana i zirytowana zarazem.

– Nie mogę teraz odejść. Już niedługo inwazja. Będę grzeczna, mamusiu.

Przepraszam.

– Uderzyłaś Peggy?

– Nie, słowo daję. Zapytaj ją. Tylko ona... jest... no... panikara.

Dzieci otaczały pierścieniem Mink, która z marsmem na czole konstruowała właśnie jakieś kwadratowe urządzenie z łyżek, młotków i rur.

– Tak i tak – mruzczała do siebie.

– Ale co się stało? – spytała ją matka.

– Dryl utknął w połowie. Gdyby był z nami cały czas, byłoby nam łatwiej. Wtedy wszyscy mogliby pójść w jego ślady.

– Pomóc wam?

– Nie, dziękuję. Sama to zrobię.

– W porządku. Przygotuję ci kąpiel za pół godziny. Jestem już zmęczona czuwaniem nad tobą.

Weszła do mieszkania i usiadła na elektrycznym fotelu wypoczynkowym, popijając małymi łykami piwo z opróżnionej do połowy szklanki. Fotel masował jej kark. Dzieci, dzieci. Miłość idzie u nich w parze z nienawiścią. Potrafią raz cię kochać, a raz nienawidzić – a wszystko to w jednej sekundzie. Dziwne istoty. Czy kiedykolwiek zapomną lub przebaczą lanie czy szorstkie, surowe polecenia? Zastanawiała się. Jak można zapomnieć lub przebaczyć tym głupim, dużym tyranom.

Pływały godziny. Na ulicy narastała niepokojąca, pełna oczekiwania cisza.

Piąta godzina. Zegar dzwonił gdzieś w domu miękkim, melodyjnym, spokojnym głosem: „Piąta godzina. Piąta godzina. Nie trać czasu. Piąta godzina” – aż ucichł.

Godzina zero.

Z gardła pani Morris wydarł się zduszony śmiech. Godzina zero.

Samochód zuk zahuczał na podjeździe. Mąż. Uśmiechnęła się. Morris wysiadł z wozu, zamknął drzwi i pozdrowił Mink. Zajęta swoją robotą, zignorowała go. Z uśmiechem stał jeszcze przez chwilę, przyglądając się dzieciom. Potem wszedł na ganek.

– Cześć, kochanie.

– Cześć, Henry.

Siedziała, napięta jak struna, na brzeżku fotela. Nasłuchiwała. Dzieci były ciche. Za ciche.

Morris oczyścił fajkę i nabił ją ponownie.

– Ale upał. Ledwie żyję. Buuuu...

– Co to takiego? – zapytał Henry.

– Nie wiem. – Wstała gwałtownie z szeroko rozwartymi oczami. Chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Absurdalne. Nerwy miała napięte. – Dzieci nie mają przy sobie nic niebezpiecznego, prawda? – zapytała męża.

– Tylko rury i młotki. Dlaczego pytasz?

– Nic elektrycznego?

– Nie, do licha. Przecież patrzyłem.

Pani Morris poszła do kuchni. Buczenie powtórzyło się znowu.

– Znów to samo. Powiedz im, żeby się uspokoili. Już po piątej. Powiedz im... – jej źrenice rozszerzyły się gwałtownie, a potem znów zwężyły – powiedz im, żeby odłożyli inwazję do jutra. – Zaśmiała się nerwowo. Dźwięk potężniał.

– Co się tam dzieje? Pójdę lepiej zobaczyć.

Eksplozja!

Dom zadrżał od głuchego wybuchu. Rozległy się kolejne wybuchy na innych podwórkach.

Mimo woli pani Morris krzyknęła.

– Na górę! Tędy! – zawołała nieprzytomnie, sama nie wiedząc dlaczego. Może dostrzegła coś kątem oka, może poczuła dziwny zapach, usłyszała nowy hałas. Nie było czasu tłumaczyć tego Henry’emu. Niech myśli, że zwariowała. Tak, zwariowała. Z krzykiem pobiegła na górę. Mąż biegł za nią, żeby zobaczyć, co się stało. – Na strychu! – wołała. – To tam! – Był to mizerny podstęp, żeby go zwabić na górę. Och, Boże, w samą porę!

Kolejna eksplozja na zewnątrz. Dziecięce krzyki, pełne uciechy jak na pokazie fajerwerków.

– To nie na strychu! – krzyknął Henry. – To na zewnątrz!

– Nie, nie – ciężko dysząc wdrapywała się na strych. – Pokażę ci. Pospiesz się. Pokażę ci.

Wpadli na strych. Zatrzasnęła drzwi, przekręciła klucz i cisnęła w najdalszy zakurzony kąt.

Bełkotała bezradnie. Dopiero teraz z niej to wyszło: na pół uświadamiane podejrzenia i lęk, który gromadził się w niej skrycie przez całe popołudnie i fermentował jak wino. Wszystkie te drobne odkrycia, wiadomości i przecucia, które dręczyły ją przez cały dzień i które uważnie, rozsądnie i logicznie cenzurowała

i odrzucała – teraz eksplodowały w niej mszcząc jej spokój.

– Tutaj – szlochała pod drzwiami – jesteśmy bezpieczni do nocy. Może nam się uda chyłkiem stąd wymknąć. Może zdołamy uciec.

Henry wybuchnął także, ale z całkiem innego powodu:

– Czyś ty zwariowała!?! Dlaczego wyrzuciłaś klucz? Psiakrew!

– Tak, tak, zwariowałam, ale zostań tu ze mną.

– Ciekawe, jak miałbym stąd wyjść?

– Ciszej. Mogą nas usłyszeć. O, mój Boże, i tak nas znajda...

Pod nimi rozległ się głos Mink. Morris nasłuchiwał. Słysząc było ogłuszający hałas i krzyki, i chichoty. Na parterze wideofon dzwonił nieustannie, alarmująco, donośnie. Czy to Helen dzwoni, zastanawiała się pani Morris, i czy w tej sprawie, o której myślę?

Kroki. Ciężkie kroki.

– Kto się ośmielił wejść do mojego domu? – rozgniewał się Henry. – Kto tam łązi?

Ciężkie kroki. Dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt. Pięćdziesiąt osób tłoczy się w domu. Buczenie. Dziecięce chichoty.

– Tędy! – głos Mink na dole.

– Kto tam! – zaryczał Henry.

– Szz... Och, nienienienie! – mówiła żona, osłabła, powstrzymując go. – Proszę cię, uspokój się. Może odejdą.

– Mamo?! – zawołała Mink. – Tato? – Pauza. – Gdzie jesteście?

Ciężkie kroki, ciężkie, ciężkie, bardzo ciężkie kroki na schodach. Mink prowadzi.

– Mamo? – Wahanie. – Tatusiu? – Oczekiwanie. Cisza.

Buczenie. Kroki na strych. Mink jest pierwsza.

Morrisowie dygotali w ciszy na strychu. Nie wiadomo dlaczego, naraz to elektryczne buczenie, dziwne zimne światło w szparze pod drzwiami, dziwny zapach i obcy poządlivy ton w głosie Mink – dotarły w końcu do świadomości Henry'ego. Stał w mroku, drżąc, za nim jego żona.

– Mamo! Tatusiu!

Kroki. Ciche buczenie. Zamek w drzwiach stopniał. Drzwi otwarły się. Mink zajrzała do środka. Za nią wysokie błękitne cienie.

– A kuku! – powiedziała Mink.

*Przełożyła Ewa Kieruzalska*

## CZŁOWIEK

Kapitan Hart stał we włązie rakiety.

– Dlaczego nie przychodzą? – odezwał się.

– Skąd ja mam wiedzieć, kapitanie? – odparł jego zastępca Martin.

– Gdzie my w ogóle jesteśmy? – Kapitan zapalił cygaro. Odrzucił zapałkę w migotliwą łąkę. Trawa zajęła się. Martin sięgnął butem. – Zostaw – rozkazał kapitan – niech się pali. Może wtedy przylecą zobaczyć, co się dzieje, głupie barany. – Martin wzruszył ramionami i wycofał nogę z rozszerzających się płomieni. Kapitan Hart spojrział na zegarek. – Wylądowaliśmy tu godzinę temu, a ja nie widzę żadnego komitetu powitalnego z orkiestrą dętą, który by spieszył uścisnąć nam dłonie. Nic podobnego! My przebywamy miliony mil przestrzeni kosmicznej, a szanowni obywatele jakiejś miejsciny na jakiejś zapadłej planecie po prostu nas ignorują! – Sapał gniewnie i zastukał w zegarek. – Dobrze, dam im jeszcze pięć minut, a potem...

– A potem co? – zapytał uprzejmie, jak zwykle Martin obserwując, jak mu latają szczęki.

– Jeszcze raz przelecimy się nad ich cholernym miastem, ale wtedy narobią w majtki ze strachu. – Mówił już spokojniej. – Jak myślisz, Martin, może nie widzieli, jak lądowaliśmy?

– Widzieli nas. Patrzyli w górę, jak przelatywaliśmy. – Więc dlaczego nie pędzą tu na złamanie karku? Kryją się? Tchórz ich obleciał? – Martin pokręcił głową.

– Nie. Oto lornetka, sir. Proszę się przekonać na własne oczy. Spacerują sobie. Nie są wystraszeni. Oni... no... oni wyglądają, jakby ich to nie obchodziło.

Kapitan Hart przyłożył lornetkę do zmęczonych oczu. Martin miał teraz czas przyjrzeć się zmarszczkom i bruzdom na jego twarzy, które wyłobiły irytacja, zmęczenie i podenerwowanie. Kart wyglądał, jakby miał milion lat; prawie nie sypiał, jadł niewiele i tylko parł naprzód i naprzód. Teraz usta jego poruszyły się pod lornetką, postarzałe i posepne, lecz uparte.

– Prawdę mówiąc, Martin, nie wiem, po co zawracamy sobie głowę. Budujemy rakiety, zadajemy sobie trud pokonując przestrzenie kosmiczne w ich poszukiwaniu i ot@, co z tego mamy. Lekceważenie. Popatrz na tych szwendających się tam idiotów. Czy nie zdają sobie sprawy z wagi wydarzenia? Pierwszy pojazd kosmiczny na ich zadupiu. Jak często to ich spotyka? Czy aż tak są zblazowani?

Martin nie wiedział. Kapitan Hart znużonym ruchem oddał mu lornetkę.

– Po co to robimy, Martin? Myślę o tej wyprawie kosmicznej. Zawsze w drodze. Zawsze w pogoni za czymś. Zawsze silni, zwarci i gotowi, nigdy odpoczynku.

– Może szukamy ciszy i spokoju. A na Ziemi nie ma tego na pewno.

– Nie, nie ma. – Kapitan Hart był zamyślony, ogień przygasł. – Nie ma od czasu

Darwina, prawda? Od czasu, kiedy wszystko wyrzuciliśmy za burzę, wszystko, w co kiedyś wierzyliśmy. Moc boska i tak dalej. Może dlatego sięgamy do gwiazd, co, Martin? W poszukiwaniu naszych utraconych dusz, co o tym sądzisz? Usiłujemy zwać ze złej planety na dobrą?

– Możliwe, sir. Na pewno czegoś szukamy. Kapitan Hart odchrząknął i twarz stężała mu na nowo.

– Dobra. Ale w tej chwili szukamy burmistrza tego miasteczka. Leć tam, powiedz im, kim jesteśmy: pierwsza wyprawa kosmiczna na Planetę 43 w Trzecim Systemie Słonecznym. Kapitan Hart przesyła ukłony i pragnie widzieć się z burmistrzem.

Biegiem.

– Rozkaz, sir.... Martin zaczął powoli iść przez łąkę.

– Pośpiesz się! – rzucił kapitan.

– Rozkaz, sir.

Martin ruszył truchtem. Za chwilę zwolnił, uśmiechając się do siebie.

Kapitan wypalił dwa cygara do jego powrotu. Martin zatrzymał się i podniósł głowę z ociąganiem patrząc na właz rakiety, wyraźnie niezdolny do skupienia na czymś wzroku ani zebrania myśli.

– No więc? – rzucił oschle kapitan. – Co się stało? Przychodzą nas powitać czy nie?

– Nie. Martin musiał oprzeć się o statek.

– Dlaczego nie?

– Bo to jest bez znaczenia – powiedział Martin. – Proszę o papierosa, kapitanie. – Macał bezradnie w ciemności, oślepiiony blaskiem złocistego miasta. Zapalił i zaciągał się w milczeniu przez długi czas.

– Powiedz coś! – zawołał kapitan. – Czy nie interesuje ich nasza rakieta?

– Co? – zapytał Martin. – Och, rakieta? – Przyjrzał się swemu papierosowi. -

Nie. Nie interesuje ich rakieta. Wydaje się, że przybyliśmy w niestosownym momencie.

– Niestosownym momencie!

Martin był cierpliwy.

– Kapitanie, proszę posłuchać. Coś wielkiego zdarzyło się wczoraj w tym mieście. Tak wielkiego i ważnego, że my się nie liczymy, jesteśmy bez znaczenia. Muszę usiąść. – Zachwiał się i klapnął na ziemię, dysząc ciężko. Kapitan gniewnie żuł cygaro.

– Co się stało?

Martin podniósł głowę, wiatr rozwiewał dym z papierosa tkwiącego między jego palcami.

– Sir, wczoraj w tym mieście pojawił się niezwykle człowiek – dobry,



inteligentny, litościwy i nieskończenie mądry!

Kapitan wpatrywał się w swego zastępcę.

– Co to ma wspólnego z nami?

– Trudno wytłumaczyć. Ale był to ten człowiek, na którego oni czekali bardzo długo, może milion lat. I wczoraj wkroczył do ich miasta Dlatego dziś, sir, lądowanie naszej rakiety nie ma żadnego znaczenia.

Kapitan gwałtownie usiadł.

– Kto to był? Chyba nie Ashley? Nie przybył swoją rakieta przed nami, aby okraść mnie z chwały, co? – Złapał Martina za ramię. Twarz miał pobladłą i zatroskaną.

– Nie Ashley, sir.

– A więc to Burton.! Wiedziałem. Burton wyprzedził nas ukradkiem i zniweczył moje plany! Nikomu już nie można ufać.

– Ani Burton, sir – rzekł łagodnie Martin. Kapitan nie dowierzał. – Były tylko trzy rakiety. My byliśmy pierwsi. Co to za człowiek, który dostał się tu przed nami? Jak się nazywa?

– Nie ma imienia. Nie potrzebuje. Na każdej planecie, sir, zwa go inaczej.

Kapitan wlepił twardy, cyniczny wzrok w swego zastępcę.

– A co on zrobił takiego cudownego, że nikt nawet nie rzuci okiem na naszą rakieta?

– Po pierwsze – powiedział spokojnie Martin – leczył chorych i pocieszał ubogich. Zwalczał hipokryzję i brudy polityki, i siedział z ludźmi; rozmawiał z nimi przez cały dzień.

– I to ma być takie cudowne?

– Tak, kapitanie.

– O co chodzi? – Kapitan stanął przed Martinem, zaglądając mu w oczy. – Pięś, co? – Głos miał podejrzliwy. Cofnął się. Nic nie rozumiem.

Martin spoglądał na miasto.

– Kapitanie, jeżeli pan nie rozumie, nikt panu nie wytłumaczy.

Kapitan popatrzył w tym samym kierunku. Miasto było ciche i piękne, spowite w majestatyczny spokój. Kapitan postąpił krok do przodu, wyjmując cygaro z ust. Spojrzał z zezą na Martina, następnie na złote, strzeliste dachy budynków.

– Nie powiesz chyba... nie możesz twierdzić, że ten człowiek, o którym opowiadasz, to...

Martin skinął głową.

– To właśnie chciałem powiedzieć, sir. Kapitan stał bez ruchu, w milczeniu.

Wyprostował się.

– Nie wierzę – powiedział w końcu.

W samo południe kapitan Hart dziarsko wmaszerował do miasta w towarzystwie porucznika Martina i adiutanta dźwigającego jakieś elektryczne urządzenie. Przez całą drogę co chwila wybuchał głośnym śmiechem, co parę kroków ujmował się pod boki i kręcił głową.

Burmistrz wyszedł mu na spotkanie. Martin ustawił trójnog, przymocował do niego aparaturę i podłączył baterie.

– Pan jest burmistrzem? – kapitan wskazał palcem.

– Tak, jestem – odparł burmistrz.

Między nimi stało skomplikowane urządzenie sterowane i nastrojone przez Martina do spółki z asystentem. Dokonywało błyskawicznego tłumaczenia z każdego języka.

– Chodzi mi o to wczorajsze wydarzenie – powiedział kapitan. – Zdarzyło się rzeczywiście?, – Tak.

– Macie świadków?, – Mamy.

– Możemy z nimi porozmawiać?

– Pytajcie kogokolwiek z nas – odparł burmistrz. – Wszyscy jesteśmy świadkami.

Na stronie kapitan rzekł do Martina:

– Zbiorowa halucynacja. – I do burmistrza: – Jak ten człowiek... ten nieznajomy... wyglądał?

– To trudno powiedzieć – burmistrz uśmiechnął się z lekka.

– Dlaczego trudno?

– Opinie mogłyby się nieco różnić.

– Mimo wszystko chciałbym znać pana opinię, sir. Nagraj to – rzucił Martinowi przez ramię. Porucznik nacisnął guzik kieszonkowego magnetofonu.

– No więc – odezwał się burmistrz miasta – był to człowiek niezwykle łagodny i uprzejmy. O wielkiej wiedzy i inteligencji.

– Dobrze, dobrze, wiem, wiem – kapitan machnął ręką. – Ogólniki. Chcę czegoś konkretnego. Jak on wyglądał?

– Nie wydaje mi się, by to było ważne – odparł burmistrz.

– To jest niezwykle ważne – z uporem powiedział kapitan.

– Chcę mieć rysopis tego faceta. Jeżeli nie dostanę od pana, poproszę innych. –

I zwrócił się do Martina: – Daję głowę, że to Burton wykręcił im ten numer.

Martin nie śmiał spojrzeć mu w oczy. Milczał oziębło. Kapitan strzelił palcami. – Kogoś tu... jakoby... uzdrowił?

– Wielu uzdrowił – powiedział burmistrz.

– Mogę zobaczyć jeden przypadek?

– Proszę, mój syn – wskazał burmistrz. Chłopiec wystąpił z tłumu. – Nie władał ręką. Teraz proszę spojrzeć.

Kapitan uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Wie pan, że to niczego nie dowodzi, nawet pośrednio. Nie widziałem jego chorej ręki. Widzę ją jedynie całą i zdrową. Jaki ma pan dowód, że wczoraj była bezwładna, a dziś nie jest?

– Moje słowo – odparł z prostotą burmistrz.

– Mój pocziwy człowieku! – zawołał kapitan. – Chyba nie oczekuje pan, że uwierzę na słowo?! Z pewnością nie!

– Przepraszam – powiedział burmistrz przyglądając się kapitanowi z wyrazem jakby zaciekawienia i współczucia.

– Czy istnieje jakikolwiek wizerunek chłopca chociaż z przedwczoraj? – Po chwili miał przed oczyma wielki portret olejny chłopca z bezwładną ręką.

– Drogi przyjacielu! – Kapitan lekceważącym gestem dłoni odsunął obraz. – Namalować można wszystko. Obrazy kłamią. Dajcie mi fotografię.

Fotografii nie było. Nie znali tej sztuki.

– Dobrze – westchnął kapitan, twarz mu nerwowo drgała – pozwól mi porozmawiać z ludźmi. Gonimy w piętkę. – Wskazał palcem jakąś kobietę. – Ty. – Zawahała się. – Tak, pani, do mnie – rozkazał kapitan. – Proszę mi opowiedzieć o tym cudownym człowieku, którego pani widziała wczoraj. Spokojnie mierzyła go wzrokiem.

– Był wśród nas, piękny i dobry.

– Kolor jego oczu?

– Kolor słońca, kolor morza, kwiatów, gór, kolor nocy.

– Dosyć. – Kapitan wyrzucił ręce do góry. – Widzisz, Martin? Bzdura. Jakiś szarlatan pęta się szepcząc im różne słodkie głupstwa i...

– Proszę przestać – odezwał się Martin. Kapitan cofnął się o krok.

– Co takiego?

– Słyszał pan, co powiedziałem – odparł Martin. – Lubię tych ludzi. Wierzę im. Ma pan prawo do własnego zdania, ale niech je pan chowa dla siebie, sir.

– Nie możesz tak do mnie mówić! – wrzasnął kapitan.

– Mam po dziurki w nosie pańskiej bezwzględności – ciągnął Martin. – Niech pan da spokój tym ludziom. Jest w nich coś dobrego i uczciwego, a pan przychodzi, plugawi ich dom i szydzi z nich. Ja też z nimi rozmawiałem. Szedłem przez miasto i widziałem ich twarze – mają w sobie coś, czego pan nigdy nie będzie miał: pokorną, szczerą wiarę, która góry poruszy. Pan... pan jest wściekły, że ktoś pana ubiegł, dotarł tu wcześniej i sprawił, że pan się nie liczy.

– Daję ci pięć sekund, abyś skończył – zaznaczył kapitan. – Wszystko rozumiem. Jesteś u kresu wytrzymałości, Martin. Miesiące w podróży kosmicznej, nostalgia, samotność. A teraz ta historia, ja rozumiem, Martin. Uważajmy tę twoją drobną

niesubordynację za niebyłą.

– Ale ja nie mogę uważać za niebyłą pańskiej drobnej tyranii – odparł Martin. – Mam dość. Zostaję tutaj.

– Nie zrobisz tego!

– Nie zrobię? Niech pan spróbuje mnie powstrzymać. Ja tego właśnie szukałem. Nie zdawałem sobie sprawy, ale szukałem właśnie tego. Dla siebie. A pan niech zabiera swoje brudy i kala inne gniazda wątpliwościami i swym... naukowym podejściem! – Rozejrzał się szybko dokoła. – Ci ludzie czegoś doznali, ale pan nie może tego zrozumieć, a szczęśliwym zrzędzeniem losu przybyliśmy prawie na czas, aby wziąć w tym udział. Ludzie na Ziemi mówią o tym człowieku od dwudziestu stuleci, od czasów gdy chodził po starym świecie. Wszyscy pragniemy go ujrzeć i usłyszeć, lecz nigdy nie dano nam tej szansy. I teraz, dzisiaj, właśnie spóźniliśmy się o parę godzin na to spotkanie.

Kapitan Hart przypatrywał się twarzy Martina.

– Płaczesz jak bóbr. Przestań.

– Wszystko mi jedno.

– Mnie nie. Musimy trzymać fason przed nimi. Jak powiedziałem, wybaczam ci.

– Nie chcę pańskiego wybaczenia.

– Idioto. Nie poznajesz typowej sztuczki Eurtena: ogłupić ludzi, oszukać ich, aby zamiast kościołów zakładać naftowe i kopalniane koncerny. Dureń jesteś, Martin. Skończony dureń. Powinieneś już poznać Ziemian. Nie cofną się przed niczym – świętokradztwo, kłamstwo, oszustwo, kradzież, rozbój, aby tylko dopiąć swego. Cel uświęca środki. Pragmatyk całą gębą, oto Burton. Znasz go! – Kapitan dalej szydził okrutnie. – Miej odwagę, Martin, przyznaj, że to jest świństwo w stylu Burtona, skołować ludzi i w odpowiednim momencie ich wykorzystać.

– Nie – powiedział Martin, wążąc to w myślach.

Kapitan uniósł dłoń do góry.

– To Burton. To on. Jego świństwa, jego nikczemność. A jednak podziwiam tego łobuza. Zjawia się tu jak płomień, w blasku ognia, w aureoli, z ciepłym słowem i gestem miłości, tu z leczniczym balsamem, ówdzie z uzdrawiającymi promieniami. To cały Burton.

– Nie – głos Martina brzmiał nieprzytomnie. Zakrył oczy. – Nie, nie wierzę.

– Nie chcesz wierzyć. – Kapitan Hart nie rezygnował. – Spójrz wreszcie prawdzie w oczy. Spójrz! To jest podobne do Burtona. Nie śnij na jawie, Martin. Obudź się! Jest dzień. To realny świat, a my jesteśmy prawdziwymi, nikczemnymi ludźmi – tak jak i Burton! Martin odwrócił się.

– Dobrze już, dobrze, Martin – powiedział Hart, machinalnie poklepując go po plecach. – Rozumiem. To szok dla ciebie. Wiem. Cholerny wstyd i tak dalej. Ten

Burton te kanalia. Przestań się przejmować. Już ja się tym zajmę. – Martin powoli odszedł w kierunku rakiety. Kapitan Hart spoglądał jakiś czas za nim, po czym odetchnął głęboko i zwrócił się do przesłuchiwanej kobiety:

– Proszę mi opowiedzieć coś jeszcze o tym człowieku. Zaraz, co to pani mówiła?

Później załoga statku kosmicznego zjadła kolację przy składanym stoliku na dworze. Kapitan dzielił się informacjami z Martinem, który, z zaczerwienionymi oczyma, siedział milczący i zamyślony nad talerzem.

– Przepytałem ze trzydzieści kilka osób; wszyscy opowiadają te same bzdury – powiedział kapitan. – Zgadza się, to robota Burtona, jestem pewny. Zwali się tu jutro czy w przyszłym tygodniu, aby zdyskontować swoje cuda i sprzątnąć nam sprzed nosa umowy. Nie ruszę się stąd i zepsuję mu zabawę.

Martin spojrział ponuro.

– Zabiję go – powiedział.

– No, Martin, bez kawałów! Uspokój się.

– Zabiję go, przysięgam, zabiję.

– Powstrzymamy jego zapędy. Musisz przyznać, że jest sprytny. Amoralny, lecz sprytny.

– Jest ohydny.

– Obiecuj, że nie dasz się ponieść nerwom. – Kapitan Hart zajrzał do notatek. – Naliczyłem trzydzieści cudownych uzdrowień, przywrócenie wzroku ślepemu, wyleczenie z trądu. Tak, Burton jest zdolny, trzeba mu to przyznać.

Zadźwięczał gong. W chwilę później nadbiegł ktoś z załogi.

– Kapitanie, meldunek. Ląduje statek Burtona! Statek Ashleya też.

– Widzicie ich! – Kapitan Hart walnął w stół. – Szakale, przybywają na ucztę!

Nie mogą się już doczekać. Niech no ja się tylko z nimi spotkam. Już ja zmuszę ich do włączenia nas do gry. Zmuszę!

Martin wyglądał, jakby mu było słabo. Przeszywał kapitana spojrzeniem.

– Interesy, drogi chłopcze, interesy – powiedział kapitan. Wszyscy wpatrywali się w niebo. Z góry opuszczały się dwie rakiety, aż wreszcie wylądowały roztrzaskując się bez mała.

– Co ci idioci wyprawiają? – wrzasnął kapitan zrywając się na równe nogi.

Ludzie pobiegli przez łąki do parujących statków. Przybył i kapitan. Na statku Burtona odskoczył właz komory powietrznej. Człowiek wypadł im w ramiona. – Co się stało? – krzyknął kapitan. Przybysz leżał na ziemi. Pochylili się nad nim. Był poparzony. Ciężko poparzony. Ciało pokrywały rany, blizny i spalona, dymiąca skóra. Otworzył zapuchnięte powieki i poruszył sztywnym językiem widocznym między splekanymi wargami, – Co się stało? Mów! – rozkazał kapitan klękając i szarpiąc rannego za ramię.

– Czterdzieści osiem godzin temu – wyszeptał umierający – w głębi Siedemdziesiątego Dziewiątego Sektora Kosmicznego w pewnej odległości od Planety Pierwszej tego systemu... nasz statek i statek Ashleya... wpadliśmy w sztorm kosmiczny, sir. – Krew pociekła mu z ust. – Zginęli. Cała załoga. Burton nie żyje. Ashley zmarł przed godziną. Tylko trzech ocalało.

– Czy lądujecie po raz pierwszy na tej planecie? – krzyknął kapitan Hart pochylając się nad krwawiącym mężczyzną. Cisza.

– Odpowiedz mi! – zawołał Hart.

– Tak – odparł konający. – Burton zginął dwa dni temu. To jest pierwsza planeta, na której lądujemy od sześciu miesięcy.

– Na pewno?

– Na pewno, na pewno – wymamrotał.

– Burton nie żyje od dwóch dni? Ręczysz za to?

– Tak, tak – wyszeptał ranny. Głowa opadła mu na piersi. Nie żył.

Kapitan klęczał przy nieruchomym ciele. Twarz miał skurczona, mięśnie drgały mu konwulsyjnie. Członkowie załogi trzymali się z tyłu patrząc w ziemię. Martin czekał. Wreszcie kapitan poprosił, aby pomogli mu się podnieść. Stali spoglądając na miasto.

– To znaczy...

– To znaczy? – odezwał się Martin.

– Że nikogo tu przed nami nie było – wyszeptał kapitan Hart. – A tamten człowiek...

– Co z tamtym człowiekiem, kapitanie? – zapytał Martin. Kapitan nie panował nad swoją twarzą. Biały jak papier, wyglądał bardzo staro. Oczy miał szkliste. Zrobił krok do przodu po suchej trawie.

– Chodź, Martin. Chodź. Trzymaj mnie, trzymaj. Boję się, że upadnę. I pospieszmy się. Nie mamy czasu do stracenia.

Szli ku miastu w podmuchach wiatru, potykając się w wysokiej, wyschniętej trawie.

W parę godzin potem siedzieli w sali Rady Miejskiej. Ludzie przychodzili, opowiadali, znikali – były ich tysiące. Kapitan siedział nieporuszony, ze ściągniętą twarzą i słuchał, słuchał. Tyle było światła w twarzach tych, którzy przybywali, świadczyli, powtarzali, że nie mógł znieść ich widoku. I przez cały ten czas jego dłonie, drżące, gdzieś wędrowały.

Na koniec kapitan Hart zwrócił się do burmistrza i patrząc nań dziwnie rzekł:

– Ale wy musicie wiedzieć, dokąd on poszedł?

– Nie powiedział, dokąd odchodzi – odparł burmistrz.

– Na którąś z pobliskich planet?, – Nie wiem.

– Musisz wiedzieć.

– Widać go tam? – zapytał burmistrz wskazując tłum.

Kapitan rozejrzał się.

– Nie.

– Więc chyba odszedł – powiedział burmistrz.

– Chyba! – zawołał kapitan załamującym się głosem. – Popełniłem okropny błąd i chcę go teraz naprawić. Dopiero teraz do mnie dotarło, że jest to najbardziej niezwykle wydarzenie w historii. I trafić na coś takiego! Przecież szansa jest jedna na miliard, a jednak przybyliśmy na tę jedyną spośród milionów planet w dzień po jego odejściu. Musicie wiedzieć, dokąd się udał!

– Każdy odnajduje go na swój sposób – odparł łagodnie burmistrz.

– Wy go ukrywacie.

Na twarzy kapitana zagościł nieprzyjemny grymas. Stopniowo powracał na nią wyraz dawnej zawziętości. Kapitan zaczął się podnosić.

– Nie – powiedział burmistrz.:

– A więc wiesz, gdzie on jest? – Palce kapitana kurczowo zacisnęły się na skórzanym futerale u prawego boku.

– Dokładnie nie mógłbym panu wskazać miejsca jego pobytu – rzekł burmistrz.

– Radzę zacząć mówić – kapitan wyjął mały, stalowy rewolwer.

– Nic nie mogę powiedzieć – odezwał się burmistrz.

– Łżesz!

Burmistrz przyglądał mu się ze współczuciem.

– Pan jest bardzo zmęczony – powiedział. – Przebył pan długą drogę i należy do tych strudzonych ludzi, którzy żyli bardzo długo bez wiary, a teraz tak bardzo pragnie pan uwierzyć, że sam sobie przeszkadza. Będzie panu jeszcze ciężiej, gdy pan popełni zabójstwo. Nigdy go pan w ten sposób nie znajdzie.

– Dokąd poszedł? Powiedział panu, pan wie. Mów! – Kapitan wymierzył w niego rewolwer. Burmistrz przecząco pokręcił głową. – Mów! – strzelił raz, potem drugi. Burmistrz upadł chwytając się za ramię. Martin skoczył do niego.

– Kapitanie!

Lufa skierowała się na Martina.

– Nie wtrącaj się!

Burmistrz spoglądał na kapitana z podłogi, nadal trzymając się za zranione ramię.

– Odłóż pistolet. Robisz krzywdę samemu sobie. Nigdy nie wierzyłeś, a teraz strzelasz do ludzi, bo ci się wydaje, że wierzysz.

– Obejdę się bez ciebie – odparł Hart stając nad nim. – Skoro przybyłem tu o dzień za późno, pojedę na inną planetę i dalej na następną i na jeszcze następną. Może spóźnię się o pół dnia na drugą i o ćwierć na trzecią planetę, o dwie godziny na

następną, a potem o godzinę, o pół godziny, o minutę. Ale wreszcie pewnego dnia go dopadnę. Słyszysz?! – Krzyczał teraz pochylając się ciężko nad leżącym. Ze znużenia słańiał się na nogach. – Idziemy, Martin. – Pistolet zwisał mu bezwładnie w dłoni.

– Nie – powiedział Martin. – Ja tu zostanę.

– Głupiec. Zostań sobie, skoro chcesz, ale ja ruszam dalej, z innymi, jak daleko zdołam dotrzeć.

Burmistrz spojrział na Martina.

– Nic mi nie będzie. Zostaw mnie. Tu mi opatrzą rany.

– Zaraz wracam – powiedział Martin. – Idę tylko do rakiety.

Maszerowali w szaleńczym pośpiechu przez miasto. Każdy widział, z jakim wysiłkiem kapitan stara się przywołać całą swą dawną żelazną wolę, aby móc stawiać kroki. Gdy dotarł do rakiety, trzęsącą się dłonią poklepał jej korpus. Schował pistolet i spojrział z ukosa na Martina.

– Jak, Martin?

Martin nie spuszczał z niego wzroku.

– Jak, kapitanie?

Oczy kapitana zwrócone były ku niebu. – Zdecydowałeś się już, nie pójdziesz ze mną, tak?

– Nie, sir. – Boże, to dopiero będzie przygoda. Wiem, że go znajdę.

– To już teraz dla pana sprawa życia i śmierci, prawda, sir? – zapytał Martin.

Twarz kapitana wykrzywiła się, powieki zamknęły.

– Tak!

– Mogę o coś zapytać?

– O co?

– O co pan go poprosi, jak go już znajdziecie... o ile go w ogóle znajdziecie?

– Ależ... – kapitan zająknął się, otworzył oczy. Zaciskał i otwierał pięści. Chwilę stał zakłopotany, po czym uśmiechnął się dziwnie. – Poproszę go o trochę ciszy i spokoju. – Dotknął rakiety. – Dużo czasu upłynęło, bardzo dużo, od kiedy zaznałem wytchnienia.

– A czy kiedykolwiek próbował pan, kapitanie?

– Nie rozumiem – powiedział Hart.

– Nieważne. Do zobaczenia, kapitanie.

– Zegnaj, Martin.

Ludzie oczekiwali go przy włazie. Z całej załogi tylko trzech wybierało się w dalszą drogę z Hartem. Siedmiu zostawało z Martinem. Kapitan Hart przyjrzał im się bacznie i wydał swój werdykt:

– Głupcy!

Ostatni wspiął się do włazu, oddał energiczny salut i zaśmiał się ostro.



Zatrzaśnięto klapę. Rakieta uniosła się w niebo na kolumnie ognia. Martin patrzył, jak oddala się i znika. Ze skraju łąki dawał mu znaki burmistrz, podtrzymywany przez kilku ludzi.

– Odlecieli – powiedział Martin podchodząc bliżej.

– Tak, biedny człowiek, odleciał – rzekł burmistrz. – I będzie gnał na oślep, planeta po planecie, szukając i szukając, i zawsze, wszędzie będzie spóźniony o godzinę lub o pół godziny, o dziesięć minut lub o minutę, i wreszcie spóźni się tylko kilka sekund. A gdy odwiedzi trzysta światów i będzie miał siedemdziesiąt, może osiemdziesiąt lat, spóźni się zaledwie o ułamek sekundy, po czym o jeszcze drobniejszy ułamek sekundy, i będzie gonił dalej i dalej, szukając właśnie tego, co pozostawił za sobą tutaj, na tej planecie, w tym gościu...

Martin pozerął go wzrokiem. Burmistrz wyciągnął dłoń.

– Czy chociaż przez chwilę można było mieć wątpliwości? Skinął pozostałym i zawrócił. – Chodźmy. Nie możemy pozwolić, aby on czekał. Weszli do miasta.

Przełożył *Marek Marszał*

## CZAS UCIECZKI

Jak wiatr przemknęły długie lata przed ich rozgorączkowanymi twarzami.  
Wehikuł czasu zatrzymał się.  
– Rok 1928 – powiedziała Janet.  
Chłopcy spojrzeli jej przez ramię.  
Pan Fields poruszył się.  
– Pamiętajcie, jesteście tu, aby obserwować zachowanie tych pradawnych ludzi.  
Musicie być dociekliwi, inteligentni i spostrzegawczy.  
– Tak – odpowiedzieli dziewczynka i obaj chłopcy, cała trójka w schludnych mundurkach koloru khaki. Ostrzyżeni identycznie, mieli takie same zegarki, sandały, i, chociaż nie byli spokrewnieni, identyczny koloryt włosów, oczu, zębów i skóry.  
– Ciii! – powiedział pan Fields. Spoglądali na małe miasteczko w Illinois.  
Była wiosna. Zbliżał się świt. Chłodna mgła leżała na ulicy. U jej wylotu w ostatnim, zimnym odbłasku bladego księżyca ukazał się mały biegnący chłopiec. Wielki zegar wybił gdzieś piątą rano. Zostawiając lekkie ślady tenisówek na cichych trawnikach, chłopiec zatrzymał się przy niewidzialnym wehikule czasu i zawołał w stronę wielkiego, ciemnego okna domu. Okno otworzyło się i jakiś inny chłopiec zlął z parapetu na ziemię. Obaj, z bananami w ustach, pobiegli w ciemny, chłodny ranek.  
– Za nimi! – szepnął pan Fields. – Zapoznajcie się z ich zwyczajami. Szybko!  
Janet, William i Robert, teraz widzialni, rzucili się w pościg po zimnym bruku przez drzemiące miasteczko, przez park. Zewsząd błyskały światelka, drzwi trzaskały, coraz to więcej dzieci zadyszanych, pojedynczo lub parami, pędziło w dół z boczem w kierunku połyskujących, sinych szyn.  
– Jedzie! – zakotłowało się wśród dzieci. Małe światelko hen daleko na błyszczących szynach zamieniło się kilka sekund później w buchający parą grzmot.  
– Co to? – zapiszczała Janet.  
– Pociąg, głuptasie, widziałas pociągi na obrazkach – odkrzyknął Robert. Na oczach Dzieci Czasu wychodziły z pociągu ogromne szare słonie, zaparowując bruk obfitą uryną, unosząc trąby wygięte w znak zapytania do chłodnego porannego nieba. Niezgrabne wozy staczały się z długich platform, połyskując czerwienią i złotem. Lwy ryczały i krążyły w mroku klatek.  
– O rany... to musi być... cyrk! – Janet dygotała.  
– Tak sądzisz? Co się z tym wszystkim stało?  
– Chyba tak jak Boże Narodzenie, znikło dawno temu.  
Janet rozejrzała się dokoła.  
– Ależ to okropne, nie uważacie? Chłopcy stali jak sparaliżowani. «– Straszne.

Ludzie przekrzykiwali się w pierwszym bladym przebłysku świtu. Nadjechały wozy mieszkalne, przed dziećmi migały zaspane twarze. Kopyta koni dudniły jak kaskada kamieni spadająca z góry na bruk. Znienacka usłyszeli za sobą głos Fieldsa.

– To oburzające, barbarzyńskie – trzymać zwierzęta w klatkach. Gdybym wiedział, co tu będzie, za nic bym wam nie pozwolił przyjść. To potworny obyczaj.

– Tak, straszny. – W spojrzeniu Janet widać było zaintrygowanie. – Wiecie, to przypomina kłębowisko robaków. Chcę się temu przyjrzeć.

Tsi – Bo ja wiem... – odezwał się Robert; oczy miał rozbiegane, palce mu drżały. – To czyste szaleństwo. Moglibyśmy napisać wypracowanie na ten temat, jeśli pan Fields uważa za stosowne...

Pan Fields skinął głową.

– Cieszę się, że w ogóle chcecie grzebać się w tej makabrze, badać, szukać pobudek. Zgoda, obejrzymy cyrk po południu.

– Ja chyba zwymiotuję – powiedziała Janet. Wehikuł czasu buczał. – A więc tak wygląda cyrk – stwierdziła poważnie.

Wrzawa cyrku cichła stopniowo w ich uszach. W oczach mieli jeszcze cukierkowo-różowych wirujących akrobatów i umęczonych kłownów błaznujących wśród okrzyków.

– Musicie przyznać, że psychowizja jest fajniejsza – wolno powiedział Robert.

– Wstrętny odór tych wszystkich zwierzaków, to zamieszanie... – Janet zamrużyła oczami. – To chyba nie jest odpowiednie dla dzieci? A ci dorośli, którzy siedzieli razem z nimi...? Dzieci mówiły do nich „mamo” i „tato”? Tak, to bardzo dziwne.

Pan Fields zanotował coś w dzienniku ocen. Janet kręciła głową w oszołomieniu. – Chciałabym obejrzyć to wszystko jeszcze raz. Przeoczyłam pobudki. Chcę jeszcze raz przebiec rankiem przez całe miasto. Poczuć chłód powietrza na policzkach, chodnik pod stopami, zobaczyć wjeżdżający pociąg cyrkowy. Czy to powietrze i wczesna pora sprawiły, że dzieci zerwały się i pobiegly oglądać przyjazd pociągu? Chcę znów prześledzić cały ten schemat. Skąd to podniecenie? Czuję, że jakoś wymyka mi się odpowiedź, – Śmiali się tak radośnie – powiedział William.

– Psychoza maniakalno-depresyjna – odezwał się Robert.

– Co to takiego letnie wakacje? Słyszałam, jak o tym rozmawiali – Janet spojrzała na pana Fieldsa.

– Spędzili lato ganiając wkoło jak idioci i bijąc się nawzajem – odparł pan Fields mentorskim tonem.

– Ja mogę w każdej chwili wziąć udział w naszych Państwowych Akcjach Lata Przy Pracy dla dzieci – powiedział słabym głosem Robert patrząc niewidzącymi oczyma. Wehikuł czasu zatrzymał się ponownie.

– 4 lipca – zakomunikował pan Fields – 1928 roku. Prastare święto, podczas

którego obrywało ludziom palce.

Stali na tej samej ulicy, przed tym samym domem, lecz był łagodny letni wieczór. Syczały koła ogniste, roześmiane dzieci rzucały z ganków czymś, co wybuchało: bum!

– Nie uciekajcie! – krzyknął pan Fields. – To nie wojna, nie bójcie się!

Twarz Janet, Roberta i Williama były to różowe, to niebieskie, to znów białe w fontannach sztucznych ogni.

Wszystko w porządku – Janet stała jak posąg, – Całe szczęście – oznajmił pan Fields –> fajerwerków zakazano sto lat temu i zlikwidowano całą tę zwariowaną pirotechnikę.

Dzieci tańczyły poprzebierane za bohaterów bajek, białymi iskrami wypisując swe imiona i losy na ciemnym niebie.

– Ja też bym tak chciała – wyszeptała Janet. – Napisać swoje imię na niebie. Widzicie? Tak bym chciała.

– Co takiego? – pan Fields nie słuchał.

– Nic – powiedziała Janet.

– Bum! – wyszeptali jednocześnie William i Robert, otuleni cieniem gęstych drzew, wpatrując się w czerwone, białe i zielone ognie na trawnikach wśród tej pięknej, oszałamiającej nocy.

Październik.

Godzinę później wehikuł czasu zatrzymał się po raz ostatni w miesiącu palenia suchych liści. Ludzie wpadali zniecka do nie oświetlonych domów niosąc strachy z kukurydzy i wydrążonych dyń. Tańczyły szkielety, fruwały nietoperze, płonęły świece, jabłka kołysały się, zawieszane w pustych drzwiach.

– Wigilia Wszystkich Świętych – powiedział pan Fields. – Szczyt makabry. To był wiek zabobonów. Później przegnano braci Grimm, duchy, kościotrupy i całą tę dziecinadę. Was, dzięki Bogu, wychowano w antyseptycznym świetle bez cieni i duchów. Macie przyzwoite święta, jak Dzień Urodzin Williama C. Chattertona, Dzień Pracy, Dzień Maszyny.

Mijali ten sam dom w wyludnioną noc październikową, zaglądając na ciemne strychy i do wilgotnych piwnic, skąd wyzierały na nich dynie z trójkątnymi wycięciami na oczy, łpały maski. Właśnie ujrzeli, jak dzieci zebrane na przyjęciu przykucnęły w kącie zaśmiewając się z opowiadanych historii.

– Chcę tam do nich iść – oświadczyła w końcu Janet.

– W celach naukowych, oczywiście – powiedzieli chłopcy.

– Nie – odparła.

– Co? – spytał pan Fields.

– Nie, chcę być zwyczajnie z nimi, chcą po prostu tu zostać, zobaczyć to wszystko, i być tu i nigdy nigdzie indziej; podobają mi się sztuczne ognie, dynie, i cyrki, i święta Bożego Narodzenia, Walentynki i Święta Niepodległości, jak te, które widzieliśmy.

– Tego już za wiele... – zaczął pan Fields. I nagle Janet znikła.

– Robert, William, chodźcie! – Biegła przed siebie. Chłopcy skoczyli za nią.

– Stójcie! – zawołał pan Fields. – Robert! William, mam cię! – Schwycił jednego z chłopców, ale drugi był już daleko.

– Janet, Robert, wracajcie! Nigdy nie przejdziecie do siódmej klasy. Oblejcie, Janet, Bob, Bob!

Podmuch wiatru przeleciał wzdłuż ulicy znikając razem z dziećmi wśród szumiących drzew. William wił się i wierzgał.

– Nie, ty nie pójdziesz za nimi, ty, William, wracasz ze mną do domu. Damy tym dwojgu nauczkę na całe życie. A więc chcą zostać w przeszłości, tak?! – Pan Fields zawołał głośno, aby dzieci go usłyszały. – W porządku, Janet i Bob, zostańcie w tym koszarze, w tym chaosie! Za parę tygodni wróćcie do mnie z płaczem. Ale mnie nie będzie. Zostawiam was na pastwę obłędu w tym świecie.

Pognał Williama do wehikułu czasu. Chłopiec pochlipywał. – Niech pan mnie już tu nigdy więcej nie zabiera na żadną wyprawę w teren, proszę pana, panie Fields, proszę...

– Zamknij się!

Prawie natychmiast wehikuł czasu przemknął lotem strzały ku przyszłości, ku podziemnym miastom-mrowiskom, domom z metalu, ku metalowym kwiatom i metalowym zieleńcom.

– Żegnajcie, Janet, Bob!

Potężny, zimny wiatr październikowy płynął przez miasto jak rzeka. A kiedy zaniósł już wszystkie dzieci i te zaproszone, i te nie zaproszone, w maskach i bez masek, pod drzwi domów, które się za nimi zamknęły, wtedy przycichł. Wśród nocy nie widać już było żadnego dziecka na ulicy i wiatr zawodził tylko w koronach nagich drzew. A w wielkim domu, przy świecy, ktoś rozlewał wokoło chłodny jabłecznik – dla wszystkich, nie pytając, kim są.

Przełożył *Marek Marszał*

## SAMOTNY PRZECHODZIEN

Spacer był prawdziwą namiętnością Leonarda Meada. Lubił wychodzić na miasto, pogrążone w ciszy mglistego listopadowego wieczora, i obchodząc zarosłe trawą szpary w spaczonych betonowych płytach chodnika przechadzać się, jak to miał w zwyczaju, z rękami w kieszeniach. Przystawał zwykle przy skrzyżowaniu ulic, rozbiegających się w cztery strony, osrebrzonych księżycem, i zastanawiał się, którą z nich wybrać. Właściwie było mu wszystko jedno: czuł się tak samotny, jakby był ostatnim człowiekiem na świecie A.D. 2053. Po namyśle ruszał żywo w obranym kierunku, pozostawiając w tyle, niczym dym z papierosa, smużkę mroźnego powietrza.

Mógł tak nieraz spacerować całymi godzinami, pokonując wiele mil, i wracał dopiero o północy. Mijał po drodze domy z ciemnymi oknami, za którymi migotały nagle błyski podobne do robaczków świętojańskich. Przywodziło mu to na myśl wędrówkę przez cmentarz. Tam, gdzie mimo późnej pory nie zaciągnięto zasłon, widać było pojawiające się nieoczekiwanie na ścianach szare widma. Czasem z podobnego do grobowca domu dobiegały przez otwarte okno jakieś pomruki i szepty. Mead wtedy zatrzymywał się, zadzierał głowę nasłuchując, a potem znów szedł przed siebie, stawiając bezszelestne kroki na nierównym chodniku. Już od dawna przezornie zakładał trampki na nocną włóczęgę, bo przedtem psy towarzyszyły chóralnym ujadaniem stukotowi jego twardych zelówek, a na całej ulicy rozbłyskiwały światła i ukazywały się twarze zaskoczone widokiem samotnej postaci w tym wczesno listopadowym zmroku.

Tego właśnie wieczoru wybrał się na zachód, w kierunku niewidocznego morza. Powietrze było mroźne, krystaliczne. Mróz szczypał w nos, a płuca płonęły zimnym ogniem niczym święteczna choinka: czuł niemal, jak ten płomień zapala się, to znów gaśnie, jak gdyby gałązki drobnych naczynek krwionośnych wypełnione były niewidzialnym śniegiem.

Z przyjemnością wsłuchiwał się w miękkie szelest jesiennych liści pod nogami. Od czasu do czasu podnosił jakiś liść z ziemi i pogwizdując cichutko przez zęby badał z uwagą jego żyłkowanie w świetle rzadko rozsypanych latarni i wdychał jego zbutwiały zapach.

– Hej, wy tam – mówił szeptem, zwracając się do każdego mijanego domu po obu stronach ulicy. – Co dzisiaj dają w programie czwartym? A w siódmym? A w dziewiątym? Dokąd to pędzą ci kowboje? A tam, za wzgórzem, czy to kawaleria Stanów Zjednoczonych spieszy z odsieczą?

Ulica była długa, milcząca i pusta, i tylko jego cień jawił się w mroku niby cień jastrzębia nad polami. Gdy przymknął oczy i stał tak przez jakiś czas, zastygły

w bezruchu, mógł sobie wyobrazić, że znajduje się pośród bezwietrznych, zimowych, pustynnych równin Arizony, gdzie nie ma śladu domu na przestrzeni tysiąca mil i tylko wyschłe łożyska rzek – jak te tutaj ulice – służą mu za towarzyszy.

– A teraz co idzie? – zapytał przy kolejnym, domu spoglądając na zegarek. – Ósma trzydzieści? Pora na serię doborowych morderstw? Na kwiz czy na rewię? A może na wygłupy komika?

Czy to śmiech dobiega z blado-księżycowego domu? Stał niezdecydowanie, ale dźwięk się już nie powtórzył, więc ruszył naprzód. Potknął się o nierówność chodnika: miejscami cement niknął zupełnie pod kwiatami i trawą. W ciągu dziesięciu lat swych samotnych przechadzek po mieście w dzień i w nocy, w czasie których przemierzył tysiące mil, Mead nie spotkał jeszcze nikogo spacerującego tak jak on. Ani razu.

Znalazł się właśnie przy cichym o tej porze skrzyżowaniu, gdzie zbiegały się dwie główne arterie miejskie. Za dnia otwarte były w tym miejscu stacje benzynowe i przewalała się tu grzmiąca fala pojazdów, które niby wielki brzęczący rój skarabeuszy nieprzerwanie manewrowały, aby zdobyć miejsce, i wydzielając słabą woń kadzidła z rur wydechowych sunęły do swych oddalonych domów. Teraz jezdnie przypominały strumienie podczas suszy: pozostały tylko wyschłe kamienne łożyska, oświetlone przez księżyc.

Zawrócił boczną uliczką wiodącą prosto do jego domu. Był już w odległości jednej przecznicy od celu, kiedy naraz zza rogu wyjechał samochód i skierował na Meada stożek białego światła. Stał zahipnotyzowany, jak ćma oszołomiona blaskiem, a potem ruszył na oślep w tę stronę.

– Stój w miejscu. Stać! Nie ruszać się! – usłyszał głos o metalicznym brzmieniu. Zatrzymał się.

– Ręce do góry!

– Ale... – próbował oponować Mead.

– Ręce do góry, bo będziemy strzelać!

A więc to policja. Ale co za niezwykle zbieg okoliczności: w ich trzymilionowym mieście jest tylko jeden radiowóz. Już przeszło rok temu, w 2052, po wyborach zredukowano liczbę radiowozów policyjnych z trzech do jednego. Przystępczość stawała się zjawiskiem coraz rzadszym, nie było więc potrzeby utrzymywania policji. Pozostał już tylko jeden radiowóz, samotnie patrolujący puste ulice.

– Nazwisko – usłyszał znów ten metaliczny głos. Jaskrawe światło nie pozwalało mu dojrzeć ludzi.

– Leonard Mead – odpowiedział.

– Głośniej!

– Leonard Mead!

– Czym się pan zajmuje? Zawód?

– No, chyba... pisarz.

– Bez zawodu – stwierdził głos jakby do siebie. Światło przygważdżało Meada do miejsca, tak jak szpilka przebija rzadki okaz motyla.

– Można i tak powiedzieć – zgodził się. Już od wielu lat niczego nie napisał. Nie sprzedawano już pism ani książek. Wszystko zamknęło się w tych nocą podobnych do grobowców domach – przywołał w myślach swą wizję. Grobowców z nikłym odbłaskiem telewizorów, przed którymi tkwią martwo ludzie. Szare lub kolorowe błyski ożywiały ich twarze, ale nie poruszały serc.

– Bez zawodu – zasyczał gramofonowy głos. – Co pan tu robi na ulicy?.

– Spaceruję.

– Spaceruje pan?!

– Tak. – Mead poczuł, jak twarz mu tężeje.

– Spaceruje pan? Po prostu spaceruje?, – Tak.

– Ale dokąd? Po co?

– No, żeby odetchnąć trochę świeżym powietrzem. Popatrzeć na świat.

– Pański adres!

– South Saint James Street numer 11.

– Ma pan świeże powietrze w domu, panie Mead. Jest u pana klimatyzacja?

– Jest.

– I monitor?

– Nie ma.

– Nie? – Cisza, jaka zapadła po tym pytaniu, już sama w sobie była oskarżeniem.

– Czy jest pan żonaty?

– Nie.

– Nieżonaty – powtórzył policyjny głos spoza stożka ostrego światła. Księżyc świecił jasno, wysoko pośród gwiazd; domy stały szare i ciche.

– Żadna mnie nie chciała – zażartował Mead.

– Proszę odpowiadać tylko na pytania. Leonard Mead czekał w zimnym mroku.

– A więc spaceruje pan, panie Mead?

– Tak.

– Nie wyjaśnił pan, w jakim celu.

– Wyjaśniłem. Odetchnąć świeżym powietrzem. No, żeby się przejść trochę.

– Czy często się to panu zdarza?

– Co wieczór od lat.

Radiowóz stał na środku ulicy. Z głośnika dochodziło ciche buczenie.

– W porządku, panie Mead.



– Czy to już wszystko? – zapytał uprzejmie.  
– Tak, na razie. – Usłyszał westchnienie. Potem trzask: tylne drzwiczki otwarły się szeroko. – Proszę wsiadać.  
– Jak to, przecież ja nic nie zrobiłem!  
– Wsiadać.  
– Ja protestuję!  
– Panie Mead.  
Mead szedł jak pijany. Kiedy przechodził obok przedniej szyby, zajrzał do środka. Nie mylił się w swych podejrzeniach: na przednim siedzeniu nie było nikogo, w ogóle nie było nikogo w samochodzie.  
– Wsiadać.  
Oparł rękę na klamce i spojrzął na tył wozu. Była to mała zakratowana cela, miniaturowe więzienie. Poczł zapach nitowanej stali i silnego środka odkażającego – antyseptyczną, ostrą woń metalu.  
– Gdyby miał pan żonę, która mogłaby zapewnić panu alibi... – powiedział metaliczny głos. – Ale tak...  
– Dokąd mnie wieziecie?  
Rozległ się cichy warkot, w momencie gdy podana skądś informacja, w postaci perforowanej taśmy, przesuwała się pod elektronowym okiem.  
– Do Ośrodka Psychiatrycznego Badania Skłonności Regresywnych.  
Mead wsiadł. Drzwi zatrzasnęły się miękko. Radiowóz sunął nocnymi ulicami, rozsiewając matowy blask.  
Przejeżdżali właśnie koło jedyne go w całym mieście rzęsiście oświetlonego domu. W każdym oknie widać było prostokąt żółtego światła, ciepłego i przyjaznego na tle tych zimnych ciemności.  
– To mój dom – powiedział Mead. Nie było żadnej odpowiedzi.  
Policyjny samochód jechał przez wyschłe łożyska ulic, pozostawiając w tyle puste chodniki i jezdnie. I żaden dźwięk, żadne poruszenie nie zakłóciło już chłodnej, listopadowej nocy.

*Przełożyła Ewa Kieruzalska*

## WITAJ I ŻEGNAJ

Ale oczywiście, że musi odejść, nie pozostaje mu nic innego, nadszedł czas, wybiła godzina, więc odchodzi, i to bardzo daleko. Spakował walizkę, wyczyścił buty, wyszczotkował włosy i szczególnie dokładnie umył za uszami. Jeszcze tylko zejść na dół, wyjść przez frontowe drzwi i udać się ulicą na małą stację kolejową, gdzie pociąg zatrzyma się specjalnie dla niego. A wtedy Fox Hill w Illinois będzie należało do przeszłości. On zaś pojedzie sobie dalej – może do Iowy, do Kansas, a może nawet do Kalifornii; mały dwunastoletni chłopak, który ma w walizce metrykę, świadczącą o tym, że urodził się czterdzieści trzy lata temu.

– Willie! – rozległo się wołanie z dołu.

– Słucham! – Uniósł walizkę. W lustrze sekretarzyka zobaczył twarz stanowiącą mieszaninę czerwcowego mleczu, lipcowych jabłek i ciepłego mleka z porannego letniego udoju. Niewiniątko, aniołek – i to już miało się nigdy nie zmienić.

– Czas na ciebie! – zawołał kobiecy głos.

– Idę! – odpowiedział i zszedł na dół pomrukując i uśmiechając się. W stołowym siedzieli Anna i Steve, ubrani aż rażąco odświętnie.

– Jestem! – krzyknął Willie stając w drzwiach saloniku.

Anna wyglądała tak, jakby się miała zaraz rozplakać.

– O Boże, przecież to niemożliwe, żebyś od nas odszedł, Willie.

– Ludzie zaczynają gadać – odparł spokojnie. – Jestem tu już trzy lata. A kiedy ludzie zaczynają gadać, wiem, że czas włożyć buty i kupić bilet kolejowy.

– To wszystko jest takie dziwne. Ja nic z tego nie rozumiem. I przyszło tak nagle – powiedziała Anna. – Willie, będzie nam ciebie brak.

– Będę do was pisał na każde Boże Narodzenie, obiecuję. Ale wy do mnie nie piszcie.

– To była dla nas wielka przyjemność i satysfakcja – rzekł Steve, któremu słowa jak gdyby nie mieściły się w ustach. – Naprawdę wstyd, że tak się musiało skończyć. Wstyd, że musiałeś nam o sobie to wszystko powiedzieć. Naprawdę cholerny wstyd, że nie możesz tu zostać.

– Jesteście najmiłszymi ludźmi, u jakich kiedykolwiek byłem – powiedział z twarzą opromienioną słońcem Willie, który miał cztery stopy wzrostu i nie potrzebował się golić.

I wtedy Anna rzeczywiście się rozplakała.

– Willie, Willie – powtarzała. Sprawiała wrażenie, jakby chciała go objąć, ale bała się to zrobić teraz; patrzyła na niego wstrząśnięta, zdumiona, z pustymi rękami, z którymi nie wiedziała co począć.

– Nielatwo jest odchodzić – rzekł Willie – człowiek się przyzwyczaja. Chce

zostać. Ale to nic nie pomaga. Kiedyś nawet próbowałem zostać, mimo że ludzie zaczęli podejrzewać. „Jakie to potworne, mówili, przez tyle lat bawił się z naszymi niewinnymi dziećmi, a myśmy się nie domyślali! Straszne!” I po tym wszystkim po prostu musiałem pewnej nocy wynieść się z miasta. To naprawdę nie jest łatwe! Wicie doskonale, jak bardzo kocham was oboje. I dziękuję wam za te cudowne lata.

Odprowadzili go do drzwi.

– Willie, a dokąd ty się wybierasz?

– Nie wiem. Wyrusząm w podróż. Jak widzę jakieś miasto zielone, ładne – po prostu zostaję.

– A czy kiedyś do nas wrócisz?

– Tak – odparł poważnie swoim wysokim głosem. – Za jakieś dwadzieścia lat moja twarz powinna się zacząć zmieniać. Wtedy zrobię wielki objazd wszystkich moich matek i ojców, jakich kiedykolwiek miałem.

Stali w letnim chłodzie na ganku i bali się wypowiedzieć ostatnie słowa. Steve nie spuszczał oczu z wiązu.

– U ilu ludzi byłeś poza nami, Willie? Ile masz na swoim koncie adopcji?

Willie obliczył, bez specjalnej przykrości.

– Chyba około pięciu miast i pięć par małżeńskich. Minęło już dwadzieścia lat, odkąd tak podróżuję.

– Nie powinniśmy narzekać – powiedział Steve. – Lepiej mieć syna przez trzydzieści sześć miesięcy niż wcale.

– No cóż... – rzekł Willie, pocałował Annę szybko, złapał walizkę i oddalił się ulicą, zalaną przesączonym przez liście drzew zielonym światłem południa; mały chłopiec – biegł nie zatrzymując się i nie oglądając za siebie.

Po drodze w parku zobaczył chłopców grających na boisku w baseball. Stał przez chwilę w cieniu dębów, obserwując, jak ciskają w rozgrzane letnie powie trze białą śnieżną kulę piłki, widział ulatujący nad trawą podobny do ciemnej sylwetki ptaka jej cień i ich ręce otwierające się niby usta, aby złapać ten ulotny kawałek lata, który wydawał się w tej chwili tak szczególnie ważny. Chłopcy wrzeszczeli. Piłka rozbłysła na trawie koło Williego.

Wynosząc ją z cienia drzew myślał o ostatnich trzech latach i o tych pięciu latach, które je poprzedziły, i tak dalej aż do okresu, kiedy miał rzeczywiście jedenaście, dwanaście, a potem czternaście lat. I zaczęły mu się przypominać te wszystkie głosy: „Co jest z Williem, proszę pani?”, „Pani B., czy Willie jest spóźniony w rozwoju?”, „Willie, czy ty ostatnio palisz cygara?” Ich echa zamarły w słońcu i w kolorach lata. I jeszcze słowa matki: „Willie kończy dzisiaj dwadzieścia jeden lat”. I tysiące tamtych innych: „Chłopcze, zgłoś się, jak skończysz piętnaście lat, może wtedy będziemy mogli cię zatrudnić”.

Popatrzył na piłkę, drżącą mu na dłoni, jakby to było jego życie, kula obracająca się bez końca i zawsze powracająca do jego dwunastych urodzin. Słyszał, jak chłopcy zbliżają się do niego, czuł, jak mu przesłaniają słońce – starsze od niego dzieci.

– Willie! Dokąd idziesz? – Kopali jego walizkę.

Jacy wysocy wydawali mu się w słońcu ci chłopcy. W ciągu ostatnich kilku miesięcy słońce przesunęło jak gdyby rękę nad ich głowami przyzywając ich do siebie; przypominali rozgrzany metal, który mięknąc ciągnął się ku górze; złociste toffi, które jakaś potężna siła ciągnęła do nieba. Trzynastoletnie, czternastoletnie dzieci patrzyły na niego z góry niby z uśmiechem, ale już lekceważąco. A wszystko zaczęło się przed czterema miesiącami.

– No, to wybieramy drużyny! Kto bierze Williego?

– Willie jest za mały. My się nie bawimy, z maluchami.

I z tymi słowy uciekali przeganiając go bez trudu, przyciągani przez księżyc i słońce, w przemiennym rytmie pór roku, liści i wiatru, a on mając dwanaście lat już do nich nie należał. I znów ta sama koszmarna stara śpiewka, od której robiło mu się zimno: „Steve, dawaj temu chłopcu więcej witamin” albo „Anno, czy ten niski wzrost to po twojej rodzinie?” I znów zimna dłoń zaciskała mu się na sercu, bo wiedział, że i tym razem trzeba będzie wyrwać wszystko z korzeniami po tylu tak dobrych latach spędzonych wśród „swoich”

– Willie, dokąd jedziesz?

Unióśł głowę. Otaczali go chłopcy, którzy nad nim górowali, przesłaniając mu światło, którzy tłoczyli się wokół niego, pochyleni jak olbrzymi nad źródłem wody pitnej.

– Jadę na kilka dni odwiedzić kuzyna.

– Aha. – Był taki dzień rok temu, kiedy okazaliby mu znacznie większe zainteresowanie. Teraz powodowała nimi tylko ciekawość dotycząca jego bagażu, fascynacja pociągami, podróżą i dalekimi stronami.

– A może by tak parę szybkich? – zaproponował Willie.

Wahali się przez chwilę, ale skinęli w końcu głowami ze względu na szczególne okoliczności. Upuścił torbę i ruszył biegiem; biała piłka poleciała do słońca, a potem opadła do migotliwych postaci na łące i znów do słońca i znów na dół, tak jak i jego życie, według znanego rytmu: raz tu, raz tam. Państwo Robertowie Hanlon, Greek Bend, Wisconsin, 1932 – pierwsze małżeństwo, pierwszy rok! Dziś tu, jutro tam! Henry i Alice Boltz, Limeville, Iowa, 1935! Piłka w górę. Smithsowie, Eaotonowie, Robinsonowie w 1939! 1945! Mąż i żona, mąż i żona, mąż i żona, bezdzietni, bezdzietni, bezdzietni! Stukanie do drzwi, to tu, to tam.

– Przepraszam bardzo. Mam na imię William. Chciałbym zapytać, czy przypadkiem...

– Może kanapkę? Wejdź, proszę bardzo, siadaj. Skąd jesteś, synu?

Kanapka, wysoka szklanka zimnego mleka, uśmiechy, kiwanie głowami, miłe, swobodne pogawędki.

– Synu, wyglądasz, jakbyś był w podróży. A może uciekłeś z domu?

– Nie.

– Czy jesteś sierotą, chłopcze?.

I znów szklanka mleka.

– Zawsze marzyliśmy o dzieciach. Ale nic z tego nie wyszło. Nie wiemy, dlaczego. Zdarza się. Nie ma rady. Robi się późno, synu. Nie uważasz, że powinieneś wracać już do domu?

– Ja nie mam domu.

– Taki mały chłopiec? A czy ty przypadkiem nie bujasz? Mama będzie się o ciebie niepokoiła.

– Nie mam domu ani żadnych bliskich na całym świecie. Czy mógłbym może... czy mógłbym tu dzisiaj zanocować?

– Bo ja wiem, synu... nie mam pojęcia. Nigdy nie myśleliśmy o tym, żeby wziąć... – odparł mąż.

– Mamy dziś na kolację kurczęta – przerwała mu żona – zrobiłam więcej, starczy i dla gości...

I tak mijały lata i zawsze były głosy, twarze i ludzie, i zawsze ta sama pierwsza rozmowa. Przypomniały mu się słowa Emily Robinson. Siedziała w swoim bujającym fotelu, po ciemku, pewnej letniej nocy, ostatniej, jaką u niej spędził, zaraz po tym, kiedy odkryła jego tajemnicę.

– Patrząc na twarze dzieci, które tędy przechodzą, i czasem sobie myślę: jakie to straszne, jakie to naprawdę straszne, że te wszystkie kwiaty muszą zostać zerwane, a wszystkie jasne płomienie pogaszone. Jakie to straszne, że te dzieci, które się widzi w szkołach czy które tędy przebiegają, będą kiedyś duże, brzydkie i pomarszczone, że osiwieją albo wyłysieją i że w końcu, kiedy zostaną już z nich same kości i zadyszka, umrą i pójdą do ziemi. Kiedy słyszę ich śmiech, nie mogę uwierzyć, że wkroczą kiedyś na tę samą drogę co ja. A przecież wkraczają! Przypomina mi się wiersz Wordswortha: „I nagle dostrzegłem tłum, chmarę złocistych żonkili; Nad jeziorem, pod drzewami, trzepocących i tańczących na wietrze”. Tak właśnie myślę o dzieciach, mimo że potrafią być okrutne i złośliwe, ale tej złośliwości nie widać ani wokół ich oczu, ani w samych oczach, nie noszących jeszcze śladów zmęczenia. Tak się rwą do wszystkiego! I chyba tego brakuje mi najbardziej u dorosłych: tego rozmachu, świeżości, tej energii, która idzie na marne. Lubię patrzeć codziennie, jak młodzież wychodzi ze szkoły – wygląda to tak, jakby ktoś przez otwarte drzwi wyrzucił naręcz kwiatów. Jakie to uczucie, Willie? Jakie to uczucie, kiedy człowiek jest

wiecznie młody?. Kiedy przypomina srebrną monetę prosto z mennicy? Czy jesteś szczęśliwy? I czy rzeczywiście jest ci tak dobrze, jak się wydaje?

Piłka spadła z błękitnego nieba i ukąsiła go w rękę jak wielki biały owad. Tuląc ją do siebie, słyszał własne słowa:

– Robiłem, co mogłem. Po śmierci rodziców, kiedy się zorientowałem, że nie dostanę nigdzie normalnej pracy, próbowałem zarabiać w wesołych miasteczkach. Ale mnie wyśmiewali, „Synu, mówili, przecież ty nie jesteś liliputem, a nawet jeśli jesteś, to i tak wyglądasz na dziecko! Nam są potrzebne liliputy z twarzami liliputów! Bardzo nam przykro”. Poszedłem więc z domu i zacząłem się zastanawiać: Kim ja właściwie jestem.?, Chłopcem. Wyglądam jak chłopiec, mam chłopięcy głos, to przecież mogę pozostać chłopcem. Dlaczego mam się przed tym bronić? Płakać? Ale co robić? Czym się zająć?, I wtedy pewnego dnia zobaczyłem, jak w restauracji jeden mężczyzna pokazuje drugiemu fotografie swoich dzieci. „I ja chciałbym mieć dzieci, powiedział tamten, i ja chciałbym mieć dzieci...” – I pokiwał głową. A ja siedziałem o krok od niego trzymając w ręce hamburgera, siedziałem jak skamieniały, bo w tym momencie zrozumiałem, co będę robił do końca życia i że jednak znalazło się dla mnie jakieś zajęcie. Uszczęśliwianie samotnych ludzi. I ja miałem wreszcie pracę. Wieczna gra. Wiedziałem, że już zawsze muszę być aktorem. Może będę doręczał jakieś pisma, chodził na posyłki, czasem ostrzygę trawnik tu czy tam. Ale ciężka praca? Wykluczone. To nie dla mnie. Ja mam być tylko maminsynkiem i oczkiem w głowie swojego tatusia. Zwróciłem się do tamtego mężczyzny:

„Przepraszam pana”, powiedziałem i uśmiechnąłem się do niego...

– Ale, Willie – rzekła pani Emily wtedy dawno temu – czy nigdy nie czułeś się samotny? Czy nigdy nie pragnąłeś... rzeczy, które są udziałem dorosłych?

– Zwalczyłem to – odparł Willie. – Jestem chłopcem, powiedziałem sobie, i muszę żyć w świecie chłopców, czytać chłopięce książki, grać w chłopięce gry, odciąć się od wszystkiego innego. Nie mogę być i jednym, i drugim. Wybrałem więc młodość. No i grałem cały czas. O nie, to nie było łatwe. Były chwile... – zamilkł.

– A czy ta rodzina, u której zamieszkałeś, nigdy się nie dowiedziała?

– Nie. Gdybym im powiedział, zepsułbym wszystko. Powiedziałem, że jestem zbiegiem; pozwoliłem im wszystko sprawdzić oficjalnymi drogami, przez policję. A potem, jak już nie było żadnych dokumentów, pozwoliłem się adoptować. To było chyba najlepsze wyjście pod warunkiem, że się nigdy nie domyśla. Ale zawsze jednak po trzech, po pięciu latach domyślali się w końcu: a to mnie poznał jakiś domokrążca, a to ktoś z wesołego miasteczka – i wszystko się skończyło. Musiało się skończyć.

– I czujesz się szczęśliwy, jest ci przyjemnie być dzieckiem przez czterdzieści lat z górą?

– To jest życie, jak to się mówi. Kiedy uszczęśliwiasz innych, sam stajesz się jak gdyby szczęśliwy. Po prostu mam do wykonania pewne zadanie i wykonuję je. A tak czy siak za kilka lat wejdę w okres drugiego dzieciństwa. Pozbędę się wszelkich namiętności, nie spełnionych marzeń, snów. Wtedy będę mógł sobie odpocząć, dalej grając swoją rolę.

Po raz ostatni rzucił piłkę i otrząsnął się ze wspomnień, a w chwilę później biegł już pędem po bagaż. Tom, Bili, Jamie, Bob, Sam – miał na ustach ich imiona. Speszeni, ściskali mu dłoń.

– Ostatecznie nie jedziesz do Chin ani do Timbaktu.

– No jasne – Willie nie ruszył się z miejsca.

– Trzymaj się, Willie! Do zobaczenia w przyszłym tygodniu!

– Do zobaczenia! Do zobaczenia!

I znów odchodził z walizką, żegnając drzewa, żegnając chłopców i ulicę, na której mieszkał, a potem, za zakrętem, usłyszał świst pociągu i zaczął biec.

W pamięci zachował jeszcze białą piłkę, jak leciała w górę na wysokość dachu, i w dół, i znów w górę, i w dół, i w tym samym rytmie dwa głosy: „Annie, Annie, koniec! Annie, Annie, koniec!” – jak głosy ptaków ulatujących daleko na południe.

Wczesnym rankiem dotarł do niego zapach mgły i zimnego metalu, żelazny zapach pociągu; wyczuł słońce czające się za horyzontem. Otworzył oczy i spojrzał na budzące się ze snu małe miasteczko. Zapalały się światła, słychać było ściszone głosy, czerwona chorągiewka trzepotała w chłodnym podmuchu wiatru. Panowała jeszcze nocna cisza, w której echa nabierają szczególnego dostojenia przez swoją wyrazistość, w której echa wydają się nagie i ostre. W mroku, niby cień wśród cieni, poruszył się konduktor.

– Proszę pana – zagadnął go Willie. Konduktor przystanął.

– Co to za miasto? – wyszeptał chłopak w ciemności.

– Valleyville.

– Ilu mieszkańców?

– Dziesięć tysięcy. A bo co? Gdzie chciałbyś wsiąść?

– Jak tu zielono. – Willie przez dłuższą chwilę wpatrywał się w drzemiące w ten zimny poranek miasteczko. – I ładnie, i spokojnie – powiedział.

– Synu – rzekł konduktor – a ty na pewno wiesz, dokąd chcesz jechać?

– Tutaj – odparł Willie i wstał cicho wśród tego poranka, tak spokojnego, chłodnego i pachnącego żelazem, w ciemnościach pociągu, sprawiając zamieszanie.

– Mam nadzieję, chłopcze, że wiesz, co robisz – powiedział konduktor.

– Tak, proszę pana – odparł Willie. – Wiem, co robię. – Z tymi słowami zaczął się przeciskać ciemnym przejściem, a konduktor za nim, z walizką, i razem wyszli w spowity dymem, mroźny, budzący się dopiero światłami ranek. Willie stał patrząc

na konduktora i czarny żelazny pociąg na tle nielicznych pobladłych gwiazd. Lokomotywa wydała przeraźliwy zawodzący gwizd, wzdłuż całego pociągu rozległy się krzyki, wagony szarpnęły, a konduktor machał z góry uśmiechając się do chłopca, do małego chłopca z dużym bagażem, który wołał coś do niego usiłując przekrzyczeć gwizd pociągu.

– Co?! – wrzasnął konduktor osłaniając ręką ucho.

– Niech pan mi życzy szczęścia! – odpowiedział Willie.

– Wszystkiego najlepszego, synu! – konduktor pomachał do niego i uśmiechnął się. – Wszystkiego najlepszego!

– Dziękuję! – odkrzyknął Willie wśród ogłuszającego hałasu, wśród kłębów pary i ryku lokomotywy.

Stał wpatrzony w ciemną sylwetkę pociągu, dopóki nie zniknęła mu z oczu. Przez cały czas nie ruszył się z miejsca. Stał w milczeniu, mały dwunastoletni chłopiec, na zniszczonym drewnianym peronie, i dopiero po jakichś trzech minutach odwrócił się i spojrzał na puste ulice w dole.

A następnie, mając przed sobą wschodzące słońce, zaczął iść szybko, żeby się rozgrzać, na spotkanie nowego miasta.

*Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz*



## NIEWIDZIALNY CHŁOPIEC

Wielką blaszaną łyżką pokruszyła zaszuszoną żabę i mruczając zaciekle rozcierała ją na proch w kościstych palcach. Szarymi, podobnymi do paciorków, ptasimi oczkami strzygła w kierunku chaty. Za każdym razem gdy nań spojrzała, głowa chłopca w małym wąskim okienku uchylała się gwałtownie, jakby mierzono do niej z dubeltówki.

– Charlie! – zawołała stara – wychodź stamtąd! I tak zaraz otworzę ten zardzewiały zamek, tylko przygotuję zakłęcie. Jeśli wyjdiesz od razu, to nie będzie trzęsienia ziemi ani drzewa nie staną w ogniu, ani słońce nie zajdzie w sarno południe.

Jedyną odpowiedzią był ciepły prześwit górskiego słońca w wysokich terpentynowcach; puszystokita wiewiórka uganiała się dokoła omszałego pnia; brunatny rząd mrówek maszerował u stóp starej kobiety, poznaczonych błękitnymi żyłkami.

– Głodujesz już drugi dzień. Niemądry szczeniak! – sapała ze złości, bębniąc łyżką o płaski kamień, aż jej wypchany szary, zawieszony w pasie woreczek od czarnej magii zahustał się do taktu. Przesiąknięta kwaśnym odorem potu wstała i biorąc ze sobą żabi proch pomaszerowała w stronę chaty.

– „Wyłaż zaraz! – Szczyptą proszku posypała zamek u drzwi. – No, dobrze, już ja cię stąd wyciągnę – wysapała.

Ręką koloru orzecha włoskiego pokręciła gałką raz w jedną, raz w drugą stronę.

– O, Boże – zaintonowała – wyważ te przeklęte drzwi!

Drzwi jednak ani drgnęły, więc stara dodała jeszcze szczyptę sproszkowanej żaby i wstrzymała oddech. Jej długa, niebieska niechlujna spódnica aż zaszeleściła, kiedy stara sięgnęła do swego woreczka, żeby sprawdzić, czy nie ma w nim jakiegoś gada, którego magiczna moc okazałaby się silniejsza od żaby; zabiła ją już kilka miesięcy temu z myślą o takim właśnie kryzysie jak dzisiejszy.

Słyszała przez drzwi oddech Charliego.

Rodzina chłopca udała się na początku tygodnia do jednego z miast planety Ozark, zostawiając go samego, więc mały przybiegł do starej z odległości prawie sześciu mil. Była jego krewną – ciotką czy kuzynką. I nie przeszkadzały mu jej dziwactwa.

Ale jakieś dwa dni temu stara, która już zdążyła się przyzwyczaić do towarzystwa chłopca, postanowiła go zatrzymać przy sobie na stałe. Nakłuła więc w tym celu swe chude, kościste ramię, wycisnęła trzy krople krwi, splunęła przez prawy łokieć i chwytając równocześnie drugą ręką Charliego wykrzyknęła: – Jesteś moim synem, jesteś moim synem na wieczność!

Charlie czmychnął w zarośla niczym przestraszony zając, kierując się w stronę swego domu. Ale stara rzuciła się za nim jak pręgowana jaszczurka i zapędziła go w ciemny kąt. A teraz siedzi w tej chylącej się ku starości pustelniczej chacie i wcale nie ma zamiaru wyjść, ignorując napieranie starej na drzwi i okno, jej łomotania pięścią w kolorze bursztynu i zaklęcia powtarzane w rytualnym transie, żeby jej uwierzył, że teraz jest już jej synem.

– Charlie, jesteś tam? – zapytała, świdrując szpary w drzwiach bystrymi, chytrymi oczkami.

– A gdzie mam być – odezwał się wreszcie, znudzony.

Lada moment Charlie wypadnie stamtąd.

Pełna ufności, zmagająca się dalej z gałką. A może dała szczyptę proszku za dużo i zamek się zaciął? Zawsze muszę dać za dużą albo za małą dawkę, pomyślała z rozdrażnieniem. Do diabła, nigdy nic nie zrobię jak należy!

– Charlie, posłuchaj, ja potrzebuję kogoś, z kim mogłabym pogawędzić wieczorami, posiedzieć przy ogniu. Kto by mi przyniósł rankiem dREW na podpałkę i odpędził precz wszystkie duchy, jakie wkradają się wraz z poranną mgłą. Nie chcę cię wykorzystywać, synku, chodzi mi tylko o twoje towarzystwo. – Cmoknęła wargami. – Powiem ci coś, Charlie. Wyjdź stamtąd, to nauczę cię różnych rzeczy.

– Jakich rzeczy? – zapytał podejrzliwie.

– Jak kupić tanio, a sprzedać drogo. Trzeba złapać białą łasicę, obciąć jej łeb i trzymać jeszcze ciepły w tylnej kieszeni. Wiesz?!

– O! – zainteresował się chłopiec. Spieszenie ciągnęła dalej:

– Powiem ci, co masz zrobić, żeby się ciebie kule nie imały; nawet jeśli ktoś wygarnie do ciebie ze strzelby, nic ci się nie stanie. – I gdy Charlie milczał w dalszym ciągu, zdradziła mu tajemnicę przenikliwym, szeptem: – Wykop korzonki nieśmiertelnika w piątek podczas pełni księżyca i zawieś je na szyi na białym jedwabiu.

– Masz hyzia – zaopiniował mały.

– Albo nauczę cię tamować krwotok, osadzać w miejscu zwierzęta, przywracać wzrok ślepym koniom. Wszystkiego cię nauczę. Jak wyleczyć wzdętą krowę czy zdjąć urok z kozy. Chcesz, to pokażę ci, jak możesz stać się niewidzialny.

– Och! – wykrztusił Charlie.

Serce starej biło jak werbel Armii Zbawienia.

Gałka poruszyła się od wewnątrz.

– Bujasz mnie – powiedział Charlie.

– Nie, wcale nie! – zawołała kobieta. – Będziesz przezroczysty jak szkło. Nie uwierzysz własnym oczom.

– Naprawdę niewidzialny?

- Naprawdę niewidzialny!
- Ale nie będziesz mnie już łapać, jak będę chciał sobie pójść?
- Nie dotknę cię nawet palcem.
- No, dobrze – wycedził z oporem. – Zgoda.

Drzwi otwarły się. Stał w nich Charlie: na bosaka, z głową zwieszoną tak nisko, że brodą dotykał niemal piersi.

- Zrób mnie niewidzialnym – zażądał.
- Najpierw musimy złapać nietoperza – powiedziała stara. – Rozejrzyj no się.

Dała chłopcu suszoną wołowinę, żeby zasycił głód. A potem przyglądała się, jak Charlie wdrapuje się na drzewo, coraz wyżej i wyżej. Co za błogie uczucie: patrzeć na niego, mieć go przy sobie – po tylu latach samotności, kiedy nie było nawet komu powiedzieć dzień dobry, a oko zatrzymać mogła tylko na ptasich odchodach i srebrzystych śladach ślimaków.

Wkrótce z drzewa spadł nietoperz z przetrąconym skrzydłem. Kobieta podniosła go z ziemi, ciepłego jeszcze, wydającego słabiutkie piski zza porcelanowo-białych ząbków. Tuż za nim zleciał Charlie z zaciśniętymi pięściami wyjąc wniebogłoso.

Tej nocy, kiedy księżyc skubał aromatyczne szyszki sosnowe, stara kobieta wyjęła spod swej szerokiej niebieskiej spódnicy długą srebrną igłę. Opanowując podniecenie i skrytą nadzieję, podniosła martwego nietoperza, ściskając mocno chłodną igłę.

Dawno już stwierdziła, że pomimo całych wysiłków, mimo siarki, soli i wszystkich środków magicznych jej zaklęcia już nie działają. W głębi duszy jednak wierzyła, że nadejdzie taki dzień, kiedy czary znów się objawią w kielichach purpurowych kwiatów i w srebrnych gwiazdach na dowód, że Bóg przebaczył już te czasy młodości, gdy jej ciało było ciepłe i różowe, tak jak różowe były wówczas jej myśli. Jak dotąd jednak Bóg nie dał znaku; ale o tym wiedziała tylko ona.

– Jesteś gotowy? – zapytała Charliego, który siedział na ziemi po turecku i oplatał swe kształne nogi długimi, okrytymi teraz gęsia skórka ramionami.

- Gotowy – szepnął trzęsąc się jak osika. Zatopiła igłę w prawym oku nietoperza.
- Oj! – Charlie z przejęcia wydał policzki.

– A teraz zawiniemy go. – Omotała martwego nietoperza pasiakiem. – Masz, schowaj to do kieszeni. No, bierz!

Chłopiec posłusznie ukrył zawiniątko w kieszeni.

– Charlie! – wykrzyknęła stara z przestachem w głosie. – Charlie, gdzie jesteś? Nie widzę cię, dziecko!

– Tutaj! – zerwał się na równe nogi; refleksy światła prześliznęły się po jego ciele. – Jestem tutaj! – Rozentuzjasmowany, oglądał po kolei swoje ręce, nogi, piersi, palce u nóg. – Tutaj!

Oczy starej kobiety miały taki wyraz, jakby widziała przed sobą tysiące światełek wirujących w nocnym powietrzu.

– Charlie, odleciałeś szybko jak koliber. Wróć do mnie!

– Przecież jestem tutaj – płakał.

– Gdzie?

– Przy ogniu! Ale... ja siebie widzę. Wcale nie jestem niewidzialny!

Stara zakołysała się na chudych pośladkach.

– No pewnie, że widzisz siebie! Każdy niewidzialny widzi siebie. Jak byś mógł jeść, chodzić czy przenosić się z miejsca na miejsce? Charlie, dotknij mnie, żebym poznała, że to ty.

Niepewnie wyciągnął rękę.

Drgnęła niby przestraszona tym dotknięciem.

– Ach!

– To znaczy, że ty mnie nie widzisz? – zapytał. – Słowo?

– Zupełnie.

Obrała sobie najbliższe drzewo na punkt obserwacji i wlepiała w jego pień błyszczące oczy, pilnując się, żeby nie spojrzeć na chłopca.

– Ależ mi się udała sztuczka tym razem – westchnęła ze zdumieniem. – Uff, pierwszy raz w życiu zrobiłam kogoś tak szybko niewidzialnym. Charlie, jak się czujesz?

– Mąci mi się w głowie. Zupełnie jakby ktoś zamącił wodę w strumieniu.

– To przejdzie, zobaczysz. Potem dodała: – Charlie, a co będziesz teraz robić, skoro jesteś już niewidzialny?

Tysiące pomysłów powstało naraz w jego głowie – mogła to wyczytać z jego twarzy. Aż mu się dusza śmiała do przygód, a iskierki w oczach zdradzały, co to znaczy być chłopcem, który roi sobie, że jest górskim wiatrem. Śniąc na jawie, mówił:

– Będę chodził przez pole pszeniczne; wdrapywał się na ośnieżone góry; wykradał z farm białe kurczęta. Dam kopniaka różowemu prosiakowi, a on mnie nawet nie zobaczy. Mogę teraz szczypać w łydki ładne dziewczyny, kiedy będą spały, albo w szkole strzelać sobie z ich podwiązek. – Spojrzał na starą, która kątem oka dostrzegła coś złośliwego w jego twarzy. – I jeszcze dużo innych rzeczy – zakończył.

– Tylko nie próbuj żadnych sztuczek ze mną – ostrzegła go. – Jestem krucha jak wiosenny lód. – I po chwili: – A co z twoją rodziną?

– Rodziną?

– Przecież nie możesz w takim stanie pokazać się w domu. Wystraszyliby się śmiertelnie. Twoja matka padłaby bez zmysłów jak ścięte drzewo. Wszyscy potykałoby się bez końca o ciebie; matka wołałaby cię co parę minut – nawet gdybyś

był tuż obok.

Charlie nie brał tego pod uwagę. Mina mu się wydłużyła. Zdołał tylko wyszeptać cichutko „ojejku”, troskliwie obmacując swoje ręce i nogi.

– Mógłbyś się czuć nieco osamotniony: ludzie patrzyliby przez ciebie jak przez powietrze i potrącałyby cię nie wiedząc, że jesteś akurat pod nogami. A kobiety, Charlie, kobiety...

Przełknął ślinę.

– Co kobiety?

– Żadna by się tobą nie zainteresowała. Żadna kobieta nie będzie chciała się całować z chłopcem, którego ust nie mogłaby znaleźć!

Charlie kopał nogą w ziemi, oddając się medytacji. Minę miał nadaśaną.

– To dobrze, i tak zostanę niewidzialny, na troszkę. Tak dla zabawy. Muszę tylko być ostrożny. Będę się trzymał z daleka od koni i wozu, i od taty. Najlżejszy szmer – i tata zaraz strzela. – Zamrugnął oczami. – Mógłby mnie teraz pewnego dnia nafaszerować śrutem, myśląc, że to wiewiórka trafiła na nasze podwórze. Och... Stara skinęła głową w stronę drzewa.

– Zupełnie możliwe.

– W takim razie – z ociąganiem podjął decyzję Charlie – pobędę sobie niewidzialny do jutra, a jutro znów mnie odczarujesz.

– No, proszę, co to za stworzenie. Zawsze chce być tym, czym być nie może – poskarżyła się stara żukowi siedzącemu na pniu.

– Jak to? – zaniepokoił się Charlie.

– Myślisz, że to takie łatwe – wyjaśniła. Trzeba na to czasu; warstwa farby też nie zejdzie tak od razu.

– Ty mi to zrobiłaś! – wybuchnął. – Teraz mnie z powrotem odczaruj!

– Sza – uspokoiła go. – Mogę ci zaraz odczarować rękę albo nogę, chcesz?

– Jak ja będę tak chodził z jedną ręką zawieszoną w powietrzu!

– Jak piecioskrzydły ptak podskakujący na kamieniach.

– Albo z jedną nogą!

– Jak mały różowy królik hasający w zaroślach.

– Albo z głową unoszącą się w powietrzu!

– Jak kudłaty balonik karnawałowy.

– A kiedy mnie odczarujesz całego?.

Umyśliła sobie, że zajmie jej to co najmniej rok.

Chłopiec jęknął. Zaczął szlochać rozpaczliwie, gryząc wargi i zaciskając pięści.

– To przez ciebie, przez ciebie, przez ciebie. Teraz nie mogę wrócić do domu!

Stara zamrugnęła powiekami.

– Przecież możesz zostać tutaj, moje dziecko. Będzie ci tu jak u Pana Boga za

piecem.

– Zrobiłaś to umyślnie! – napadł na nią. – Ty wstrętna stara wiedźmo, chcesz mnie tu zatrzymać!

Gwałtownie rzucił się w zarośla.

– Charlie, wróć!

Żadnej odpowiedzi. Tylko ślady stóp w miękkim ciemnym torfie i zduszony szloch, który się szybko oddalał, aż wreszcie ucichł.

Kobieta czekała jakiś czas, a potem rozpałała ogień.

– Wróci – szepnęła do siebie. – Zostanie teraz ze mną przez całą wiosnę aż do końca lata. A później, jak już mnie zmęczy, kiedy zatęsknię do ciszy, odeślę go do domu.

Charlie pojawił się bezszelestnie wraz z szarzejącym brzaskiem, ślizgając się na oszronionej darni. Stara leżała wyciągnięta, niczym zbielałe w ogniu polano, koło rozsypanego w popiół ogniska.

Usiadł na kamieniach i przyglądał się jej.

Nie śmiała spojrzeć na niego. Nie wydał żadnego dźwięku, więc nie mogła wiedzieć, że jest w pobliżu.

Siedział ze śladami łez na policzkach.

Udała, że właśnie się budzi – chociaż nie zmrużyła oka przez całą noc. Wstała, ziewając i mruczając pod nosem, i odwróciła się do jaśniejącego brzasku.

– Charlie?

Jej wzrok objął pobliskie sosny, prześliznął się po ziemi i niebie, powędrował w stronę majaczących w oddali wzgórz. Powtórzyła znów imię chłopca i odczuła nieprzepartą chęć spojrzenia na niego. Ale się przemogła.

– Charlie? Hej, Charlie! – krzyknęła głośniej i usłyszała, jak echo po niej powtarza.

Uśmiechnął się leciutko, zdając sobie naraz sprawę, że stara czuje się samotna, mimo że on jest tuż obok. Może dostrzegł w tym momencie rosnącą w sobie tajemną siłę, poczuł się bezpieczny wobec świata. Był naprawdę zadowolony, że jest niewidzialny.

– Gdzież się ten chłopak podziewa? – powiedziała na głos. – Gdybym chociaż usłyszała jakiś szmer, dźwięk, wiedziałabym, gdzie jest, i może bym mu przygotowała śniadanie...

Zabrała się do szykowania posiłku, poirytowana trwającym wciąż milczeniem. Zaskwierczał bekon.

– Poczuj zapach – zamruczała.

Kiedy stała odwrócona, Charlie zwędził jej cały usmażony bekon i spałaszował go ze smakiem.

Odwróciła się z głośnym „O, Boże!” Podejrzliwym wzrokiem badała polanę.

– Charlie, czy to ty? Chłopiec otarł usta rękami.

Szybkim krokiem obeszła wkoło polanę, niby go szukając. Wpadła wreszcie na pomysł; udając ślepa, szła po omacku wprost na niego.

– Charlie, gdzie jesteś?

Zrobił błyskawiczny unik.

Najwyższym wysiłkiem woli powstrzymała się, żeby go nie gonić, bo przecież nie można ściagać niewidzialnych chłopców. Usiadła więc, nachmurzona, mamrocząc gniewnie, i smażyła nową porcję bekonu. Ale każdy kolejny plaster, jeszcze skwierczący, Charlie porywał i zaraz uciekał. W końcu, z twarzą pałającą ze złości, nie wytrzymała:

– Wiem, gdzie jesteś! – krzyknęła. – Tutaj! Słyszę, jak uciekasz – wskazała, niezbyt precyzyjnie, w jego kierunku. Uciekł znowu. – A teraz tu! – wołała. – Tutaj, o, tutaj! – wskazywała po kolei miejsca, w których się krył. – Słyszę, jak depczesz źdźbła trawy, jak potrącasz kwiaty, jak trzeszczy chrust. Mam uszy delikatne jak płatki róż; słyszę nawet poruszenia gwiazd!

Cicho odbiegł między sosny, a jego głos niósł się za nim:

– Nie usłyszysz mnie, jak wejdę na skałę! Cały dzień przesiedział na głazie bez ruchu, mlaskając językiem.

Stara głęboko w lesie zbierała chrust. Czowała na plecach wzrok chłopca. Już miała zawołać: „Widzę cię, to przecież były żarty”, ale przełknęła gorycz i ugryzła się w język.

Następnego dnia zachowywał się nieznośnie: wyskakiwał zza drzew, stroił małpie miny, rozciągał wargi, rozdymał nozdrza.

Raz upuściła chrust. Udawała, że przestraszyła ją niebieska sójka.

Zrobił ruch, jakby ją chciał udusić. Zadrzała.

Znów ruch, jakby chciał ją kopnąć w łydkę i napluć jej w twarz.

Zniosła to bez drgnienia powiek czy skrzywienia twarzy.

Wywalił język, wydając nieprzyzwoite dźwięki. Ruszał swymi odstającymi uszami tak, że z trudem hamowała śmiech. W końcu nie wytrzymała i roześmiała się na głos.

– Usiadłam na salamandrze. Hi, jak to łaskocze! – wyjaśniła szybko.

W południe jego szaleństwo osiągnęło szczyt – puścił się biegiem przez dolinę nagi jak go Pan Bóg stworzył.

Stara omal nie zemdląca z wrażenia.

„Charlie!” – już miała krzyknąć.

Charlie biegał golusienki, ukazując się to po jednej, to po drugiej stronie wzgórza – nagi jak dzień, nagi jak księżyc i jak słońce, jak nowo narodzone pisklą. Jego bosa

stopy śmigały w powietrzu niczym skrzydła kolibra nisko unoszącego się nad ziemią.

Stara zaniemówiła. Zresztą co mogłaby mu powiedzieć? Ubierz się? Jak ci nie wstyd? Przestań? Och, Charlie, Charlie, na Boga! Czy mogła to powiedzieć teraz?

Była niemym świadkiem, kiedy tańczył na wielkiej skale nago jak go Pan Bóg stworzył. Wymachując bosymi stopami klepał się po kolanach, wciągał i wydymał swój biały brzuch jak nadmuchiwany powietrzem cyrkowy balon.

Stara mocno zacisnęła powieki i modliła się.

Minęły trzy godziny. Zaczęła go wreszcie błagać.

– Charlie, chodź tutaj! Muszę ci coś powiedzieć.

Zjawił się przy niej jak opadający liść. Ubrany już, chwala Bogu.

– Charlie – powiedziała patrząc na sosny – widzę duży palec u twojej prawej nogi. O, tu.

– Widzisz naprawdę?

– Tak – powiedziała ze smutkiem stara. – Jest podobny do rogowatej ropuchy w trawie. A tutaj, w górze, twoje lewe ucho wisi w powietrzu niby różowy motylek.

Charlie tańczył.

– Staję się widzialny! Widzialny!

Przytaknęła.

– O, jest już kostka.

– Dawaj stopy! – rozkazał.

– Już masz obie.

– A ręce? „,,– Widzę jedną. Pełźnie po twoim kolanie jak pająk.

– A druga?

– Też pełza.

– Mam ciało?

– Już się pięknie kształtuje.

– Potrzebna mi jeszcze głowa, żeby móc wrócić do domu.

Do domu, pomyślała ze znużeniem.

– Nie! – upierała się rozzłoszczona. – Nie masz głowy. Wcale nie masz głowy! – wołała. Głowę zostawi na sam koniec. – Nie masz głowy, nie masz głowy – powtarzała.

– Nie mam głowy? – wyjęczał Charlie.

– Och, dobrze, masz już tę swoją pustą głowę! – warknęła. – A teraz oddaj mi nietoperza z igłą w oku.

Rzucił jej zawiniątko.

– Ihaaaa! – wrzaskiem wypełnił całą dolinę i długo jeszcze polem, jak pognał do domu, słyszała galopujące echo.

Stara kobieta dźwignęła wiązkę opału z wielkim znużeniem i ruszyła z powrotem



do chaty, wzdychając ciężko i mówiąc na głos do siebie. Charlie towarzyszył jej przez całą drogę – teraz naprawdę niewidzialny – i mogła go tylko słyszeć jak spadającą szyszkę sosnową, sączenie się podziemnego strumyka czy wiewiórkę wdrapującą się na gałąź. Przy ognisku o zmierzchu siedziała z Charliem – niewidzialnym – i karmiła go bekonem, którego i tak by nie wziął, więc jadła sama. A potem zabrała się do przyrządzania swoich czarów i zasnęła z Charliem, zrobionym ze szmat, patyków i kamieni, ale był to już jej własny syn, ciepły w jej drżących matczyńskich ramionach... i opowiadali sobie sennymi głosami cudacudeńka, aż zbudził się świt i ogień powoli, powoli przygasł...

*Przełożyła Ewa Kieruzalska*

## ZEJDŹ DO MOJEJ PIWNICY

Hugha Fortnuma obudziła sobotnia krzątająca. Leżał z zamkniętymi oczyma, rozkoszując się kolejno każdym jej odgłosem. Na dole smaży się bekon. Cynthia budzi go doskonałym śniadaniem, a nie krzykiem. Po drugiej stronie korytarza Tom bierze prysznic. Daleko, w świecie trzmieli i ważek, czyj to głos już przeklina pogodę, czas i przyływ? Pani Goodbody? Tak. Ostoja chrześcijaństwa, metr osiemdziesiąt bez butów, ogrodniczka nadzwyczajna, wegetarianka i miejscowy filozof. Wstał, uniósł żaluzje i wychylił się, aby posłuchać jej pokrzykiwań.

– A macie! Spróbujcie tego! To wam dobrze zrobi! Ha!

– Miłej soboty, pani Goodbody!

Staruszka znieruchomiała w obłokach płynu owadobójczego buchających z olbrzymiego rozpylacza.

– Nonsens! – odkrzyknęła. – Z całą tą szatańską hałastrą szkodników do upilnowania!

– Co za jedne tym razem?

– Nie chcę, żeby wróble zaczęły o tym ćwierkać, ale – rozejrzała się podejrzliwie dokoła – co by pan powiedział na to, że jestem pierwszą linią obrony przeciwko latającym talerzom?

.– Doskonale – odparł Fortnum. – Lada rok będziemy już mieli komunikację raketową między światami.

– Już jest! – Mierząc pod żywoplot nie przestawała pompować. – Aha! Mam was! – Cofnął głowę, już nie w tak dobrym nastroju jak po przebudzeniu.

Biedactwo z tej pani Goodbody. Zawsze uosobienie zdrowego rozsądku, a teraz skleroza. Zadzwieczał dzwonek u drzwi.

Złapał szlafrok i był w połowie schodów, gdy usłyszał głos:

– Ekspres. Fortnum? – i zobaczył, jak Cynthia wraca od drzwi wejściowych z małą paczką. Wyciągnął rękę, ale potrząsnęła głową. – Ekspres lotniczy do twego syna.

Tom znalazł się na dole tak szybko, jakby miał sto nóg.

– Cudownie! Na pewno z Wielkiej Hodowli Nowości Bagiennych!

– Chciałbym móc się tak podniecać z powodu zwykłej przesyłki – zauważył Fortnum.

– Zwykłej?! – Tom gorączkowo zrywał sznurek i papier. – Nie czytujecie ostatnich stron „Popular Mechanics”. No, są nareszcie!

Wszyscy zagłądali do niewielkiego otwartego pudełka.

– Co jest nareszcie? – odezwał się Fortnum – co? Gwarantowane Dochodowe Grzyby JumboGigantHodujSam!

– **Jasne – powiedział Fortnum. – Ale ze mnie głupiec.**

Cynthia spojrzała z ukosa.

– **Te maleństwa...**

– Fantastyczny przyrost w ciągu dwudziestu czterech godzin – Tom cytował z pamięci. – Możesz je hodować we własnej piwnicy...

Fortnumowie wymienili spojrzenia.

– Cóż – przyznała Cynthia – to lepsze niż zaskrońce i żaby.

– Jasne! – Tom odszedł.

– Och, Tom – odezwał się łagodnie Fortnum. Tom zatrzymał się w drzwiach piwnicy.

– Tom – powiedział ojciec – następnym razem zwykła przesyłka zupełnie wystarczy.

– A niech ich – powiedział Tom. – Musiało im się coś pokręcić. Myśleli, że jestem jakąś bogatą firmą. Lotniczy ekspres, kogo na to stać?

Drzwi od piwnicy zatrzasnęły się.

Fortnum, skołowany, gapił się przez chwilę na opakowanie, po czym wrzucił je do kosza. W drodze do kuchni uchylił drzwi od piwnicy. Tom już klęczał w odległym kącie, grzebiąc grabkami w ziemi. Fortnum wyczuł przy sobie obecność żony, oddychała cichutko, zaglądając w chłodny mrok.

– Mam nadzieję, że to są grzyby jadalne. Nie... muchomory?

Fortnum roześmiał się.

– Pomyślnych zbiorów, gospodarzu!

Tom podniósł wzrok i pomachał ręką. Fortnum zamknął drzwi, wziął żonę pod ramię i, w świetnym humorze, odprowadził ją do kuchni.

Koło południa Fortnum jechał samochodem do najbliższego supermarketu, gdy dostrzegł Rogera Willisa, swego kolegę z klubu i nauczyciela biologii w miejscowym liceum, który niecierpliwie dawał mu znaki z chodnika. Fortnum podjechał do krawężnika i uchylił drzwi.

– Cześć, Roger, podrzucić cię?

Willis aż nazbyt skwapliwie wskoczył do wozu, zatraskując drzwi.

– Cudownie, że cię widzę. Z dnia na dzień odkładałem wizytę. Mógłbyś przez pięć minut zabawić się w psychiatrę? Fortnum chwilę lustrował przyjaciela prowadząc samochód bez słowa.

– Zgoda. Wal.

Willis oparł się wygodnie i przyglądał swoim paznokciom.

– Podjedźmy jeszcze kawałek. Już. Dobrze. Posłuchaj: coś jest nie w porządku ze światem.

Fortnum zaśmiał się beztrząsco.

– Uważasz, że to coś nowego?

– Nie, nie, mam na myśli, że dzieje się...; coś dziwnego... coś nieuchwytnego.

– Pani Goodbody – Fortnum odezwał się na pół do siebie i urwał.

– Pani Goodbody?

– Dziś rano. Wygłosiła mi pogawędkę na temat latających talerzy.

– Nie – Willis nerwowo zagryzł palce. – Nie, nie, to nie talerze. Przynajmniej ja tak sądzę. Powiedz mi, co to jest intuicja?

– Uświadomienie sobie czegoś, co przez długi czas tkwiło w podświadomości. Ale nie bierz poważnie domorosłego psychologa. – Zaśmiał się ponownie.

– Dobra, dobra! – Willis obrócił ku niemu rozjaśnioną twarz. Poprawił się w fotelu. Właśnie! Na przykład coś się gromadzi przez dłuższy czas, prawda? Nagle musisz splunąć, ale nie myślisz o tym, że zbiera ci się ślina. Masz brudne ręce, ale nie wiesz, jak do tego doszło. Codziennie osiada na tobie kurz, ale ty tego nie czujesz. Dopiero jak się uzbiera zbyt wiele, zaczynasz dostrzegać. Tak ja rozumiem intuicję. No więc, co za kurz osiadł na mnie? Kilka meteorów na nocnym niebie?. Dziwna pogoda tuż przed świtem? Nie wiem. Pewne kolory, zapachy, odgłosy domu o trzeciej nad ranem? Gęsia skóra na rękach? Nie wiem – ja wiem tylko, że kurz się nagromadził. Zupełnie nagle.

– Tak – powiedział zaniepokojony Fortnum. – No i co?

Willis spuścił wzrok na złożone na kolanach dłonie.

– Boję się. Nie boję się. Potem boję się znowu, w samym środku dnia. Byłem u doktora. Jestem zdrowy jak koń. Żadnych kłopotów rodzinnych. Joe to fajny chłopak, dobry syn. Dorothy? Jest nadzwyczajna. Z nią nie boję się zestarzeć ani umrzeć.

– Szczęściarz.

– Ale zostawmy teraz moje szczęście na boku. Boję się panicznie naprawdę o siebie, o swoją rodzinę, a w tej chwili nawet o ciebie.

– O mnie? – powtórzył Fortnum. Zatrzymali się właśnie przy pustym placyku pod supermarketem. Zapanowała głucha cisza. Fortnum obrócił się i przyjrzał swemu przyjacielowi. Głos Willisa zmroził go nagle.

– Boję się o wszystkich – powiedział Willis. – O twoich przyjaciół, moich, o ich przyjaciół i tak dalej. Idiotyczne, co? – otworzył drzwi, wysiadł i wlepił wzrok w Fortnuma. Fortnum czuł, że musi coś powiedzieć.

– No dobrze, i co z tym fantem zrobić? Willis spojrzał w oślepiająco jasne słońce na ogromnym, odległym niebie.

– Miej oczy i uszy otwarte – mówił powoli. – Przez parę dni miej baczenie na wszystko.

– Na wszystko?

– Zbyt często nie wykorzystujemy nawet połowy tego, co dał nam Bóg. Powinniśmy słyszeć więcej, mieć wrażliwszy dotyk, węch i smak. Może jest coś niedobrego w sposobie, w jaki wiatr kładzie zielsko na tym placyku. Może w blasku słońca wysoko na drutach telefonicznych albo w śpiewie cykad wśród wiązków. Gdybyśmy tylko mogli popatrzeć, posłuchać przez parę dni, parę nocy i porównać obserwacje. A potem każ mi się zamknąć.

– To brzmi rozsądnie – odparł Fortnum, lekkim tonem maskując niepokój. – Rozejrzę się. Ale skąd mam wiedzieć, czy to właśnie to, o co w końcu mi chodzi, nawet jak już coś zobaczę?

Willis mierzył go otwartym spojrzeniem.

– Będiesz wiedział. Poznasz to z pewnością. Inaczej będzie po nas, po wszystkich – zakończył spokojnie. Fortnum zatrzasnął drzwi i nie wiedząc, co odpowiedzieć, poczuł na policzkach rumieniec zakłopotania. Willis też to spostrzegł.

– Hugh, czy uważasz, że ja... że mam hyzia?

– Bzdura – powiedział Fortnum zbyt szybko. – Jesteś tylko podenerwowany, to wszystko. Powinieneś wziąć parę tygodni urlopu.

Willis kiwnął głową.

– Zobaczymy się w poniedziałek wieczorem?

– Kiedy chcesz. Wpadnij.

– Mam nadzieję, że wpadnę, Hugh. Naprawdę mam nadzieję. – I już go nie było; szedł spieszenie przez porosły wyschniętymi chwastami placyk w kierunku wejścia do sklepu. Patrząc, jak odchodzi, Fortnum poczuł nagle, że nie ma ochoty się poruszyć. Odkrył, że niezwykle powoli wciąga powietrze, smakując ciszę. Obliznął wargi czując ich słoność. Spojrzał na swoje ramię wsparte o okno samochodu, na pokrywające je wyzłocone słońcem włoski. Na pustyni placu samotny wiatr hulał do woli. Fortnum wychylił się, aby popatrzeć na słońce – odwzajemniło mu się potężnym, oszłamiającym spojrzeniem, którego olśniewająca potęga zmusiła go do cofnięcia głowy. Zrobił wydech. Następnie roześmiał się w głos i wreszcie odjechał.

Zimna i cudownie zaparowana szklanka z lemoniadą. Lód melodyjnie dzwonił w szklance, a lemoniada była nie za kwaśna i nie za słodka, Sączył, smakował z zamkniętymi oczyma, odchylił się do tyłu w wyplatany fotelu na biegunach, na ocienionej werandzie. Świerszcze ćwierkały na trawniku. Cynthia robiąc coś na drutach po przeciwnej stronie werandy przyglądała mu się z zaciekawieniem. Wyczuwał jej napięcie.

– Co ci chodzi po głowie? – nie wytrzymała wreszcie.

– Cynthia – zapytał – czy twoja intuicja jest w porządku? Czy zagraża nam trzęsienie ziemi? Czy nadciąga potop? Wojna wisi w powietrzu? Czy tylko nasze ostróżki wygina od zarazy?

– Poczekaj. Muszę się wsłuchać w siebie. Otworzył oczy i obserwował, jak z kolei Cynthia zamyka powieki i siedzi nieruchomo niby posąg, z dłońmi na kolanach. Wreszcie potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.

– Nie. Nie będzie wojny. Żadnego potopu. Nawet żadnej zarazy. A dlaczego?, – Spotkałem dziś mnóstwo proroków zagłady. No, powiedzmy dwóch i...

Ażurowe drzwi werandy otworzyły się nagle. Fortnum podskoczył, jakby dostał cios.

– Co się stało?!

Tom wszedł na werandę z drewnianym koszem ogrodniczym w rękach.

– Przepraszam – powiedział. – A o co chodzi, tato?

– O nic.

Fortnum podniósł się zadowolony, że może się ruszyć.

– Czy to twoje zbiory? Tom podszedł skwapliwie.

– Część. O rany, rosną jak na drożdżach. Wystarczy siedem godzin, dużo wody i patrzcie, jakie wielkie. Postawił kosz na stole między rodzicami. Plon był rzeczywiście bogaty. Setki małych, szarawo-brązowych grzybów wychylało się z wilgotnej ziemi.

– A niech mnie... – powiedział Fortnum, wyraźnie poruszony.

Cynthia wyciągnęła dłoń, aby dotknąć koszyka, i nagle cofnęła ją nie wiedząc czemu.

– Nie chcę ci robić przykrości, ale... to na pewno dobre grzyby?

Tom był wyraźnie dotknięty.

– A co, myślisz, że będę was karmił trującymi grzybami?

– Właśnie – wyrzuciła z siebie Cynthia, – A jak je rozróżnić?

– Spróbować – powiedział Tom, – Jeśli nie umrzesz, to znaczy, że są dobre. A jak padniesz trupem... no cóż... – Zaśmiał się rubasnie, co rozbawiło Fortnuma, ale matka tylko się skrzywiła. Usiadła z powrotem w fotelu.

– Ja... mnie się one nie podobają – powiedziała.

– Ludzie kochani – Tom ze złością chwycił koszyk. – Czy zawsze wszystko w tym domu musi się skończyć kłapą?

Powlókł się ponury.

– Tom... – zaczął Fortnum.

– Mniejsza o to – powiedział Tom. – Wszyscy uważają, że jak młody człowiek się za coś bierze, to się na pewno źle skończy. A niech to diabli!

Fortnum wszedł do mieszkania w chwili, gdy Tom ciskał grzybami i koszem po schodach do piwnicy. Trzasnął drzwiami i wybiegł tylnym wyjściem. Fortnum wrócił do żony, która zdenerwowana umknęła spojrzeniem.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie wiem, co mi się stało. Po prostu musiałam to

powiedzieć Tomowi.

Zadzwoił telefon. Fortnum wyniósł aparat na werandę wlokąc sznur za sobą.

– Hugh? – To był głos Dorothy Willis. Jakby nagle przestraszony i postarzały. – Hugh... Może jest u was Roger?

– Roger? Nie.

– Zniknął! Zginęły z szafy wszystkie jego ubrania. – Zaczęła cichutko płakać.

– Trzymaj się, Dorothy, zaraz u ciebie będę.

– Musisz coś poradzić, musisz. Jestem pewna, że coś mu się stało. Nigdy już nie zobaczymy go żywego, chyba że coś zrobisz – łkała.

Bardzo powoli odłożył na widełki słuchawkę, w której słychać było jej rozplakany głos. Świerszcze nocne rozwrzeszczały się całkiem niespodziewanie. Czuł, jak włosy jeden po drugim jeżą mu się na karku. Włosy nie mogą tego robić, pomyślał. Głupi. Nie mogą tego robić tak naprawdę. Ale zrobiły, z wolna jeden po drugim wstawały.

Druciane wieszaki były rzeczywiście puste. Z brzękiem odgarnął je po pręcie na bok, potem odwrócił się i wyjrzał z garderoby na Dorothy Willis i jej syna Joego.

– Właśnie przechodziłem – odezwał się Joe – i zobaczyłem, że garderoba jest pusta i że brak ubrań taty!

– Wszystko układało się bardzo dobrze – powiedziała Dorothy. – Mielśmy cudowne życie. Nic z tego nie rozumiem, nic! Ponownie zaczęła płakać kryjąc twarz w dłoniach. Fortnum wyszedł z garderoby.

– Nie słyszeliście, jak wychodził z domu?

– Graliśmy w piłkę na dworze – odezwał się Joe. – Tata powiedział, że musi na chwilę iść do domu. Poszedłem od tyłu i stwierdziłem, że zniknął!

– Musiał się chyba szybko spakować i wyjść pieszo, żebyśmy nie usłyszeli taksówki zajeżdżającej przed dom.

Szli korytarzem do wyjścia.

– Sprawdź na dworcu kolejowym i na lotnisku. – Fortnum zawahał się. – Dorothy, czy jest coś w przeszłości Rogera...

– Z pewnością nie choroba umysłowa... – Urwała. – Mam przecucie, że został porwany.

Fortnum zaprzeczył ruchem głowy.

– To się nie trzyma kupy. Spakował się, wyszedł z domu i pomaszerował na spotkanie ze swoimi porywaczami?

Dorothy, odwrócona, rozglądając się po pokojach pchnęła drzwi, jakby chciała wpuścić do hallu nocny powiew.

– Nie. Musieli jakoś wejść do domu i wykraść nam go spod nosa. – I dodała: – To straszne.

Fortnum wyszedł w noc pełną świerszczy i szumu drzew. Prorocy zagłady, myślał, głoszą swe przepowiednie. Pani Goodbody. Roger. A teraz jego żona. Stało się naprawdę coś strasznego. Ale co, na litość boską? I jak? Przeniósł spojrzenie z Dorothy na jej syna. Joe mrugając tłumił łzy napływające mu do oczu, po czym odwrócił się, co trwało wieki, powlókł korytarzem i zatrzymał z ręką na gałce drzwi do piwnicy. Fortnum czuł, jak drżą mu powieki, a źrenice rozszerzają się, jakby fotografował coś, co chce zapamiętać. Joe otworzył szeroko drzwi i zniknął. Drzwi domknęły się same. Fortnum otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Dorothy ujęła jego dłoń, więc spojrzał w jej stronę.

– Proszę cię – powiedziała – znajdź go. Pocałował ją w policzek.

– Jeśli to tylko leży w ludzkiej mocy... – Boże, dlaczego wybrał takie właśnie słowa. Odszedł w letnią noc.

Wdech, wydech, wdech, wydech, astmatyczny wdech, wilgotne kichnięcie. Ktoś kona po nocy? Nie. To pani Goodbody, niewidoczna za żywoplotem, pracuje o tej porze. Pompka wycelowana, kościste łokcie chodzą jak tłoki. Mdlący zapach środka owadobójczego spowił Fortnuma jak gęsty obłok.

– Pani Goodbody, jeszcze pani z tym nie skończyła?

Od czerniejącego w dali żywoplotu dobiegł jej głos:

– Niech to szlag trafi! Mszyce, pluskwy wodne, korniki, a teraz *marasmius oreades*. Boże, ależ to rośnie!

– Co rośnie?

– Przecież mówię, *marasmius oreades*! Albo ja, albo one, ale myślę, że ja.

A macie! Macie! Macie!

Odszedł od żywoplotu, dyszącej pompki, zasapanego głosu i zastał żonę czekającą na werandzie, jakby odbierała go tam, gdzie go Dorothy parę minut temu zostawiła. Fortnum już miał coś powiedzieć, gdy w mieszkaniu poruszył się jakiś cień. Usłyszał skrzypienie. Obrót gałki u drzwi. Tom zniknął w piwnicy. Fortnum miał uczucie, że coś wybuchło mu w twarz. Zachwiał się. Wszystko było odrętwiająco znajome, jak w snach na jawie, gdzie wydarzenia się zna, nim zaistnieją, gdzie się słyszy słowa, nim zostaną powiedziane. Dotarło do niego, że gapi się w zamknięte drzwi od piwnicy. Cynthia wprowadziła go do środka, rozweselona.

– Co? Tom? Och, ustąpiłam. Te przekłete grzyby takie są dla niego ważne. Poza tym świetnie im to wysypanie do piwnicy zrobiło, rosną sobie po prostu na ziemi.

– Świetnie im zrobiło? – usłyszał swój głos Fortnum.

Cynthia chwyciła go za ramię.

– Co z Rogerem?.

– Tak, odszedł.

– Ach, ci mężczyźni.



– Nie, nie masz racji – odparł. – Widywałem Rogera codziennie przez ostatnie dziesięć lat. Gdy się zna człowieka tak dobrze, wiadomo, jak sprawy stoją u niego w domu, spokój czy kocioł. Nie owionął go jeszcze dech śmierci. Nie rzucił się w szaleńczy pościg za swa młodością. Nie, nie, gotów jestem przysiąc, założyć się o ostatniego dolara, że Roger... – Za jego plecami odezwał się dzwonek u drzwi. Posłaniec wszedł bez słowa na werandę i zatrzymał się z telegramem w ręku.

– Pan Fortnum?

Gdy otwierał kopertę i wyglądał telegram, Cynthia zapaliła światło.

*Jadę do Nowego Orleanu. Korzystam z chwili nieuwagi. Nie przyjmujcie, powtarzam, nie przyjmujcie żadnych ekspresowych paczek!*

*Roger.*

Cynthia podniosła wzrok znad papieru.

– Nie rozumiem. O co mu chodzi?

Lecz Fortnum już był przy telefonie i pospiesznie wykręcał numer.

– Centrala? Policję, i to natychmiast.

O 10,15 telefon zadzwonił po raz szósty tego wieczoru. Fortnuma zatkało.

– Roger! Gdzie jesteś?

– Gdzie ja jestem? – odparł beztrąsko, prawie z rozbawieniem Roger. – Wiesz doskonale, gdzie jestem. To twoja sprawka. Powinienem się obrazić.

Cynthia na skinienie Fortnuma podbiegła do drugiego aparatu w kuchni.

– Roger, przysięgam, że nie wiem. Dostałem od ciebie ten telegram...

– Jaki telegram? – zapytał pogodnie Roger. – Nie wysyłałem żadnego telegramu.;

Nagle policja wpadła do pociągu odjeżdżającego na południe i wyciągnęli mnie na jakimś zadupiu, więc dzwonię do ciebie, żebyś mi zdjął ich z karku. Hugh, jeśli to jakiś kawał...

– Ależ, Roger, ty przecież zniknąłeś!

– Wyjechałem służbowo. Jeśli to nazywasz zniknięciem... Powiedziałem o tym Dorothy i Joemu.

– Naprawdę można zgłupieć, Roger. Nic ci nie grozi? Nikt cię nie szantażuje, nie zmusza, żebyś tak mówił?

– Czuję się świetnie, jestem zdrow, wolny i niczego się nie boję.

– Ale, Roger, a twoje przecucia...?

– Bzdury! W każdym razie ze mną wszystko w porządku.

– Oczywiście, Roger.

– To bądź taki miły i daj mi już spokój. Zadzwon do Dorothy i powiedz jej, że będę za pięć dni. Jakżeż ona mogła zapomnieć?

– Zapomniała, Roger. To co, zobaczymy się za pięć dni?

– Za pięć, przysięgam. – Głos brzmiał przekonywająco i serdecznie. Roger.

Fortnum pokręcił głową bardziej jeszcze oszołomiony.

– Roger – odezwał się – to jest najbardziej szalony dzień w moim życiu. Nie uciekasz od Dorothy? Na litość boską, mnie możesz powiedzieć.

– Kocham ją całym sercem. Ale już jest porucznik Parker z policji w Ridgetown. Do widzenia, Hugh.

– Do...

Lecz porucznik był już na linii i mówił nie przebierając w słowach. Co Fortnum chciał osiągnąć, pakując policję w to wszystko? Co jest grane? Kim on myśli, że jest? Czy chce, żeby ten tak zwany przyjaciel został zatrzymany, czy może go wypuścić?

– Wypuścić – udało się Fortnumowi wtrącić w którymś momencie. – Odłożył słuchawkę i wydało mu się, że słyszy głos wzywający wszystkich do wsiadania i potężny grzmot pociągu opuszczającego stację oddaloną o dwieście mil na południe, wśród gęstniejących ciemności. Cynthia bardzo wolno weszła do pokoju.

– Czuję się tak głupio – powiedziała.

– A jak, myślisz, ja się czuję?

– Któż mógł wysłać ten telegram? I po co? Nalał sobie whisky i stał pośrodku pokoju obserwując trunek.

– Cieszę się, że z Rogerem jest wszystko w porządku.

– Wcale nie jest – powiedział Fortnum.

– Ale przed chwilą mówiłeś...

– Nic nie mówiłem! Zresztą nie mieliśmy prawa wywlekać go na siłę z pociągu i odstawiać do domu, skoro upierał się, że nic mu nie jest. Nie. Wysłał ten telegram i zmienił zdanie po jego nadaniu. Ale dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Fortnum sącząc napój przemierzał pokój. Co znaczy to ostrzeżenie przed ekspresowymi przesyłkami? Jedyne paczki, jaką otrzymaliśmy w tym roku, to ta, którą Tom dostał dziś rano... – jego głos zamarł. Zanim zdążył zrobić krok, Cynthia była już przy koszu i wygrzebała zmięty papier opakowania oblepiony ekspresowymi znaczkami. Stempel pocztowy głosił: „Nowy Orlean, Luizjana”. Cynthia spojrzała znad papieru.

– Nowy Orlean. Czy nie tam właśnie jedzie teraz Roger?

Zgrzytnęła gałka, drzwi rozwarły się i zamknęły w umyśle Fortnuma. Zgrzytnęła druga gałka, drugie drzwi rozwarły się i zamknęły. Pachniało wilgotną ziemią. Zauważył, że wykręca numer telefonu. Po dłuższej chwili odezwała się Dorothy Willis. Wyobrażał ją sobie świetnie: siedzi samotna w domu, z pozapalonymi wszędzie światłami. Zamienił z nią parę zdawkowych słów, wreszcie odchrząknął i powiedział:

– Dorothy, posłuchaj. Wiem, że to zabrzmie głupio. Ale powiedz mi, czy w ciągu ostatnich kilku dni dostarczono do waszego domu jakąkolwiek ekspresową przesyłkę lotniczą?

Jej głos był ledwie słyszalny.

– Nie. – Po chwili jednak dodała: – Nie, zaczekaj. Trzy dni temu. Ale myślałam, że wiesz. Wszyscy chłopcy z ulicy mają kota na tym punkcie.

Fortnum starannie dobierał słów.

– Na jakim punkcie?

– Ale dlaczego pytasz? – powiedziała. – Nie ma chyba nic złego w hodowli grzybów?

Fortnum zamknął oczy.

– Hugh? Jesteś jeszcze? – zapytała Dorothy. – Powiedziałam: nie ma nic złego w...

– ...hodowli grzybów – odezwał się wreszcie Fortnum. – Nie. Nic złego. – I powoli odłożył słuchawkę. Firanki powiewały jak welon utkany z blasku księżyca. Zegar tykał. Głęboka noc wpłynęła do środka i wypełniła sypialnię. Brzmiał mu w uszach wyraźny głos pani Goodbody zasłyszany rano, odległy teraz o milion lat. Słyszał, jak Roger zaciąga chmurę na słońce w południe. Słyszał policjanta wymyślającego mu przez telefon z drugiego końca stanu. Potem znów głos Rogera zanikający wśród łomotu lokomotywy unoszącej go coraz dalej i dalej. I wreszcie głos pani Goodbody z za żywoplotu: „Boże, ależ to rośnie!” – „Co rośnie?” – „*Marasmius oreades!*”

Gwałtownie rozwarł powieki. Usiadł. Chwilę później, na dole, przerzucał kartki encyklopedii. Zatrzymał palec wskazujący na haśle: „*Marasmius oreades*: grzyb pospolicie występujący na trawnikach latem, i wczesną jesienią”. Książka zamknęła się sarna.

Zapałił papierosa na dworze wśród głębokiej, letniej nocy i zaciągnął się w milczeniu. Po niebie przeleciał meteor i szybko spłonął. Drzewa szeleściły delikatnie. Trzasnęły drzwi frontowe. Cynthia podeszła w szlafroku.

– Nie możesz zasnąć?

– Chyba jest za ciepło.

– Nie jest ciepło.

– Rzeczywiście – powiedział dotykając swoich rąk. – Właściwie jest zimno.

Zaciągnął się dwukrotnie papierosem, po czym, nie patrząc na nią, powiedział:

– Cynthia... A co jeśli...? – Zasapał się i musiał przerwać. – A co jeśli Roger miał rację dziś rano? I pani Goodbody? Dzieje się coś strasznego. Może to... – wskazał ruchem głowy wygwieżdżone niebo – może to inwazja istot z innych światów?

– Hugh!

– Nie, pozwól mi pofantazjować.

– Oczywiście, nie ma żadnej inwazji, przecież byśmy zauważyli.

– Powiedzmy, że zauważyliśmy tylko częściowo, jesteśmy na razie czymś zaniepokojeni. Jak myślisz? Jak to możliwe? Przy pomocy jakich środków te stworzenia mogłyby tego dokonać? – Cynthia spojrzała w niebo i już miała coś odpowiedzieć, ale jej przerwał. – Nie, nie żadne meteory ani latające talerze. Nic z rzeczy, które jesteśmy w stanie dostrzec. Ale bakterie...? Też przybywają z przestrzeni kosmicznej, prawda?

– Tak, kiedyś czytałam...

– Zarodniki, nasiona, pyłki, wirusy bombardują naszą atmosferę całymi miliardami na sekundę, i tak od milionów lat. W tej chwili jesteśmy wśród niewidzialnego deszczu. Pada na cały kraj, miasta, miasteczka i właśnie teraz... na nasz trawnik.

– Nasz trawnik?

– I na trawnik pani Goodbody. Ale ludzie jej pokroju zawsze pielą, rozpylają trucizny, wrywają muchomory. W miasteczkach trudno przetrwać wszelkim obcym formom życia. Pogoda też ma znaczenie. Najlepszy klimat ma południe: Alabama, Georgia, Luizjana. Gdzieś na bagnach mogłyby pewnie wyrosnąć do niezłych rozmiarów. Ale Cynthia zaczęła się śmiać.

– No wiesz, nie chcesz chyba powiedzieć, że ta Wielka Hodowla, czy jak tam, Nowości Bagiennych, która przysłała Tomowi paczkę, jest prowadzona przez wysokie na metr osiemdziesiąt grzyby z innej planety?

– Rzeczywiście brzmi to zabawnie – przyznał.

– Zabawnie? To jest przekomiczne! – odrzuciła głowę do tyłu w zachwycie.

– Mój Boże! – wykrzyknął nagle poirytowany. Dzieje się coś dziwnego! Pani Goodbody wykopuje i niszczy *marasmius oreades*. A co to jest *marasmius oreades*? Rodzaj grzyba. Jednocześnie, na skutek dziwnego zbiegu okoliczności, tego samego dnia przychodzi ekspresowa przesyłka dla Toma! Grzyby! Mało tego, Roger obawia się, że może wkrótce zniknąć. Za parę godzin znika rzeczywiście, po czym telegrafuje ostrzegając nas przed przyjęciem czego? Ekspresowej przesyłki z grzybami dla Toma! A syn Rogera – też otrzymał podobną przesyłkę w ciągu ostatnich kilku dni. Skąd wysyłano paczki? Z Nowego Orleanu! A dokąd udaje się Roger po zniknięciu? Do Nowego Orleanu! Widzisz, Cynthia? Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby te wszystkie sprawy nie wiązały się ze sobą. Roger, Tom, Joe, grzyby, pani Good body, paczki – wszystko pasuje.

Wpatrywała się w jego twarz, spokojna, lecz nadal rozbawiona.

– Nie złość się.

– Nie złościę się! – Fortnum prawie wrzeszczał. I nagle po prostu nie mógł

mówić dalej. Obawiał się, że śmiech byłoby słyszeć również w jego krzyku, a jakoś nie miał na to ochoty. Spoglądał na domy sąsiadów, w jedną i drugą stronę ulicy i myślał o mrocznych piwnicach i chłopcach z sąsiedztwa, którzy czytają „Popular Mechanics” i jak jeden mąż wysłali pieniądze, aby zająć się hodowlą przyczajonych gdzieś grzybów. Tak jak on będąc w ich wieku, zamawiał pocztą chemikalia, nasiona, żółwie, rozmaite balsamy i maści. W ilu milionach amerykańskich domów wyrastają tej nocy miliardy grzybów zasianych przez naiwnych?

– Hugh? – żona dotknęła jego ramienia. – Grzyby, nawet te ogromne, nie potrafią myśleć. Nie potrafią poruszać się. Nie mają rąk ani nóg. Jak mogłyby prowadzić przedsiębiorstwo wysyłkowe i przejąć władzę nad światem? Chodź. Rzucimy okiem na twoje potwory. Pociągnęła go w stronę drzwi i skierowała się do piwnicy, ale Fortnum kręcąc głową z głupawym uśmiechem zaparł się nogami.

– Nie, nie, wiem, co tam zastaniemy. Masz rację. To idiotyzm. Roger wróci w przyszłym tygodniu i wszyscy razem się upijemy. Idź teraz na górę do łóżka, a ja wypiję szklankę ciepłego mleka i przyjdę za minutę... no, za parę minut...

– Dobrze, już dobrze! – Ucałowała go w oba policzki, objęła i odeszła po schodach do sypialni. W kuchni wziął szklankę, otworzył lodówkę i zaczął sobie nalewać mleka, gdy wtem zamarł. Na samym brzegu górnej półki stała niewielka żółta miska. Ale nie ona przykuła jego uwagę, tylko jej zawartość: świeżo zebrane grzyby.

Oddech Fortnuma parował w mroźnym powietrzu lodówki – musiało bowiem minąć z pół minuty, zanim sięgnął, ujął miskę, powąchał, dotknął grzybów, po czym wyszedł z miską na korytarz. Wzrok jego pobiegł po schodach w górę. Słyszał, jak Cynthia kreci się po sypialni, i już miał zawołać: „Cynthia, czy to ty je włożyłaś do lodówki?”, ale zrezygnował. Znalazł odpowiedź. Nie ona. Postawił miskę z grzybami u stóp schodów i stał wpatrując się w nią. Wyobraził sobie, jak później, leżąc już w łóżku, przy otwartych oknach, spogląda po ścianach i obserwuje wzory na suficie wyczarowane przez poświętę księżycową. Zabrzmiał mu w uszach własny głos. „Cynthia?” i jej „Słucham?”. A potem wydało mu się, że jej tłumaczy, że grzyby właściwie mogą mieć ręce i nogi... „Co?” – powiedziałyby – „głuptasie”. A on zebrałby się na odwagę i ignorując jej wybuch wesołości mówiłby dalej: „Co by było, gdyby tak jakiś człowiek wędrując przez mokradła nzbierał tych grzybów i je zjadł...?” Cynthia nie odpowiada.

„A w człowieku grzyby rozprzestrzeniają się przez krwiobieg, opanowują każdą komórkę ciała i zamieniają człowieka w... Marsjanina... Przyjmując takie założenie widzimy jasno, że grzyby nie potrzebowałyby rąk i nóg. Nie – skoro mogłyby żyć w ludziach stając się stopniowo nimi. Roger zjadł grzyby podane mu przez syna. Roger stał się »czymś innym«. Porwał sam siebie. I w ostatnim przebłyску

świadomości wysłał do nas telegram ostrzegający przed przyjęciem wysłanych ekspresem grzybów.. To coś imieniem Roger, co telefonowało do nas później, nie było już Rogerem, lecz niewolnikiem, jeńcem tego, co Roger zjadł. Czy to nie pasuje, Cynthia? Powiedz”. – „Nie” – odparła ta Cynthia z wyobraźni – „nie pasuje, nie!”

Z dołu dobiegł ledwo słyszalny szept, szelest, szmer, ruch. Odwracając wzrok od miski Fortnum podszedł do drzwi piwnicy i przyłożył do nich ucho.

– Tom?

Cisza.

– Tom, jesteś tam na dole?

Cisza.

– Tom?

Po długim oczekiwaniu usłyszał głos Toma.

– Tak, tato!

– Już po północy – powiedział Fortnum z trudem powstrzymując się, aby nie krzyczeć.

– Co robisz tam na dole? Cisza.

– Powiedziałem...

– Doglądam swojej hodowli – odparł wreszcie chłopiec zimnym i słabym głosem.

– Wyłaż no stamtąd! Słyszysz mnie? Cisza.

– Tom? Posłuchaj. Czy włożyłeś grzyby do lodówki dziś wieczorem? Jeśli tak, to po co?

Minęło przynajmniej dziesięć sekund, zanim chłopiec odpowiedział:

– Dla ciebie i dla mamy do zjedzenia, oczywiście.

Fortnum słyszał, jak wali mu serce, i musiał trzykrotnie odetchnąć głęboko, zanim mógł się znów odezwać.

– Tom? Ty nie... chciałem powiedzieć... sam nie zjadłeś przypadkiem trochę tych grzybów, przyznaj się?

– Nie rozumiem, po co pytasz – odparł Tom. – Tak, jadłem. Dziś wieczorem. Z kanapką po kolacji. A bo co?

Fortnum ścisnął gałkę drzwi. Teraz on z kolei nie odpowiedział. Czuł, jak miękną mu kolana, próbował walczyć z całą tą bezsensowną bzdurą.

„Tak sobie” – próbował powiedzieć, lecz nie mógł poruszyć wargami.

– Tato? – łagodnie zawołał Tom z piwnicy. – Zejdź na dół. – Znów cisza. – Chcę ci pokazać plon.

Fortnum czuł, jak gałka wyslizguje mu się ze spoczonej dłoni. Wreszcie obróciła się. Brakło mu tchu.

– Tato? – powtórzył równie miękko Tom. Fortnum otworzył drzwi. Piwnica tonęła w zupełnych ciemnościach. Wsunął rękę obmacując ścianę w poszukiwaniu

wyłącznika. Doleciał go skądś jakby przeczuwający to jego wtargnięcie głos Toma:

– Nie. Światło szkodzi grzybom. Fortnum puścił wyłącznik. Przełknął ślinę.

Obejrzał się na schody. Powinienem chyba, pomyślał, pójść pożegnać się z Cynthią. Ale skąd ta myśl! Skąd w ogóle taki pomysł? Nie ma żadnego powodu.

– Tom – powiedział siląc się na bez troskę. – Może nie przygotowany, ale idę!  
I schodząc w ciemność zamknął za sobą drzwi.

*Przełożył Marek Marszał*

## WYCIECZKA NA MILION LAT

To mama zaproponowała, żeby cała rodzina wybrała się na ryby. Lecz słowa nie były mamy; Tymoteusz wiedział o tym. To były słowa tatusia, a mama wypowiedziała je jakoś zamiast niego.

Ojciec, szurając nogami w marsjańskim żwirze, zgodził się. Natychmiast zrobiło się zamieszanie i hałas, wszystkie rzeczy bardzo szybko wepchnięto do toreb i pojemników, mama przebrała się w podróżny sweter i bluzkę, tatuś nabił drżącymi palcami fajkę wciąż wpatrując się w marsjańskie niebo, a trzech chłopcy z wrzaskiem władowali się do motorówki, ale żaden z nich, z wyjątkiem Tymoteusza, nie spojrzął na matkę i ojca.

Ojciec nacisnął dźwignię. Pomruk silnika łodzi wzbił się w niebo. Woda zafalowała, łódź ruszyła naprzód i cała rodzina krzyknęła:

– Hura!

Tymoteusz siedział na rufie, małe palce położył na owłosionych rękach ojca, patrzył, jak kanał się wiję. Odpływali od zaśnieconego terenu, na którym wylądowali w swej małej rodzinnej rakiecie po długiej podróży z Ziemi. Pamiętał noc przed odlotem, szepty i pośpiech, rakieta, którą ojciec skądś wytrzasnął, i rozmowę o wakacjach na Marsie. Daleki to był wyjazd jak na wakacje, lecz Tymoteusz nie powiedział nic ze względu na młodszych braci. Przybyli na Marsa, a teraz od razu mieli jechać na ryby.

Ojciec miał śmieszny wyraz oczu, gdy łódź płynęła kanałem. Wyraz, którego Tymoteusz nie potrafił zrozumieć. W spojrzeniu ojca widział jakby silne światło i coś w rodzaju ulgi. Wskutek tego głębokie zmarszczki wyglądały wesoło, nie zaś smutnie czy płaczliwie.

Stygnąca rakietą zniknęła za zakrętem.

– Na jak długo się wybieramy? – Robert zanurzył dłoń w wodzie. Wyglądała jak mały krab w fioletowym płynie.

– Na milion lat – mruknął ojciec. – Bujda – powiedział Robert.

– Patrzcie, dzieci. – Mama podniosła swe długie, gładkie ramie. – Tam jest martwe miasto.

Odwrócili się gwałtownie, a martwe miasto leżało jak gdyby jedynie dla nich, drzemiąc w gorącej ciszy marsjańskiego lata.

Ojciec wyglądał tak, jakby się cieszył, że miasto jest martwe.

Miasto było zbiorowiskiem różowych kamieni na piaszczystej wydmie – przewróconych kolumn, jedna samotna świątynia, a dalej znów przestwór piasku. Nic innego na przestrzeni całych mil. Biała pustynia po obu stronach kanału i błękitna pustynia nad nim.



Właśnie wtedy przeleciał jakiś ptak. Ojciec miał przerażoną minę, gdy go zobaczył – Myślałem, że to rakietą.

Tymoteusz patrzył na głęboki ocean niebios, usiłując zobaczyć Ziemię, wojnę, zrujnowane miasta i ludzi zabijających się nawzajem od dnia, w którym się urodził, też nie widział nic. Wojna zniknęła i była równie daleka jak dwie muchy walczące na śmierć i życie pod sklepieniem wielkiej, wysokiej i cichej katedry, i równie bezsensowna.

William Thomas wytarł czoło i poczuł dotknięcie dłoni syna na swym ramieniu; zadrżał, bo dłoń była jak młoda tarantula. Uśmiechnął się do chłopca.

– Jak leci, Tymoteusz?

– Świetnie, tato.

Tymoteusz nie wyobrażał sobie, co też dzieje się w tym ogromnym dorosłym mechanizmie koło niego. Mężczyzna o wielkim jastrzębim nosie, łuszczącym się od opalenizny – do tego płomienne niebieskie oczy jak agatowe kulki, którymi bawił się po lekcjach na Ziemi, oraz długie, grube kolumny nóg w luźnych bryczesach.

– Za czym się tak wciąż rozglądasz, tatusiu?

– Szukam ziemskiej logiki, zdrowego rozsądku, dobrych rządów, pokoju i odpowiedzialności.

– Wszystko to gdzieś jest?

– Nie. Nie zauważyłem. Już nie ma. Możliwe, że nigdy nie będzie. Może oszukiwaliśmy się, że kiedykolwiek było.

Hę?

– Patrz, ryby – powiedział ojciec wskazując palcem.

Wszyscy trzej chłopcy podnieśli krzyk, chwili śle w łódce wyciągając cienkie szyje, by leniej widzieć. „Achom” i „fochom” nie było końca. Srebrna pierścieniowa ryba płynęła falując i migocąc jak tęcza wokół cząsteczek jedzenia, które asymilowała.

Tatuś patrzył na nią. Mówił głębokim i spokojnym głosem:

– Zupełnie jak wojna. Wojna pływa dok cła, widzi żer, chwytą go. W chwilę później... koniec z Ziemią.

– William – odezwała się matka.

– Przepraszam – rzekł ojciec.

Siedzieli nieruchomo i czuli, jak płynie woda w kanale – chłodna, szybka i szklista. Jedynym dźwiękiem był pomruk silnika, woda błyszczała, słońce przenikało atmosferę.

– Kiedy wreszcie zobaczymy Marsjan? – zawołał Michael.

– Pewnie dość szybko – odparł ojciec. – Może dziś w nocy.

– Och, ale Marsjanie wymarli – wtrąciła matka.

– Nie, nie wymarli. Na pewno pokażę wam paru Marsjan – odpowiedział natychmiast ojciec.

Tymoteusz zmarszczył czoło, lecz nie odezwał się. Wszystko było teraz dziwne: wakacje, wyprawa na ryby i te spojrzenia, które wymieniali rodzice.

Pozostali chłopcy znaleźli sobie zajęcie: przysłaniając dłońmi oczy obserwowali kamienne obrzeża kanału w poszukiwaniu Marsjan.

– Jak oni wyglądają? – zapytał Michael.

– Poznasz ich, kiedy ich zobaczysz. – Ojciec jakby się roześmiał, a Tymoteusz zobaczył, że na szyi pulsuje mu jakaś żyłka.

Matka była szczupłą, złoty warkocz upięła na głowie jak tiarę, a jej oczy miały barwę głębokiej, chłodnej wody w cieniu; były niemal fioletowe z plamkami bursztynu. Widziało się w tych oczach myśli: przepływały jak ryby – jedne jasne, inne ciemne, szybkie albo spokojne i leniwe, a czasem, gdy spoglądała w górę, tam gdzie jest Ziemia, w oczach nie było nic poza barwą. Siedziała na ławeczce, jedną dłoń oparła na burcie łodzi, druga leżała na granatowych spodniach, a linia na opalonej gładkiej szyi pokazywała, gdzie jak biały kwiat otwiera się bluzka.

Patrzyła przed siebie, jakby chciała zobaczyć, co tam jest, i nie widziała tego dość wyrośnie, oglądała się więc na męża i w jego oczach dostrzegała, co jest przed nią. A ponieważ w tym odbiciu była część jego – jego zdecydowanie i siła – twarz matki odprężała się i chłonąc to odwracała się znowu, wiedząc już, czego szukać.

Tymoteusz patrzył również. Ale widział tylko prostą, jakby narysowaną ołówkiem linię kanału, który jak fioletowy pas przechodził przez szeroką, pustą dolinę, obrzeżona niskimi zwietrzalymi wzgórzami. Kanał ciągnął się bez, bez końca, poprzez miasta, które chrzęściły jak chrabąszcze w suchej tykwie, gdyby się nią potrząsnęło. Sto czy dwieście miast, śniło gorące dziwne sny i chłodne nocne sny...

Przebyli miliony mil – by łowić ryby. Ale na rakiemie była broń. To były wakacje. Lecz po co? A żywność, która starczyłaby na lata, ukryta teraz w pobliżu rakiety? Wakacje. A za zasłoną wakacji nie było uśmiechniętej twarzy, lecz coś twardego i kościstego, i być może przerażającego. Tymoteusz nie potrafił uchylić tej zasłony, a jego bracia mieli – jeden dziesięć, a drugi osiem lat.

– Nie ma Marsjan. Bujda. – Robert oparł swój spiczasty podbródek na dłoni i patrzył na kanał.

Ojciec zabrał ze sobą atomowe radio, które miał na ręku. Było dość staromodne: funkcjonowało na tej zasadzie, że dotykało się nim gdzieś koło ucha i wibracja przenosiła się na kości. Ojciec słuchał teraz radia. Jego twarz wyglądała jak jedno z tych martwych miast, była zapadnięta, ściągnięta, niemal bez życia.

Dał matce, żeby posłuchała. Wargi jej rozchyliły się.

– Co... – Tymoteusz chciał o coś zapytać, lecz nie dokończył zdania.

W tej chwili nastąpiły dwa potworne wstrząsy, a po nich z pięć słabszych eksplozji.

Ojciec gwałtownym ruchem podniósł głowę i natychmiast zwiększył szybkość. Łódź podskakiwała i trzęsła się pędząc naprzód. To pozwoliło Robertowi ochłonąć i spowodowało piskliwe okrzyki radosnego przerażenia Michaela, który przytulił się do nóg matki i patrzył, jak woda strumieniami przelewa się tuż koło jego nosa.

Ojciec skręcił ster, zmniejszył prędkość i wprowadził łódź w małą odnogę kanału do starożytnej przystani, której kamienne nabrzeża całe były popękane i czuć je było krabami.

Dziób uderzył w nabrzeże tak silnie, że wszyscy polecieli do przodu, ale nic się nikomu nie stało. Ojciec odwrócił się, by sprawdzić, czy fale są na tyle duże, by mogły wskazać drogę do ich kryjówki. Linie na wodzie rozszerzały się, uderzając o kamienie, cofały się, przenikając się nawzajem, aż wreszcie rozpląnęły się, upstrzone plamkami słońca. Zapanował spokój. Ojciec nasłuchiwał; reszta rodziny również. Jego oddech odbijał się echem jak dudnienie pięści uderzających w chłodne i mokre kamienie przystani. W cieniu kocie oczy matki obserwowały ojca, jakby szukając wskazówki, co robić dalej.

Ojciec odprężył się, odsapnął i roześmiał się z samego siebie.

– To rakietka, oczywiście. Zaczynam się robić nerwowo. Rakietka.

Michael zapytał:

– Co się stało, tatusiu, co się stało?

– Och, po prostu wysadziliśmy naszą rakietę, to wszystko – powiedział Tymoteusz, usiłując nadać głosowi obojętne brzmienie. – Słyszałem już, jak wybuchają rakietki. I nasza właśnie wybuchła.

– Dlaczego wysadziliśmy naszą rakietę? – zapytał Michael. – Co, tatusiu?

– To taka zabawa, głuptasie – powiedział Tymoteusz.

– Zabawa! – Michael i Robert uwielbiali to słowo.

– Tatusz wszystko tak urządził, żeby wybuchła i żeby nikt nie wiedział, gdzie wylądowaliśmy i dokąd poszliśmy! W razie gdyby ktoś nas szukał, rozumiesz?

– Bracie, to sekret!

– Wystraszyłem się własnej rakietki – przyznał ojciec. – Jestem nerwowo. – Głupio pomyśleć, że mogłyby tu być jeszcze jakieś inne rakietki. Może z wyjątkiem jednej. Jeśli Edwards z żoną dali sobie radę ze swoim statkiem kosmicznym...

Znowu przyłożył do ucha maleńkie radio. Po dwóch minutach opuścił rękę tale gwałtownie, jakby coś rzucał.

– Skończyło się wreszcie – powiedział do matki. – Radio po prostu zeszło z atomowego promienia. Wszystkie inne radiostacje świata są nieczynne. Ich liczba zmniejszyła się do paru w ciągu ostatnich kilku lat. Obecnie w atmosferze panuje

całkowite milczenie. I tak już prawdopodobnie zostanie.

– Na jak długo? – zapytał Robert.

– Może wasze praprawnuki usłyszą je znowu – powiedział ojciec. Siedział bez ruchu, a dzieci wyczuwały jego strach, przygnębienie i rezygnację.

Wreszcie znowu skierował łódź do kanału i popłynęli w poprzednim kierunku.

Robiło się późno. Słońce kłoniło się już ku zachodowi, a przed nimi leżało jeszcze mnóstwo martwych miast.

Ojciec rozmawiał bardzo spokojnie i delikatnie ze swymi synami. W przeszłości wiele razy bywał dla nich szorstki i oziębły. Teraz wprost pieścił ich słowami, a oni to czuli.

– Michael, wybierz sobie miasto.

– Co, tatusiu?

– Wybierz sobie miasto, synu. Jedno z tych miast, które mijamy.

– Dobra – powiedział Michael. – A jak mam wybrać?

– Weź, które ci się najbardziej podoba. Wy również, Robert i Tymoteusz.

– Ja chcę mieć miasto z Marsjanami – powiedział Michael.

– Będziesz miał – zgodził się ojciec. – Obiecuję ci. – Rozmawiał z dziećmi, lecz patrzył tylko na matkę.

W ciągu dwudziestu minut napotkali sześć miast. Ojciec już nawet nie wspominał o eksplozjach. Wydawało się, że o wiele bardziej interesuje go zabawa z synami i to, żeby byli zadowoleni.

Michaelowi podobało się pierwsze miasto, lecz rozległ się ogólny protest, bowiem wszyscy wątpili w trafność pierwszego wyboru. Drugie miasto nikomu się nie podobało. Było to osiedle Ziemian, zbudowane z próchniejącego już teraz drzewa. Tymoteusz chciał wybrać trzecie, bo było duże. Czwarte i piąte wydawały się zbyt małe, za to szóste znalazło uznanie u wszystkich, na czele z matką, która przyłączyła się do okrzyków zachwyty.

Stało w nim jeszcze pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt ogromnych budowli, ulice były zakurzone, lecz brukowane, a dwie stare wirujące fontanny na placach nadal pulsowały wodą. Tryskająca w świetle późnego popołudnia woda była jedynym tu przejawem życia.

– To będzie nasze miasto – oznajmili zgodnie.

Ojciec skierował łódź do przystani i wyskoczył pierwszy.

– No, więc jesteśmy. To nasze. Od tej chwili zaczynamy tu żyć.

– Od tej chwili... – Michael nie mógł uwierzyć. Wstał, rozejrzał się, a potem zaczął patrzeć w tym kierunku, gdzie pozostała rakietą. – A co z rakietą? Co z Minnesota?

– Słuchaj – rzekł ojciec. – Dotknął małym odbiornikiem jasnej głowy Michaela. –

Słuchaj.

Michael słuchał.

– Nic nie słyszę – powiedział.

– Słusznie. Bo już nic nie ma. Nie ma Minneapolis, nie ma rakiet, nie ma Ziemi.

Michael zastanowił się nad tym przerażającym odkryciem i zaczął popłakiwać.

– Nie płacz – odezwał się po chwili ojciec. – W zamian daję ci o wiele więcej.

– Co? – Michael powstrzymał łzy, ciekaw, lecz nadal gotów do płaczu, gdyby dalsze rewelacje ojca były równie przykre jak pierwsza.

– Daję ci to miasto, Michael. Jest twoje.

– Moje?, – Twoje, Roberta i Tymoteusza, was trzech, jesteście jego właścicielami.

Tymoteusz wyskoczył z łodzi.

– Patrzcie, chłopaki, wszystko to dla nas! Dla nas! – Wraz z ojcem uczestniczył w grze i grał doskonale. Potem, gdy wszystko się skończy i uspokoi, może odejść na bok i popłakać chwilę. Lecz teraz to jeszcze była gra, rodzinna wycieczka, dzieciaki musiały się nadal bawić.

Michael wyskoczył za Robertem. Pomogli mamie.

– Uważajcie na siostrę – powiedział ojciec, ale nikt nie wiedział, co ma na myśli. Dopiero później się to wyjaśniło.

Szybko weszli do dużego miasta z różowego kamienia, szepcząc między sobą, bowiem martwe miasta mają w sobie coś takiego, że zmuszają człowieka do szeptu. Patrzyli na zachód słońca.

– Za jakieś pięć dni – oświadczył ojciec spokojnie – wrócę na to miejsce, gdzie wylądowała nasza rakietka, zabiorę zapasy ukryte w ruinach i przewiozę je tutaj. Potem poszukam Berta Edwardsa z żoną i córkami.

– Córkami? – zapytał Tymoteusz. – Ile ich jest?

– Cztery.

– Już widzę, że będą z tym później kłopoty. – Matka powoli pokiwała głową.

– Dziewczyny. – Michael przypominał starożytną marsjańską rzeźbę. –

Dziewczyny.

– Czy one również przybywają raketami?, – Tak. Jeśli im się, uda. Rakiety rodzinne są skonstruowane do podróży na Księżyc, a nie na Marsa. Mieliśmy szczęście, że nam się udało.

– Skąd wzięłeś tę raketę? – szepnął Tymoteusz, gdy bracia biegli przodem.

– Oszczędzałem. Ukrywałem ją przez dwadzieścia lat. Schowałem ten statek, mając nadzieję, że nie będę musiał go użyć. Może powinienem oddać go rządowi na wojnę, ale myślałem o Marsie.

– I o wycieczce!

– Tak jest. Ale to między nami. Kiedy zobaczyłem, że wszystko na Ziemi się kończy, w ostatniej chwili załadowałem nas na raketę. Bert Edwards miał również ukryty statek kosmiczny, lecz zdecydowaliśmy, że będzie bezpieczniej wystartować oddzielnie, na wypadek gdyby ktoś chciał nas zestrzelić.

– Dlaczego wysadziłeś raketę, tatusiu?

– Żebyśmy nigdy nie mogli wrócić. A poza tym na wypadek, gdyby kiedykolwiek żli ludzie dostali się na Marsa. Nie powinni wiedzieć, że tu jesteśmy.

– To dlaczego stale patrzysz w niebo?

– Tak. To głupie. Nie będą nas gonić. Nie mają na czym. Po prostu jestem ostrożny.

Michael wrócił biegiem.

– To naprawdę jest nasze miasto, tatusiu?

– Ta cała planeta należy do nas, dzieci. Cała planeta.

I tak stali, usiłując zrozumieć, co to znaczy być właścicielem świata, i jak wielki ten świat właściwie jest.

Noc zapadła szybko w rozrzedzonej atmosferze, a ojciec zostawił ich na placu przy pulsującej fontannie, poszedł do łodzi i wrócił z wielkim stosem papieru w swych potężnych dłoniach.

Położył papiery na szczątkach starego dziedzińca i podpalił. Stanęli wokół ogniska, by się ogrzać, i śmieli się, a Tymoteusz widział małe literki, które podskakiwały jak wystraszone zwierzątka, gdy płomień je pożerał. Papiery marszczyły się jak skóra staruszka, a pożar pochłaniał niezliczone słowa: „Akcje rządowe”, „Przegląd Przemysłowy 1999”, „Przesady religijne – szkic”, „Nauka logistyki”, „Problemy jedności panamerykańskiej”, „Sprawozdanie giełdowe z 3 lipca 1998”, „Przegląd Wojskowy”...

Ojciec przyniósł te papiery właśnie do spalania. Siedział i z zadowoleniem wrzucał je do ognia, sztuka po sztuce, tłumacząc dzieciom, co które pismo oznacza.

– Nastal czas, że muszę wam wyjaśnić parę spraw. Chyba to nie było w porządku, że tyle przed wami ukrywałem. Nie wiem, czy rozumiecie, lecz muszę to powiedzieć, nawet jeśli tylko część z tego do was dotrze.

Wrzucił kolejny arkusz w płomień.

– Palę styl życia, ten sam, który został właśnie spalony na powierzchni Ziemi. Wybaczcie mi, jeśli mówię jak polityk. Mimo wszystko jestem byłym gubernatorem stanu, byłem na tym stanowisku uczciwy i za to mnie nienawidzono. Życie na Ziemi nigdy nie kształtowało się tak, by mogło powstać coś naprawdę dobrego. Nauka rozwijała się zbyt szybko, wyprzedzając nas, a ludzie zagubili się w dżungli mechanizacji niby dzieci, robiąc piękne zabawki, świecidełka, helikoptery, rakiety, wysuwając niewłaściwie cele, stawiając na pierwszym miejscu maszyny, zamiast

tego, jak się tymi maszynami posługiwać. Wojny robiły się coraz groźniejsze i wreszcie zabiły Ziemię. Świadczy o tym milczące radio. Od tego właśnie uciekliśmy.

Mamy szczęście. Tam nie ma już rakiet. Czas, byście wiedzieli, że nie jesteśmy na wycieczce. Nie powiedziałem wam tego. Ziemia przestała istnieć. Podróże międzyplanetarne skończyły się na całe stulecia, może na zawsze. Dotychczasowy styl życia okazał się zły i sam doprowadził do własnej zguby. Jesteście młodzi. Będę wam to powtarzał, aż wreszcie utrwali się to w waszej pamięci.

Zrobił przerwę, by wrzucić dalsze papiery do ognia.

– Teraz pozostaliśmy sami. My i garstka innych, którzy wylądują za kilka dni. Wystarczy, by zacząć na nowo. Wystarczy, by odwrócić się od tego wszystkiego, co było na Ziemi, i wytyczyć nową linię...

Ogień rozjarzył się, jakby chciał dodać wagi jego słowom. A potem wszystkie papiery spłonęły, z wyjątkiem jednego. Wszystkie prawa i wierzenia z Ziemi zamieniły się w ciepłe popioły, które szybko rozproszył wiatr.

Tymoteusz patrzył, co ojciec na ostatku włożył do ognia. Była to mapa świata. Zmarszczyła się i skręciła w żarze, i uleciała jak ciepły czarny motyl. Tymoteusz odwrócił się.

– A teraz pokażę wam Marsjan – rzekł ojciec. – Chodźcie wszyscy. Chodź, Alice. – Ujął jej dłoń.

Michael płakał głośno, więc ojciec wziął go na ręce i niósł pośród ruin w stronę kanału.

Kanał. Tutaj jutro czy pojutrze ich przyszłe żony, teraz jeszcze małe, roześmiane dziewczynki, przybędą łodzią wraz z rodzicami.

Dokoła zapadła noc, pojawiły się gwiazdy. Lecz Tymoteusz nie mógł znaleźć Ziemi. Już zaszła. To dawało do myślenia.

Nocny ptak odezwał się w ruinach. Ojciec powiedział:

– Mania i ja spróbujemy was uczyć. Może nam się to nie udać. Ale mam nadzieję, że wszystka pójdzie dobrze. Mamy wiele do zobaczenia i do nauczenia się. Tę wycieczkę planowaliśmy wiele lat temu, jeszcze przed waszym urodzeniem. Myślę, że nawet gdyby nie było wojny, przybylibyśmy na Marsa, by żyć i formować nasz własny styl życia. Minęłoby przynajmniej jeszcze jedno stulecie, nim Mars zostałby naprawdę zatruty przez ziemską cywilizację. Teraz, oczywiście...

Dotarli do kanału. Był długi i prosty, chłodny i mokry, i lśnił wśród nocy.

– Zawsze chciałem zobaczyć Marsjanina – odezwał się Michael. – Gdzie oni są, tatusiu? Obiecałeś.

– Są tutaj – odparł ojciec, opuścił ramię, na którym trzymał Michała, i wskazał ręką w dół.

I rzeczywiście byli Marsjanie. Tymoteusz zaczął drżeć.

Marsjanie pojawili się odbici w wodzie: Tymoteusz, Michael, Robert, matka i ojciec.

Marsjanie patrzyli na nich przez długą chwilę, bardzo długą chwilę milczenia, z pomarszczonej powierzchni wody...

*Przełożył Adam Kaska*



## KRZYK KOBIETY

Nazywam się Małgorzata Leary, mam dziesięć lat i chodzę do piątej klasy Szkoły Centralnej. Nie mam braci ani siostr, ale za to mam fajnych rodziców, tylko że nie biorą mnie zbyt poważnie. W każdym razie nie sądziliśmy, że kiedykolwiek będziemy mieli do czynienia z zamordowaną kobietą. Albo prawie zamordowaną.

Po prostu kiedy ktoś mieszka na ulicy takiej, jak my, nie przychodzi mu do głowy, że mogą zdarzyć się tak straszne rzeczy, jak zastrzelenie, zasztyletowanie lub zakopanie kogoś w ziemi, ściślej mówiąc, na podwórzu za domem. A jeśli to się zdarzy – nie wierzy. Po prostu dalej spokojnie smaruje sobie masłem grzankę lub piecze ciasto.

Muszę wam opowiedzieć, jak to się stało. Było upalne popołudnie w połowie lipca i mama powiedziała do mnie:

– Małgosiu, idź do sklepu i kup lodów. Dziś sobota, tatuś jest w domu na obiedzie, więc zrobimy przyjęcie.

Przebiegłam przez pusty plac za naszym domem. To duży plac, gdzie dzieciaki grają w piłkę, i pełno tam potłuczonego szkła i śmieci. Wracając z lodami ze sklepu po prostu sobie szłam, myśląc o swoich sprawach, gdy nagle to się stało.

Usłyszałam krzyk kobiety.

Zatrzymałam się i nasłuchiwałam. Dochodził z głębi ziemi.

Jakaś kobieta była przywalona kamieniami, ziemią i szkłem i krzyczała dziko, strasznie, żeby ktoś ją odkopał.

Stałam tam po prostu przestraszona, a ona bez przerwy krzyczała zduszonym głosem.

Wtedy zaczęłam biec. Przewróciłam się, wstałam i znowu pobiegłam. Wpadłam w drzwi naszego domu, a tu mama, zupełnie spokojna, bo przecież nie wie tego, co ja – że tam jest prawdziwa żywa kobieta, zakopana za domem, tylko trzydzieści metrów stąd, i krzyczy na krwawego mordercę.

– Mamo – powiedziałam.

– Nie stój tam z lodami.

– Ale, mamo.

– Włóż je do lodówki.

– Posłuchaj, mamo, tam na pustym placu krzyczy jakaś kobieta.

– I umyj ręce.

– Krzyczy bez przerwy...

– Zaraz, zaraz, sól i pieprz – powiedziała mama, jakby nieobecna.

– Posłuchaj mnie – powtórzyłam głośno – musimy ją odkopać. Jest przywalona

tonami śmieci i jeśli jej nie odkopimy, udusi się i umrze.

– Jestem pewna, że może poczekać, aż skończymy obiad.

– Mamo, nie wierzysz mi?

– Ależ tak, kochanie, wierzę. A teraz umyj ręce i zanieś ojcu to mięso.

– Nawet nie wiem, kim jest i skąd się tam wzięła – powiedziałam – ale musimy jej pomóc, zanim będzie za późno.

– Mój Boże – rzekła mama – popatrz na te lody. Co ty wyprawiasz, stoisz w słońcu i pozwalasz im się topić...

– Tak, ale ten plac...

– No, już. Zmykaj. Weszłam do jadalni.

– Cześć, tato, tam na pustym placu jest kobieta, która krzyczy.

– Jeszcze nie znałem takiej, która by tego nie robiła – powiedział tato.

– Mówię poważnie.

– Masz minę bardzo serio.

– Musimy wziąć kilofy i łopaty i kopać, jakbyśmy szukali jakiejś egipskiej mumii.

– Nie mam ochoty bawić się w archeologa – powiedział tato. – No, może któregoś pięknego, chłodnego dnia w październiku zabierzemy się do tego sama prawie krzyczałam. Serce mi waliło.

– Ależ nie możemy czekać aż tak długo – Byłam przestraszona, zdenerwowana i bałam się, a tato, jak gdyby nigdy nic, nakładał sobie mięso na talerz, krajał je i przeżuwał, nie zwracając na mnie uwagi.

– Tato?

– Mmm? – odpowiedział żując.

– Tato, po prostu musisz wyjść ze mną po obiedzie i pomóc mi. Tato, oddam ci wszystkie moje pieniądze ze skarbonki.

– Aha – powiedział tato – więc to jest handlowa propozycja, tak? Musi to być ważne dla ciebie, skoro oferujesz całkiem dobre pieniądze. Ile płacisz za godzinę?

– Mam całe pięć dolarów, które zbierałam przez rok. Są twoje.

Tato wziął mnie za ramię.

– Jestem dotknięty. Naprawdę jestem do, tknięty. Chcesz, żebym się z tobą bawił, i zamierzasz mi za to płacić. Szczerze mówiąc, Małgosiu, czuję się przez ciebie jak drań. Poświęcam ci za mało czasu. Wiesz, co ci powiem? Po obiedzie wyjdę i posłucham tej twojej wrzeszczącej baby za darmo.

– Pójdiesz? Naprawdę pójdiesz?

– Tak, proszę pani, tak właśnie zrobię, ale musisz mi obiecać jedną rzecz.

– Co?

– Że zjesz ładnie obiad.

– Obiecuję. W porządku.

Weszła mama, usiadła i zaczęliśmy jeść.

– Nie» tak szybko – powiedziała. Zwolniłam i zaraz znów zaczęłam jeść szybko.

– Słyszałaś, co powiedziała mama.

– Ale ta kobieta. Musimy się śpieszyć.

– Mani zamiar – powiedział tato – spokojnie i rozsądnie zjeść najpierw befszytk, później ziemniaki i oczywiście sałatkę, a potem lody i na koniec popić to mrożoną kawą, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Zajmie mi to pewnie dobrą godzinę.

I jeszcze jedna rzecz, młoda damo: jeśli choć raz w czasie obiadu wspomnisz to wrzeszczące nie wiadomo co, nie pójde z tobą słuchać jej występów.

– Dobrze, tato.

– Zrozumiano?

– Tak, tato – powiedziałam.

Obiad trwał milion lat. Każdy ruszał się w zwolnionym tempie, jak na filmie. Mama powoli wstawiała i wolno siadała, a i widelce, noże i łyżki ruszały się ospale. Nawet muchy w pokoju były niemrawe. I taty szczęki ruszały się z wolna. Tak to się wlokło, że chciałam krzyknąć: „Pośpieszcie się! Proszę, szybciej, wstańcie, biegnijcie na dwór, pędem!”

Ale nie, musiałam siedzieć. I cały czas gdy ospale, powoli jedliśmy obiad, na pustym placu była ta kobieta (słyszałam w myślach jej krzyk), całkiem sama, podczas gdy świat jadł obiad, słońce było gorące, a plac pusty jak niebo.

– No i tak – powiedział tato, gdy wreszcie skończył.

– Teraz pójdziesz zobaczyć tę krzyczącą kobietę? – spytałam.

– Najpierw jeszcze trochę mrożonej kawy – rzekł tato.

– Jak już mowa o wrzeszczących kobietach – wtrąciła mama – to Charlie Nesbitt znów pobił się wczoraj wieczorem z żoną.

– Nic nowego – odpowiedział tato – oni zawsze się biją.

– Jakby się kto pytał, Charlie to nic dobrego – powiedziała mama – ona zresztą też.

– Hm, nie wiem – odrzekł tato – uważam, że jest całkiem sympatyczna.

– Jesteś stronniczy. Przecież omal że nie ożeniłeś się z nią.

– Znów do tego wracasz? Ostatecznie byłem z nią tylko zaręczony przez sześć tygodni.

– Zrywając okazałeś trochę rozsądku.

– Och, znasz Helenę. Zawsze rozkochana w teatrze. Chciała żyć na walizkach. Nie mogłem tego znieść i dlatego zerwałem. Ale była słodka. Słodka i miła.

– I co to jej dało? Okropnego męża brutalą w osobie Charliego.

– Tato – powiedziałam.

– Przyznaję, że Charlie ma okropny charakter – ciągnął dalej tato. – Pamiętasz, jak Helena grała główną rolę w przedstawieniu z okazji matury? Śliczna jak z obrazka. Napisała do niego parę piosenek dla siebie. Właśnie tego lata napisała dla mnie tę piosenkę.

– Ha! – powiedziała mama.

– Nie śmieję się. To była dobra piosenka.

– Nigdy mi o niej nie mówiłeś.

– To sprawa moja i Heleny. Zaraz... jak to było?

– Tato – przerwałam.

– Lepiej byś wreszcie wziął dziecko na ten plac – powiedziała mama – zanim nerwowo się załamie. A tę cudowną piosenkę zaśpiewasz mi potem.

– Dobra. No, chodź – powiedział tato i wybiegliśmy z domu.

Na placu w dalszym ciągu było pusto i gorąco, a szkło połyskiwało zielenią, białą i brązem wszędzie tam, gdzie leżały butelki.

– No i gdzie jest ta wrzeszcząca baba? – zaśmiał się tato.

– Zapomnieliśmy łopat! – wykrzyknęłam.

– Weźmiemy je później, jak usłyszymy solistkę.

Zaprowadziłam go na miejsce.

– Posłuchaj. Nasłuchiwaaliśmy.

– Nic nie słyszę – powiedział w końcu tato.

– Cśś, poczekaj. Nasłuchiwaaliśmy jeszcze chwilę.

– Hej, proszę pani! – zawołałam. Słyszeliśmy słońce na niebie i naprawdę cichy wiatr wśród drzew. Słyszeliśmy autobus przejeżdżający w oddali i jakiś samochód.

To wszystko.

– Małgorzato – powiedział ojciec – proponuję, żebyś się położyła z mokrym ręcznikiem na czole.

– Ale ona tu była! – krzyknęłam. – Słyszałam ją, cały czas wrzeszczała. Widzisz? Tu są ślady kopania.

Wołałam w kierunku ziemi jak opętana:

– Hej tam, hej tam w dole!

– Małgosiu – rzekł ojciec – wczoraj w tym miejscu pan Kelly wykopał wielki dół na śmieci i odpadki.

– Ale w nocy kto inny zakopał w nim kobietę i znów go zasypał.

– No cóż, ja tam wracam do domu i biorę zimny prysznic.

– To nie pomożesz mi kopać!?

– Lepiej nie siedź tu zbyt długo. Jest upał.

I tato poszedł sobie. Słyszałam, jak trzasnęły kuchenne drzwi. Tupnęłam

w ziemię.

– A niech to!

Krzyki znów się zaczęły. Krzyczała i krzyczała. Może się zmęczyła i odpoczywała, a teraz zaczyna od początku, specjalnie dla mnie?

Stałam na pustym placu w palącym słońcu i byłam bliska płaczu. Pobiegłam z powrotem do domu i zaczęłam walić w drzwi.

– Tato! Ona znowu krzyczy!

– A jakże – odpowiedział – chodź.

I zaprowadził mnie do mojej sypialni na górze.

– O – powiedział. Kazał mi się kłaść i położył mi na głowie jakąś zimną szmatę.

– I nie przejmuj się tym tak bardzo.

Zaczęłam płakać.

– Och, tato, nie możemy pozwolić jej umrzeć. Ona jest cała zakopana, jak w tym opowiadaniu Edgara Allana Poe. Pomyśl, jak to okropne tak krzyczeć, a tu nikt nie zwraca najmniejszej uwagi.

– Zabraniam ci wychodzić z domu – rzekł tato zatroskany – masz tu leżeć całe popołudnie.

Wyszedł i zamknął drzwi na klucz. Słyszałam, jak rozmawiał z mamą we frontowym pokoju. Po chwili przestałam płakać. Wstałam i podeszłam na palcach do okna. Mój pokój jest na piętrze. Wydawało mi się, że jest bardzo wysoko.

Wzięłam prześcieradło, przywiązałam je do łóżka i koniec wyrzuciłam za okno. Potem przelazłam przez parapet i spuściłam się na ziemię; cichutko pobiegłam do garażu, wzięłam dwie łopaty i poleciałam na pusty plac. Było gorąco jak nigdy. Zaczęłam kopać, a ona cały czas krzyczała...

Ciężko było tak wbijać łopatę i dźwigać kamienie i szkło. Wiedziałam, że zajmie mi to całe popołudnie i być może nie skończę na czas. Cóż mogłam zrobić? Powiedzieć innym ludziom? Ale oni nie wzięliby tego poważnie, jak mama i tato. Po prostu więc kopałam dalej sama.

Jakieś dziesięć minut później ścieżka przez pusty plac przechodził Dippy Smith. Ma tyle lat co ja i chodzi do mojej szkoły.

– Cześć, Małgośka – powiedział.

– Cześć, Dippy – wysapałam.

– Co robisz? – spytał. – Kopię.

– Po co?

– Mam tu pod ziemią kobietę, co krzyczy, i ją odkopuję.

– Nie słyszę żadnego krzyku – stwierdził Dippy.

– Usiądź i poczekaj chwilę, to jeszcze usłyszysz. Albo lepiej pomóż mi kopać.

– Nie będę kopał, dopóki nie usłyszę, jak krzyczy – odpowiedział.  
Czekał.  
– Słuchaj! – krzyknęłam – słyszałeś?  
– Ojej – powiedział Dippy z rosnącym uznaniem, a oczy mu błysnęły. – Ale fajowo. Zrób tak jeszcze.

– Co mam zrobić?  
– Ten krzyk.  
– Musimy poczekać – odpowiedziałam zakłopotana.  
– Zrób tak jeszcze – upierał się szarpiąc mnie za rękę. – No, zrób! – Sięgnął do kieszeni po brązową kulkę. – Popatrz – pokazał mi ją – dam ci tę kulkę, jak znowu to zrobisz.

Z ziemi dobył się krzyk. – Bomba! – powiedział Dippy – naucz mnie tak robić!  
Tańczył wokół mnie, jakby ujrzał cud.  
– Kiedy ja nie... – zaczęłam.  
– Wiem, kupiłaś za dziesięć centów książkę „Jak zostać brzuchomówcą” w tej Magicznej Spółce z Dallas w stanie Teksas! – wykrzyknął Dippy. – Masz w ustach taką blaszkę jak brzuchomówcy?  
– Ttak – skłamałam, bo chciałam, żeby mi pomógł. – Jak pomożesz mi kopać, to ci później o tym opowiem.  
– Dobra. Dawaj łopatę.  
Kopaliśmy razem, a ta kobieta od czasu do czasu krzyczała.  
– Bracie – powiedział Dippy – można by pomyśleć, że mamy ją tuż pod nogami. Małgośka, jesteś fantastyczna. – I dodał: – Jak ona się nazywa?  
– Kto?  
– No, ta kobieta. Musisz ją jakoś nazywać.  
– No pewnie – zastanawiałam się przez chwilę – nazywa się Wilma Schweiger, jest bogatą staruszką, ma dziewięćdziesiąt sześć lat i zakopał ją człowiek o nazwisku Spike, który fałszuje banknoty dziesięciodolarowe.  
– Aha – powiedział Dippy.  
– Razem z nią ukryty jest skarb, a ja jestem groźny zbój, który chce ją odkopać i wszystko zabrać – wysapałam, kopiąc zawzięcie.  
Dippy zrobił wielkie tajemnicze oczy.  
– Czy ja też mogę być groźnym zbrojcem? – Miał lepszy pomysł: – Udawajmy, że to jest księżniczka Ommanatra, królowa egipska, cała w diamentach.  
Kopaliśmy dalej i pomyślałam sobie, że ją uratujemy. Na pewno. Jeśli tylko nie przestaniemy kopać!  
– Hej, mam myśl – powiedział Dippy. Pobiegł, przyniósł kawałek tektury i zaczął

coś na niej gryzmolić kredką.

– Kop! – krzyknęłam – nie możemy przestać!

– Robię napis. Widzisz? „Cmentarz Slubmerland”. Możemy zakopywać tu jakieś ptaki i żuki w pudełkach od zapalek i w szmatkach. Idę poszukać motyli.

– Nie, Dippy!

– Tak będzie fajniej. Może znajdę zdechłego kota...

– Dippy, bierz łopate! Proszą cię!

– Eee – powiedział Dippy – jestem zmęczony. Chyba pójdę do domu się przespać.

– Nie możesz tego zrobić.

– Kto ci tak powiedział?

– Dippy, posłuchaj.

– Co takiego? Dippy kopnął łopate. Szepnęłam mu do ucha:

– Tu naprawdę zakopana jest kobieta.

– Skąd jesteś taka pewna? – zapytał. – Tylko tak mówisz, Małgośka.

– Ty też mi nie wierzysz?

– Powiedz mi, jak robisz z tym głosem, to będę kopał dalej.

– Ależ nie mogę ci tego powiedzieć, bo to nie ja tak robię. Patrz, Dippy, ja stanę tu, a ty będziesz słuchał tam.

Kobieta znowu krzyknęła.

– Ojej! Tu naprawdę jest kobieta!

– Właśnie próbowałam cię o tym przekonać.

– Kopmy! – ożywił się Dippy. Kopaliśmy dwadzieścia minut.

– Ciekaw jestem, kto to może być?

– Nie wiem.

– Może to pani Nelson albo Turner, a może Bradley? Ciekaw jestem, czy jest ładna i jakiego koloru ma włosy. Ile może mieć lat? Trzydzieści? A może dziewięćdziesiąt lub sześćdziesiąt?

– Kop! – powiedziałam.

Góra wykopanej ziemi rosła coraz wyżej.

– Ciekaw jestem, czy da nam nagrodę za odkopanie.

– Na pewno.

– Jak myślisz, dwadzieścia pięć centów?

– Więcej. Założę się, że dolara.

W czasie kopania Dippy wspominał:

– Czytałem kiedyś książkę o magii. Był taki Hindus bez ubrania, który wczółgał się do grobu i spał tam sześćdziesiąt dni, nic nie jedząc. Żadnych słodczy, gumy do żucia czy cukierków, bez powietrza, przez sześćdziesiąt dni. – Nagle zrzędnęła mu

mina. – A co będzie, jak tu jest zakopane tylko jakieś radio, a my tak ciężko pracujemy? – spytał.

– Radio jest fajowe. Będzie nasze.

I właśnie wtedy padł na nas jakiś cień.

– Hej, smyki, co tu robicie? Odwróciliśmy się. To był pan Kelly, właściciel pustego placu.

– O, dzień dobry, panie Kelly!

– Powiem wam, co zrobicie. Weźmiecie łopaty i wsypiecie tę ziemię z powrotem do dołu, który wykopaliście. Zrozumiano?!

Znów serce zaczęło mi walić. Sama chciałam krzyknąć.

– Ale, panie Kelly, tam jest kobieta, która krzyczy, i...

– To mnie nie interesuje. Nic nie słyszę.

– Proszę posłuchać! – zawołałam. Krzyk.

Pan Kelly posłuchał i pokręcił głową.

– Nic nie słyszę. No, zasypywać i jazda do domu, zanim dam wam po kopniaku.

Zasypywaliśmy dół z powrotem. I przez cały czas pan Kelly stał z założonymi rękami, a kobieta krzyczała, ale on udawał, że tego nie słyszy.

Kiedy skończyliśmy, pan Kelly tupnął i powiedział:

– Teraz do domu. I jak was tu jeszcze raz złapię...

– To on – szepnęłam Dippy'emu do ucha.

– Hm?

– On zamordował panią Kelly. Najpierw ją udusił, a potem zakopał tu w skrzyni, ale ona odzyskała przytomność. Dlatego stał tutaj i ona krzyczała, a on w ogóle nie zwracał uwagi.

– Noo – rzekł Dippy – racja. Nakłamał nam.

– Tylko jedno można zrobić – powiedziałam. – Trzeba wezwać policję, żeby przyjechała aresztować pana Kelly'ego.

Pobiegliśmy do telefonu w sklepie na rogu.

Pięć minut później policjanci zapukali do drzwi pana Kelly'ego. Schowałam się z Dippym w krzakach i podsłuchiwalismy.

– Pan Kelly? – zapytał jeden z policjantów.

– Tak. Czym mogę służyć?

– Czy żona jest w domu?, – Tak, proszę pana.

– Moglibyśmy się z nią zobaczyć?

– Oczywiście. Anno!

Pani Kelly podeszła do drzwi i wyjrzała.

– Słucham pana?.

– Proszę mi wybaczyć – przepraszał policjant. – Otrzymaliśmy informacje, że



zakopano panią na jakimś pustym placu. Wyglądało na to, że dzwoniło dziecko, ale musieliśmy się upewnić, Przepraszam za kłopot.

– To te przekłete bachory! – zawołał z wściekłością pan Kelly. – Jak tylko je dopadnę, powyrywam im ręce i nogi!

– Pyskamy! – powiedział Dippy i oboje uciekliśmy.

!– Co teraz zrobimy? – spytałam.

– Ja muszę iść do domu – rzekł Dippy. – Wpadliśmy. Oberwiemy za to.

– A co z tą kobietą?

– Czort z nią – powiedział Dippy – nie możemy się tam nawet zbliżyć do tego pustego placu. Stary Kelly będzie czekał z pasem do ostrzenia brzytwy i spierze nas na kwaśne jabłko. – Małgośka, coś mi się przypomniało. Czy stary Kelly nie jest przypadkiem głuchy albo nie dosłyszy?

– O Boże! Nic dziwnego, że nie słyszał krzyków.

– Cześć! Na pewno będziemy mieli kłopot przez to twoje brzuchomówstwo. Zajrzę do ciebie.

Zostałam sama, samiuteńka na świecie. Nikt mi nie chciał pomóc i nikt mi nie chciał wierzyć. Po prostu zapragnęłam wczłogać się do skrzyni razem z tą kobietą i umrzeć. Teraz szukała mnie policja, bo ich okłamałam, ale ja nie wiedziałam, że to było kłamstwo, a i tato pewnie też mnie szukał albo zaraz zacznie, jak tylko zobaczy, że moje łóżko jest puste. Mogłam zrobić tylko jedno i – zrobiłam.

Chodziłam od domu do domu wzdłuż całej ulicy w pobliżu pustego placu. Naciskałam każdy dzwonek, a kiedy drzwi się otwierały, mówiłam: „Bardzo przepraszam, pani Griswold, ale czy nikt u państwa nie zginął”? Albo: „Dzień dobry, pani Pikes! Ślicznie dziś pani wygląda. Cieszę się, że jest pani w domu”. I jak widziałam, że pani domu jest obecna, grzecznie rozmawiałam przez chwile i szłam dalej.

Mijały godziny. Zaczęło się robić późno. Ciągle myślałam o tym, jak niewiele powietrza zostało w skrzyni z tą kobietą, i że jeśli się nie będę śpieszyć, to ona się udusi. Muszę się śpieszyć! Więc dzwoniłam i pukałam do drzwi, a później, gdy już prawie zrezygnowałam i omal nie poszłam do domu, zapukałam do ostatnich drzwi, do drzwi Charliego Nesbitta, który mieszka obok nas. Pukałam i stukałam.

Zamiast pani Nesbitt albo Heleny, jak nazywa ją mój ojciec, wyobraźcie sobie, do drzwi podszedł pan Nesbitt, czyli Charlie, sam.

– A, to ty, Małgosiu – powiedział. – Tak, dzień dobry!

– Czego sobie życzysz, dziecko?

– Mmm, chciałabym zobaczyć się z pana żona.

– Ach, tak.

– Mogę?

– Ale ona poszła do sklepu.  
– To ja zaczekam – powiedziałam i wśliznęłam się za nim.  
Usiadłam na krześle.  
– Ale dziś gorąco – stwierdziłam, próbując zachować spokój i myśląc o pustyni placu, o tym, że coraz mniej powietrza w skrzyni, że krzyki są coraz słabsze.  
– Słuchaj, dziecko – powiedzie.; Charlie podchodząc do mnie. – Nie ma sensu czekać.  
– Dlaczego nie?  
– Bo... moja żona nie wróci.  
– Słucham!?  
– To znaczy nie dziś. Jak powiedziałem, poszła do sklepu, ale... ale stamtąd pójdzie odwiedzić swoją matkę. Taak. Odwiedzi swoją matkę w Schenectady. Wróci za dwa-trzy dni, a może dopiero za tydzień.  
– To kłopot – powiedziałam.  
– Dlaczego?  
– Chciałam jej coś powiedzieć.  
– Co?  
– Po prostu chciałam jej powiedzieć, że jakaś kobieta jest zakopana na pustyni placu i że krzyczy przywalona tonami śmieci.  
Pan Nesbitt upuścił papierosa.  
– Upadł panu papieros, panie Nesbitt – pokazałam czubkiem buta.  
– Naprawdę? Ach, tak. Rzeczywiście – wymamrotał. – No cóż, opowiem Helenie tę twoją historyjkę, kiedy wróci. Ucieszy się.  
– Dziękuję. Ale to jest prawdziwa kobieta.  
– Skąd wiesz?”  
– Słyszałam ją.  
– Ale skąd wiesz, czy to nie jest, no, na przykład, korzeń mandragory.  
– A co to takiego?  
– Wiesz... mandragora... to taka roślina, moje dziecko, co krzyczy. Kiedyś o tym czytałem. Skąd wiesz, czy to nie jest mandragora?  
– Nigdy o tym nie pomyślałam.  
– Najwyższy czas zacząć myśleć – powiedział zapalając następnego papierosa. Starął się być obojętny.  
– Słuchaj, moje dziecko, czy... mówiłaś o tym komu?  
– Pewnie! Powiedziałam wielu ludziom. Pan Nesbitt sparzył się w rękę zapałką.  
– Czy ktoś coś robi w tej sprawie? – spytał.  
– Nie – odpowiedziałam – nie chcą mi wierzyć.  
Uśmiechnął się.

– Oczywiście. Naturalnie. Jesteś tylko dzieckiem. Dlaczego miałby cię słuchać?

– Ja tani wracam i odkopię ją łopata – powiedziałam.

– Zaczekaj.

– Musze iść.

– Zostań – upierał się.

– Dziękuję, ale nie – powiedziałam zdenerwowana.

Wziął mnie za ramię.

– Umiesz grać w karty, dziecko? W Czarnego Piotrusia?

– Tak, proszę pana. Wyjął z biurka talię kart.

– Zagramy sobie partyjkę.

– Ja muszę iść kopać.

– Masz na to dużo czasu – powiedział spokojnie. – A może moja żona wróci?

Tak. Z pewnością. Zaczekaj na nią.

– Sądzi pan, że wróci? – Na pewno, dziecko. A z tym głosem... czy jest bardzo silny?

– Robi się coraz słabszy.

Pan Nesbitt westchnął i uśmiechnął się.

– Ach, te twoje dziecinne zabawy. No, a teraz zagramy w Czarnego Piotrusia. To zabawniejsze niż ta krzycząca kobieta.

– Muszę iść. Jest późno.

– Zostań, nie masz nic do roboty.

Wiedziała, co chciał zrobić. Próbował zatrzymać mnie w domu, aż krzyk ucichnie zupełnie. Próbował powstrzymać mnie, żebym nie mogła jej pomóc.

– Żona wróci za dziesięć minut – powiedział. – To pewne. Za dziesięć minut.

Zaczekaj. Siadaj.

Graliśmy w karty. Zegar tykał. Słońce schodziło po niebie. Robiło się coraz później. W myśli słyszałam słabnący krzyk.

– Muszę iść – powiedziałam.

– Jeszcze partyjkę – zaproponował pan Nesbitt. – Poczekaj jeszcze godzinę, dziecko. Moja żona wróci. Zaczekaj.

Po upływie następnej godziny spojrzął na zegarek.

– No cóż, moje dziecko. Sądzę, że możesz już iść.

A ja wiedziałam, jaki miał plan. Wymknie się po kryjomu w środku nocy, odkopie jeszcze żywą żonę, przeniesie ją w inne miejsce i zakopie na dobre.

– Do widzenia, moje dziecko, do widzenia.

Wypuścił mnie, bo uważał, że w tyra czasie powietrze musiało się już całkiem wyczerpać.

Drzwi zamknęły się za mną.

Wróciłam w pobliże pustego placu i schowałam się w krzakach. Co tu robić? Powiedzieć starym? Ale oni mi nie uwierzyli. Naślać policję na pana Charliego Nesbitta? Ale on powiedział, że jego żona poszła z wizytą. Nikt mi nie uwierzy!

Obserwowałam dom pana Kelly'ego. Nie zauważyłam go nigdzie w pobliżu. Pobiełam na miejsce, skąd dochodził krzyk, i po prostu stanęłam. Krzyk usiał. Było tak spokojnie, aż pomyślałam sobie, że już nigdy więcej go nie usłyszę. Skończyło się. Sądziłam, że przyszłam za późno.

Schyliłam się i przyłożyłam ucho do ziemi.

I wtedy z dołu, z głębi, usłyszałam głos, a był tak cichy, że go ledwo słyszałam.

Kobieta już nie krzyczała. Ona śpiewała. Coś jakby „Naprawdę cię kochałam, kochałam cię bardzo”. To była smutna piosenka. Bardzo cicha i przerywana. Przez te wszystkie godziny spędzone w skrzyni pod ziemią musiała chyba zwariować. Wystarczyłoby jej tylko trochę powietrza i jedzenia, a poczułaby się dobrze. Ale ona po prostu śpiewała, bo było jej wszystko jedno, tylko śpiewała.

Wysłuchałam piosenki do końca. Wówczas odwróciłam się, bez namysłu przeszłam przez plac, wbiegłam na schodki mojego domu i otworzyłam frontowe drzwi.

– Tato – powiedziałam.

– Wreszcie się zjawiłaś! – krzyknął.

– Tato – powtórzyłam.

– Dostaniesz rżnięcie!

– Ona już nie krzyczy.

– Nie wspominaj mi o niej!

– Ona teraz śpiewa! – wrzasnęłam.

– Kłamiesz!!!

– Tato, ona tam jest i zaraz umrze, jeśli mnie nie wysłuchasz. Ona śpiewa, o tak.

– Zanuciłam melodię i zaśpiewałam: – „Naprawdę cię kochałam, kochałam cię bardzo” ...

Tato zbladł. Podeszedł do mnie i potrząsnął za ramie.

– Coś powiedziała!? Zaśpiewałam jeszcze raz:

– „Naprawdę cię kochałam, kochałam cię bardzo”.

– Gdzie słyszałaś tę piosenkę!? – wrzasnął.

– Tam, na pustym placu. Przed chwilą. – Ależ to jest piosenka Heleny! Ta, którą przed laty dla mnie napisała! – wykrzyknął tato. – Nie możesz jej znać. Nikt jej nie znał poza mną i Heleną. Nigdy nikomu jej nie śpiewałem, ani tobie, ani komukolwiek.

– Pewnie.

– O mój Boże! – wrzasnął tato i wybiegł po łopatę.

Jak go widziałam po raz ostatni, był na pustym placu i kopał zawzięcie, a z nim kopało mnóstwo ludzi.

Poczułam się tak szczęśliwa, że chciało mi się płakać.

Nakręciłam numer telefonu Dippy'ego, a gdy podniósł słuchawkę, powiedziałam:

– Cześć, Dippy! Jest fajowo. Wszystko pięknie wyszło. Ta kobieta już więcej nie będzie krzyczała.

– Bomba!

– Za dwie minuty, z łopatomy, spotykamy się na placu.

– Kto ostatni, ten wariat! Cześć! – krzyknął Dippy.

– Tymczasem, Dippy! – powiedziałam i pobiegłam.

*Przełożył Marek Cegiela*

## UŚMIECH

Kolejka na rynku ustawiła się o piątej rano; w oszronionej dali piały koguty i nigdzie nie płonęły jeszcze ognie. Z początku wszędzie wśród ruin budynków zalegały strzępy mgły, lecz teraz, o godzinie siódmej, światło poranka zaczynało ją rozpraszać. Drogą ciągnęli parami i po troje ludzie, wszyscy na jarmark, na dzień świąteczny.

Chłopiec stanął tuż za dwoma mężczyznami, którzy głośno rozmawiali. W krystalicznym powietrzu każde ich słowo wydawało się na zimnie dwa razy głośniejsze. Przesępował z nogi na nogę i chuchał w zaczerwienione, spierzchnięte dłonie, popatrywał do góry na ich utyłane ziemią odzienie z worków jutowych, a następnie przenosił spojrzenie na długi szereg kobiet i mężczyzn przed nimi.

– A ty, smarkaczu, co robisz poza domem o tej porze? – odezwał się męski głos za jego plecami.

– Stoję w kolejce – odparł chłopak.

– Zjeżdżaj stąd lepiej, ustąp temu, kto wie, o co chodzi.

– Zostaw go w spokoju – powiedział stojący przed nim mężczyzna odwracając się nagle.

– Ja tylko żartowałem. – Człowiek stojący za chłopcem położył mu dłoń na głowie. Chłopak stracił jego rękę z niechęcią.

– Po prostu wydawało mi się dziwne, że dzieciak wstał tak wcześnie.

– On jest znawcą sztuki, już ja ci to mówię – powiedział obrońca chłopca, człowiek nazwiskiem Grigsby. – Jak ci na imię, kolego?

– Tom.

– Nasz Tom będzie pluł szczerze i prawdziwie, prawda, Tom?

– Jasne, że będę!

Śmiech przeleciał wzdłuż kolejki. W przodzie jakiś człowiek sprzedawał gorącą kawę w wyszczerbionych kubkach. Toni wyteżył wzrok i zauważył mały, żywy ogieniek i napar bulgocący w zardzewiałym garnku. Kawa nie była prawdziwa. Robiono ją z jakiejś jagody rosnącej na łąkach za miastem i za centa można było wlać kubek gorącego płynu do żołądka, lecz nie miała wielu amatorów, bogatych tu nie było. Tom patrzył przed siebie sięgając wzrokiem miejsca, gdzie kolejka kryła się za zbombardowanym kamiennym murem.

– Podobno ona się uśmiecha – powiedział.

– Nic innego nie robi – odparł Grigsby.

– Podobno zrobiono ją z farb i płótna.

– Zgadza się. I dlatego twierdzę, że to nie oryginał. Co do oryginału, słyszałem, że namalowany został na desce bardzo dawno temu.

– Podobno liczy cztery stulecia.

– Może nawet więcej. Nikt nie wie na pewno, który mamy rok.

-

– Tak mówią, chłopcze, tak mówią. Kłamcy. Równie dobrze może być 3000 jak i 5000, z tego co wiemy. Przez pewien czas panował tu przeraźliwy bałagan. Zostały nam same strzępy i okruchy.

Posuwali się noga za nogą po zimnych kamieniach ulicy.

– Długo to jeszcze potrwa, zanim ją zobaczymy? – zapytał Tom z niepokojem.

– Jeszcze tylko parę minut. Obstawili ją czterema mosiężnymi słupami połączonymi aksamitną liną, żeby nie dopuścić ludzi. Tylko pamiętaj, Tom, żadnych kamieni, nie zezwolili na rzucanie kamieniami.

– Tak, proszę pana.

Słońce wspięło się wyżej na niebie rażąc ich ciepłem, pod wpływem którego ludzie zrzucali brudne płaszcze i wyszmelcowane kapelusze.

– Dlaczego my wszyscy stoimy w tej kolejce? – zapytał po dłuższym milczeniu Tom. – Dlaczego zebraliśmy się, aby pluć?

Grigsby, zamiast spojrzeć na niego, oceniał słońce.

– Widzisz, Tom, jest wiele powodów.

Odruchowo sięgnął po nie istniejącego papierosa do kieszeni, której dawno nie miał. Tom widział ten gest tysiące razy.

– To musi mieć coś wspólnego z nienawiścią. Nienawiścią do wszystkiego, co było. Pytam cię, Tom, jak do tego doszło, że miasta to kupa gruzu, drogi od bombardowań przypominają porozsypywane łamigłówki, a połowa pól kukurydzianych świeci nocą radioaktywnym blaskiem? Czy to nie koszmarny bigos, pytam cię, chłopcze.

– Tak, proszę pana, myślę, że tak.

– Tak, Tom. Nienawidzisz tego, co cię zniszczyło, zrujnowało, obojętne, co to było. Taka jest ludzka natura. Bezmyślna, być może, jednak mimo wszystko ludzka.

– Nie ma chyba osoby lub rzeczy, której nie darzylibyśmy nienawiścią.

– Zgadza się! Całej cholernej zgrai tych wszystkich ludzi, którzy w przeszłości rządzą światem. Tak więc jesteśmy tu w czwartek rano, z żołądkami przylepionymi do krzyża, zziębnięci, żyjemy w norach lub nie lepiej, nie palimy, nie pijemy i nic nam nie zostało do roboty prócz fetowania naszych świąt.

Tom wspomniawszy więc święta z ostatnich paru lat. Na przykład rok, w którym podarli wszystkie książki i spalili je na placu, i wszyscy byli pijani i weseli. Albo święto nauki, miesiąc temu: przywlekli ostatni samochód i ciągnęli losy, a każdy szczęśliwiec miał prawo do jednego uderzenia wał młotem.

– Czy pamiętam, Tom? Czy ja to pamiętam? Ależ mnie przecież dostała się

przednia szyba do rozwalenia, szyba, rozumiesz! Boże, co to był za cudowny brzęk! Łubudu!

Tom usłyszał niemal, jak szkło rozpryskuje się na błyszczące kawałki.

– A Bili Henderson, jemu przypadło rozwalenie silnika. Zrobił to zresztą na medal, piękna robota. Łup! Ale najlepsze było – wspominał Grigsby – rozwalenie fabryki, która nadal próbowała produkować samoloty. Boże, ale mieliśmy frajdę, gdyśmy ją wysadzali w powietrze! – ciągnął. – A potem znów odkryliśmy drukarnię gazet i magazyn pocisków i zrobiliśmy z tego jeden wielki fajerwerk. Rozumiesz, Tom?

Tom zastanowił się.

– Chyba tak.

Było już południe. Teraz zrujnowane miasto cuchnęło w upale i różne świństwa pełzały w gruzach.

– Czy to już nigdy nie powróci, proszę pana?

– Co, cywilizacja? Nikt jej nie chce. Ja w każdym, razie nie!

– A ja bym chętnie to i owo z niej zachował – wtrącił ktoś z tyłu kolejki. – Miała w sobie parę znamion piękna.

– Nie przejmujcie się – zawołał Grigsby. – I na to już nie ma miejsca.

– Może – powiedział ten sam mężczyzna. – Ale pewnego dnia pojawi się ktoś z wyobraźnią i doprowadzi to wszystko do porządku. Zapamiętajcie moje słowa. Ktoś z sercem.

– Nie – zaprzeczył Grigsby.

– A. właśnie, że tak. Ktoś wrażliwy na piękno. Może przywróci nam coś w rodzaju cywilizacji ograniczonej, takiej, w której moglibyśmy spokojnie żyć.

– Zanim się obejrzysz, będzie wojna.

– Ale może następnym razem byłoby inaczej.

Wreszcie znaleźli się na rynku. Jeździec na kordzie kierował się ku miastu. W dłoni trzymał kawałek papieru. Środek placu odgrodzono lina. Tom, Grigsby i pozostali zbierając ślinę posuwali się do przodu, posuwali się zwarci i gotowi, z szeroko otwartymi oczyma. Tom czuł mocne, podniecone bicie serca, a pod stopami gorącą ziemię.

– Nasza kolej, Tom, lecimy!

W rogach olinowanej przestrzeni sterczało czterech policjantów, czterech mężczyzn z opaskami z żółtego sznurka na nadgarstkach dla podkreślenia swej wyższości nad tłumem. Mieli zapobiec rzucaniu kamieniami.

– W ten sposób – powiedział w ostatniej chwili Grigsby – każdy czuje, że ma okazję porachować się z nią, rozumiesz, Tom? No, teraz ty!

Tom stał przed obrazem i wpatrywał się w niego przez długą chwilę.



– Tom, pluj!

W ustach czuł suchość.

– Posuń się, Tom! Rusz się!

– Ależ – powoli powiedział Tom – ona jest piękna!

– Masz, plunę na twój rachunek! – Grigsby splunął i pocisk poleciał w słońcu.

Kobieta z portretu uśmiechała się pogodnie, tajemniczo do Toma, a on, z bijącym sercem, odwzajemniał się spojrzeniem, słysząc jakby muzykę w uszach.

– Ona jest piękna – powiedział.

– Przesuń się, zanim policja...

– Uwaga.

Kolejka zamilkła. Przed chwilą obrzucali Toma wyzwiskami za marudzenie, teraz wszyscy obrócili się do człowieka na koniu.

– Jak to się nazywa, sir? – zapytał Tom po cichu.

– Obraz? Chyba Mona Liza, Tom. Tak, Mona Liza.

– Mam zarządzenie – powiedział jeździec. – Władze postanowiły, że dziś, w samo południe, portret zostanie przekazany w ręce ludności zebranej na placu, aby mogła wziąć udział w niszczeniu...

Tom nie zdążył krzyknąć – porwał go tłum, ludzie wyjąc i okładając się pięściami runęli na portret. Chłopiec usłyszał ostry trzask dartego materiału. Policjanci ratowali się ucieczką. Tłum wrzeszczał na całe gardło, dłonie jak chmary wygłodniałych ptaków rozszarpały obraz. Tom czuł, że go niemal przepychają przez rozdarte płótno. Ślepo naśladując innych wyciągnął rękę, chwycił strzep olejnego malowidła, szarpnął, poczuł, jak tkanina puszcza, potem przewrócił się, dostał kopniaka i wyturlał z tłumu. Pokrwawiony, w podartym ubraniu, patrzył, jak staruchy żują skrawki płótna, jak mężczyźni rozwalają ramy, kopią zmasakrowany obraz i rwą go na strzepy. Jedyne on stał na uboczu, nieruchomy wśród kłębiących się tłumów. Zerknął na swoją dłoń. Przyciskała bezpiecznie skrawek płótna do piersi.

– Hej, Tom! – zawołał Grigsby. Chłopak płacząc uciekł bez słowa. Wybiegł i pędził podziurawioną lejami drogą, w pole, przez płytki strumień, nie oglądając się za siebie, nie zwalniając uścisku dłoni wsuniętej za pazuchę. O zachodzie słońca dotarł do małej wioski; szedł dalej. Około godziny dziesiątej przybył do zniszczonego gospodarstwa. Za budynkiem, w połówce spichrza przykrytej plandeką, która jeszcze trzymała się jako tako, usłyszał oddechy swojej śpiącej rodziny – matki, ojca i brata. Wśliznął się szybko, bezszelestnie, przez wąskie wejście i ułożył dysząc ciężko.

– Tom? – zawołała matka z ciemności.

– Tak.

– Gdzie się włóczyłeś? – warknął ojciec. – Rano cię spiorą. – Ktoś go kopnął. Był to brat, któremu pozostał do obrobienia cały ich wąski zagon ziemi.

– Spijcie – wymamrotała matka. Drugi kopniak. Tom powoli odzyskiwał oddech. Cisza wokoło. Dłoń zaciśnięta w pięść kurczowo, z całej siły. Leżał tak z pół godziny z zamkniętymi oczyma. Wtedy poczuł coś – zimne, blade światło. Księżyc wzeszedł bardzo wysoko i maleńki prostokąt światła przesunął się w spichrzu pełnząc wolno po ciele Toma. Dopiero wtedy chłopak rozluźnił palce. Powoli, ostrożnie, wsłuchując się w odgłosy śpiących, Tom wyciągnął rękę. Zawahał się wstrzymując oddech, po czym odczekawszy chwilę otworzył pięść i rozprostował maleńki kawałek zamalowanego płótna. Cały świat spał w blasku księżyca. I oto na jego dłoni zajaśniał uśmiech. Tom wpatrywał się weń w białej iluminacji nocnego nieba. I powtarzał w myśli: „uśmiech, cudowny uśmiech”. Widział go jeszcze w godzinę później, jeszcze po tym, jak troskliwie złożył i ukrył kawałek płótna. Oczy miał zamknięte, a uśmiech był ciągle, w ciemności. I trwał jeszcze, ciepły i łagodny, gdy Tom zapadł w sen i świat milczał, a księżyc żeglował po zimnym niebie w górę, a potem w dół ku świtowi.

*Przełożył Marek Marszał*

## CIEMNOSKÓRZY, BYLI I ŻŁOTOOCY

Metalowe ściany rakiety stygły szybko w podmuchach wiatru. Pokrywa uniosła się z charakterystycznym, przypominającym wystrzał korka, dźwiękiem i z zegarowego wnętrza wyszedł mężczyzna, a za nim kobieta i troje dzieci. Reszta pasażerów, szepcząc między sobą, oddaliła się i wtopiła w bezkresne łąki, pozostawiając mężczyznę samego z rodziną.

Czuł, że mu włosy targa wichura, a każde włókno ciała tężeje, jakby się znalazł w samym środku próżni; że stojąca tuż obok żona znika mu z oczu, spowita jak gdyby w obłok dymu. Dzieci, małe nasionka, mógł w każdej chwili porwać wiatr i rozsiać po rozległych, marsjańskich dziedzinach. Spoglądały mu w twarz jak ktoś, kto patrzy w słońce, by z niego wyczytać, jaka to pora jego życia. Mężczyzna był opanowany.

– Co się stało? – spytała żona.

– Wracamy do rakiety!

– Z powrotem na Ziemię?

– Tak. Posłuchaj!

Wicher szalał potężny; lada moment wywieje z nich wszystko, wysie dusze jak szpik z kości. Mężczyzna czuł się, jakby go zanurzono w chemikaliach, zdolnych rozpuścić jego mózg i spalić całą przeszłość.

Rozejrzeli się po wzgórzach, na których znać było niszczące działanie czasu. Popatrzyli po starożytnych miastach, które zagubione w bezmiarze wietrznych błoni, spoczywały, wśród wzburzonych oceanów trawy niby kruche dziecinne kości.

– Głowa do góry, Harry – powiedziała żona. – Już za późno. Przebyliśmy ponad sześćdziesiąt milionów lat.

Pszennowłose dzieci pokrzykiwały pod wysokim sklepieniem marsjańskiego nieba, ale jedyną odpowiedzią był im świst wiatru uginającego sztywne trawy.

Mężczyzna ujął bagaż w zgrabiałe ręce.

– No to idziemy – odparł jak człowiek stojący na skraju morskiej głębinie, gotów w nią wstąpić i – utonąć. Weszli do miasta.

Nazywali się Bitteringowie. Harry z żoną Corą i dziećmi: Danem, Laurą i Dawidem.

Zbudowali sobie mały biały domek i zjedli dobre śniadanie, ale strach nie opuścił ich ani na chwilę. Leżał pomiędzy małżonkami niepożądany jak ten trzeci – świadek nocnych rozmów, porannych przebudzeń.

– Czuję się jak kryształ soli omywany nurtem górskiego strumienia – powiedział mężczyzna. – Tu nie jest nasze miejsce. My należymy do Ziemi. A to jest Mars. Dobry dla Marsjan. Cora, na miłość boską, kupujmy bilety i wracajmy wreszcie do domu!

Ale ona tylko potrzasała głową.

– Zobacysz, przyjdzie dzień, w którym bomba atomowa załatwi Ziemię. A my wtedy będziemy tu bezpieczni.

– Bezpieczni, ale umyślowo chorzy! „Siódma godzina, dzień się zaczyna” – zaśpiewał budzik. Wstali.

Nie wiadomo dlaczego co rano Bittering sprawdzał, czy wszystko jest w porządku – i kominek, i czerwone geranium w doniczkach – jakby się spodziewał, że coś musi nawalić. Nadeszła prasa prosto z rakiety ziemskiej, tej o szóstej rano. Złamał pieczęć i siadając do śniadania rozłożył gazetę; silił się na wesołość.

– Wracają czasy kolonizacji – oświadczył. – Za dziesięć lat na Marsie będzie milion Ziemiaków. Wielkie miasta i wszystko, co trzeba. A mówili, że nic z tego nie wyjdzie. Że Marsjanie będą wściekli z powodu naszej inwazji. Ale czy tu w ogóle są jacyś Marsjanie? Żywego ducha. Znaleźliśmy tylko wyludnione miasta, bez żadnych mieszkańców. No, czy nie mam racji?

W dom uderzyła fala wiatru. Kiedy okna przestały brzęczeć, Bittering przełknął i spojrzał na dzieci.

– Ja tam nie wiem – odparł Dawid. – A może Marsjanie są wszędzie dokoła nas, tylko ich nie widzimy. Czasem w nocy wydaje mi się, że ich słyszę. Słyszę wiatr. Ciska piachem w okna. Boję się. I widzę te miasta wysoko w górach, gdzie dawno temu było życie; wydaje mi się, tato, że tam jest jakiś ruch, zastanawiam się, czy Marsjanom to nie przeszkadza, że my tu jesteśmy. Czy oni nam za to nie zrobią czegoś złego.

– Bzdura! – odparł Bittering wyglądając przez okno. – Jesteśmy czystymi, przyzwoitymi ludźmi. – Popatrzył na swoje dzieci. – Każde wymarłe miasto ma jakieś duchy. To znaczy wspomnienia. – Spojrzał na wzgórze. – Widzisz schody i zastanawiasz się, jak wyglądali Marsjanie, którzy po nich wchodzili. Podziwiasz ich obrazy i próbujesz dociec, jacy byli marsjańscy malarze. W twojej wyobraźni powstaje jakiś duch, wspomnienie. To zupełnie naturalne. Wyobraźnia... – przerwał. – Mam nadzieję, że nie myszkowałeś po tych ruinach, co?

– Nie, tato – Dawid spuścił oczy przyglądając się swoim butom.

– Bardzo cię proszę, żebyś się trzymał od nich z daleka. Podaj mi dżem.

– Ale zobaczycie – odparł mały – że coś się stanie.

I stało się. Jeszcze tego popołudnia. Nadbiegła zapłakana Laura i półprzytomna wpadła na ganek.

– Mamo, tato! Wojna... na Ziemi! – wyszlochała. – Podali właśnie przez radio. Spuścili bomby atomowe na Nowy Jork. Wszystkie rakiety kosmiczne zostały zniszczone. Już nigdy nie będzie żadnej rakiety na Marsa, nigdy!

– Och, Harry! – Matka przytuliła się do męża i córki.

– Czy jesteś tego pewna, Lauro? – zapytał ojciec spokojnie.

Laura nie przestawała płakać.

– Jesteśmy uwięzieni na Marsie do końca życia!

Przez dłuższy czas słychać było jedynie wycie wieczornego wiatru.

Samotni, pomyślał Bittering. Jest nas tutaj zaledwie tysiąc. I żadnej drogi odwrotu. Żadnej. Absolutnie. Pot zrosił mu twarz, ręce, całe ciało; dusiło go uczucie strachu. Miał ochotę uderzyć Laurę i krzyknąć: „To nieprawda, kłamiesz! Rakiety przylecą”. Zamiast tego jednak przygarnął do siebie czule głowę córki i powiedział:

– Zobaczysz, kiedyś na pewno rakiety ziemskie do nas dotrą.

– Tatusiu, co my teraz będziemy robili?

– Oczywiście to, co do nas należy: będziemy uprawiali rośliny i wychowywali dzieci. Musimy czekać i robić swoje, dopóki wojna się nie skończy i nie wrócą rakiety.

Na ganek weszli chłopcy.

– Dzieci – powiedział Bittering patrząc gdzieś daleko, poza nich. – Muszę wam coś powiedzieć.

– My wiemy – odparli.

W ciągu najbliższych dni Bittering często snuł się po ogrodzie, chciał być sam na sam ze swoim strachem. Dopóki przestrzeń kosmiczną oplatała srebrzysta sieć raketowych szlaków, był w stanie zaakceptować Marsa. Bo mógł sobie zawsze powiedzieć: Jutro kupuję bilet i wracamy na Ziemię.

A teraz – nie ma już żadnej sieci: rakiety leżą zamienione w sterty złomu, stopionego żelastwa i poskręcanych drutów. Ziemianie zostali rzućeni na pastwę obcego Marsa, jego cynamonowych pyłów i winnego powietrza – żeby się upiekli jak pierniki w letnim marsjańskim słońcu, stanowiąc zapasy na marsjańską zimę. Co stanie się z nimi, z innymi? To moment, na który Mars tylko czekał. I teraz ich pożre.

Bittering padł na kolana na grządce, z łopata w rozdygotanych rękach. Pracuj, pomyślał, pracuj i zapomnij.

Z ogrodu spojrział w stronę gór. Pomyślał o dumnych marsjańskich nazwach, które kiedyś nosiły te szczyty. Ziemianie spadając, tu z nieba, traktowali wzgórze, rzeki i siedziby mieszkańców jako bezimienne, choć kiedyś przecież miały nazwy. Marsjanie nazywali miasta, które wznosili, szczyty, które zdobywali, i morza, po których żeglowali. Góry zmalowały z czasem, morza powysychały, miasta legły w gruzach. A mimo to Ziemianie z cichym poczuciem winy nadawali tym starożytnym wzgórzom i dolinom nowe nazwy.

Ale cóż, człowiek żyje symbolami i etykietkami – nazwy zostały więc nadane.

Bittering poczuł się bardzo samotny w, swym ogrodzie pod marsjańskim słońcem – zgięty w pół sadził ziemskie kwiatki na obcym ugorze, stanowiąc dziwny

anachronizm.

Myśl. Nie przestawaj myśleć. O różnych rzeczach. Ale daj sobie spokój z Ziemią, wojną, atomową, zniszczonymi raketami.

Poczuł, że jest cały mokry. Rozejrzał się dokoła. Nikt go nie obserwuje. Zdjął krawat. Nieźle sobie poczynam – pomyślał. Najpierw marynarka, a teraz krawat. Powiesił go starannie na drzewie brzoskwiniowym, którego sadzonkę sprowadził z Massachusetts.

Powrócił do swoich rozmyślań na temat nazw i gór. Ziemianie pozmieniali nazwy. Teraz mamy na Marsie Dolinę Hormela, Morze Roosevelta, Płaskowyż Vanderbilta, Rzekę Rockefellera. To nie jest w porządku. Kolonizatorzy Ameryki byli mądrzejsi, zachowali stare indiańskie nazwy, jak: Wisconsin, Minnesota, Idaho, Ohio, Utah, Milwaukee, Waukegan, Osseo. Stare nazwy, stare znaczenia.

Patrząc z rozterką w stronę gór, pomyślał: Czy jesteście tam, wy wszyscy zmarli Marsjanie? Macie nas, odciętych od świata! Chodźcie, wyrzućcie nas stąd! Jesteśmy bezbronni!

Lunęła ulewa brzoskwiniowego kwiecia.

Bittering wyciągnął opaloną rękę i krzyknął cicho. Dotykał kwiatów, zbierał je, obracał w dłoniach i znów dotykał. A potem zawołał żonę.

– Cora!

Podbiegł do niej, kiedy pojawiła się w oknie.

– Cora, spójrz na te kwiaty! Wzięła je do ręki.

– Widzisz? Są inne, niż były. Zmieniły się. To już nie są kwiaty brzoskwini!

– A mnie się wydaje, że nic im nie brakuje – odparła żona.

– Ależ nie, zobacz. Nie umiem powiedzieć dokładnie, o co chodzi: może to jakiś dodatkowy płatek, liść, coś w tym rodzaju, kolor, zapach!

W tym momencie wybiegły z domu dzieci i zobaczyły, jak ojciec w obłądnym pośpiechu lata po ogrodzie i wyrywa z grządek rzodkiewkę, cebulę i marchew.

– Cora, chodź, zobacz!

Oglądali cebulę, rzodkiewkę, marchew.

– Czy to wygląda jak normalna marchew?

– Tak... nie – zawahała się. – Nie, nie wiem.

– Zmieniła się.

– Może...

– Przecież wiesz, że tak. Niby cebula, ale nie cebula. Niby marchew, ale nie marchew. Spróbuj: niby to samo, ale co innego Powąchaj – i zapach jakiś dziwny. – Czuł, jak wali mu serce, bał się. Wsadził palce w ziemię. – Cora, co się dzieje? Co to znaczy? Musimy od tego uciekać. – Puścił się biegiem przez ogród, dotykając po drodze każdego drzewa. – Róże. Róże. Robią się zielone!

Stali całą rodziną patrząc na zielone róże.

A w dwa dni później przyleciał zdyszany Dań.

– Chodźcie zobaczyć krowę! Właśnie ją doilem, kiedy się to stało. Chodźcie!  
Zebrali się w szopie i patrzyli na swoją jedyną krowę, której wyrastał trzeci róg.

A trawnik przed domem bardzo spokojnie i powoli nabierał barwy wiosennych fiołków. Nasiona sprowadzone z Ziemi, a wyrasta z nich trawa jasnofioletowa.

– Musimy uciekać – oświadczył Bittering. – Jak będziemy to wszystko jedli, zmienimy się sami... Bóg raczy wiedzieć w co. Nie mogę do tego dopuścić. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko spalić całą tę marsjańską żywność.

– Przecież ona nie jest zatruta.

– Właśnie że jest. Leciutko, bardzo lekko. Odrobinę. Ledwie, ledwie. Ale nie wolno nam jej dotykać.

Popatrzył z przerażeniem na dom.

– Nawet dom. Wiatr coś z nim zrobił dziwnego. Powietrze go spaliło. Czy może nocna mgła. Wszystkie deski popaczone. To już nie jest dom Ziemianina.

– Masz wybujałą wyobraźnię. Bittering włożył marynarkę i krawat.

– Jadę do miasta. Musimy coś z tym zrobić. Niedługo wracam.

– Harry, poczekaj! – krzyknęła za nim żona.

Ale jego już nie było.

W mieście na ocienionych schodkach sklepu spożywczego siedzieli mężczyźni z założonymi rękami i gwarzyli sobie spokojnie, w swobodnym nastroju.

Bittering miał ochotę wypalić w powietrze z pistoletu.

Idioci! Co wy najlepszego robicie – pomyślał. Siedzą sobie niefrasobliwie!  
Chyba słyszeliście wiadomości: jesteśmy odcięci od świata! Ruszcie się! Nie boicie się ani trochę? Nie przeraża was to? Co zamierzacie robić?

– Jak się masz, Harry – mówili jeden po drugim.

– Chyba słyszeliście wczorajsze wiadomości, co? – zapytał.

Skinęli głowami i odparli ze śmiechem:

– Jasne, żeśmy słyszeli, jasne.

– I co zamierzacie w tej sytuacji robić?

– Robić, Harry, robić? A co możemy zrobić?

– Zbudować raketę. Oto, co możemy zrobić.

– Raketę? Żeby znów ściągnąć sobie na łeb tamte stare kłopoty? Och, Harry!

– Ale przecież na pewno chcecie wracać. Czy nie widzieliście, co się dzieje z kwiatami brzoskwini, z cebulą, z trawą?

– No, owszem, niby widzieliśmy, Harry, ale co z tego? – rzekł jeden z mężczyzn.

– I nie przeraża was to? – Niespecjalnie.

– Idioci.  
– Nie pozwalaj sobie za dużo, Harry. Bitteringowi chciało się płakać.  
– Musicie ze mną współdziałać. Jeżeli tu zostaniemy, wszyscy się pozmieniamy. Powietrze. Nie czujecie? Jest coś w powietrzu. Może to jakiś marsjański wirus, jakieś nasienie, a może zanieczyszczenie atmosfery. Ludzie!

Gapili się na niego w milczeniu.

– Sam – zwrócił się do jednego z nich.  
– Słuchani cię, Harry.  
– Pomożesz mi w budowie rakiety?  
– Harry, mam kupę metalu i nawet jakieś plany. Jeśli chcesz budować tę raketę w moim warsztacie, proszę cię bardzo. Mogę ci sprzedać ten metal za pięćset dolarów. Jak się dobrze postarasz, to pracując sam, powinieneś już za trzydzieści lat mieć całkiem niezłą raketę.

Wszyscy skwitowali to śmiechem.

– Nie śmiecie się.

Sam popatrzył na niego z dobrotliwym rozbawieniem.

– Sam – powiedział Bittering. – Twoje oczy...

– Co chcesz od moich oczu?

– Przecież ty chyba zawsze miałeś szare oczy, prawda?

– A bo ja wiem? Skąd ja mogę pamiętać?

– Ale przecież miałeś zawsze szare.

– Co się tak do tego przyczepiłeś?

– No bo teraz zrobiły się jak gdyby żółte.

– Nie żartujesz, Harry? – rzekł Sam od niechcienia.

– A poza tym jesteś wyższy i chudszy...

– Może i masz rację, Harry.

– Sam, ty nie powinieneś mieć żółtych oczu.

A ty jakiego koloru masz oczy, Harry? – zapytał Sam.

– Ja? Niebieskie oczywiście.

– Ano właśnie. – Sam wręczył mu lusterko kieszonkowe. – To sobie zobacz.

Bittering zawahał się, po czym uniósł lusterko do twarzy.

W błękitach jego oczu widać było bardzo małe, niewyraźne plamki złota.

– No i popatrz, co zrobiłeś: stłukłeś mi lusterko – powiedział w chwilę później Sam.

Harry Bittering rozpoczął w warsztacie pracę nad budową rakiety. Mężczyźni stali w otwartych drzwiach, rozmawiając i żartując po cichu. Od czasu do czasu ten i ów pomógł mu podnieść coś ciężkiego. Ale najczęściej po prostu wałkonili się i przyglądali mu żółknącymi oczyma.



- Pora na kolację, Harry – powiedzieli. Nadeszła żona z kolacją w koszyku.
- Ja tego nie tknę – oznajmił. – Będę jadł tylko to, co mamy w zamrażalniku.

Żywność z Ziemi. Nic z naszego ogrodu.

Przyglądała mu się przez chwilę w milczeniu.

- Ty nie dasz rady zbudować rakiety.

– Kiedyś, jak miałem dwadzieścia lat, pracowałem w warsztacie. Jestem otrząskany z metalem. Jak już zacząłem, inni mi na pewno pomogą – odparł patrząc na nią i rozkładając plany.

- Harry, Harry – powtarzała bezradnie.

- Musimy stąd uciekać, Cora. Musimy!

Noce były wietrzne; wiatr hulał po pustych, zalanych księżycowym blaskiem łąkach morskich, owiewał małe białe szachownice miast drzemiące od dwunastu tysięcy lat na swoich mieliznach. W osiedlu Ziemian w domu Bitteringów panowała atmosfera napięcia zwiastująca zmianę.

Leżąc w łóżku Bittering czuł, jak jego kości przesuwają się, zmieniają kształt, topią się niby złoto. Obok niego leżała żona, ciemna od wielu słonecznych popołudni. Ciemnoskóra była i złotooka, spalona niemal na czarno przez słońce, a dzieci metaliczne, śpiące, i ten wiatr, który był zapomniany, zmienny, wśród starych drzew brzoskwiniowych i fioletowej trawy, strząsając zielone płatki róż.

Nie mógł się pozbyć strachu; strach ścisnął go za gardło, panoszył się w sercu. Ściekał wilgocią z ramion, skroni, rozdygotanych rąk.

Na wschodzie pokazała się zielona gwiazda.

Z ust Bitteringa wydobyło się dziwne słowo.

– *lorrt, lorrt*, – Powtórzył je kilka razy. Było to słowo marsjańskie. A przecież nie znał tego języka.

Wstał w środku nocy i zadzwonił do Simpsona, archeologa.

– Simpson, co znaczy słowo *lorrt* – W staromarsjańskim języku oznacza ono naszą planetę, Ziemię. A co takiego?

- Nic specjalnego. Słuchawka wypadła mu z ręki.

– Halo, halo, halo, halo – powtarzała bez przerwy, a on siedział wpatrzony w zieloną gwiazdę. – Bittering? Harry, jesteś?

Dni wypełnione były zgrzytem metalu.

Wreszcie, z niechętną pomocą trzech obojętnych mężczyzn, wykonał szkielet rakiety. Po godzinie pracy z reguły czuł się zmęczony i musiał odpoczywać.

- To wysokość – zaśmiał się jeden z mężczyzn.

- Czy ty w ogóle jadasz, Harry? – zapytał drugi.

- Jadam – odparł ze złością.

- Ale tylko z zamrażalnika?, – Tak!

- Chudniesz, Harry.
- Nieprawda!
- I robisz się coraz wyższy!
- Kłamca!

W kilka dni później żona wzięła go na stronę.

– Harry, jedzenie w zamrażalniku się skończyło. Nie ma już nic. Będę musiała robić kanapki z produktów marsjańskich.

Bittering usiadł ciężko.

- Musisz jeść, Harry – powiedziała. – Jesteś coraz słabszy.
- Tak – przyznał.

Wziął od niej kanapkę, rozłożył ją, obejrzał i zaczął skubać.

– I nie pracuj już dzisiaj więcej – powiedziała. – Jest tak gorąco. Dzieci chciałyby popływać w kanałach i wybrać się na wycieczkę. Proszę cię, chodź do domu.

- Nie mogę tracić czasu. Sytuacja jest beznadziejna.
- Chociaż na godzinę – nalegała. – Dobrze ci zrobi, jak sobie popływasz.

Podniósł się, spocony.

- No już dobrze, już dobrze. Tylko daj mi spokój. Zaraz przyjdę.
- Dziękuję ci, Harry.

Słońce prażyło, dzień był bezwietrzny. Nad planetą wisiła spiekota. Szli całą rodziną wzdłuż kanału: ojciec, matka, rozdokazywane dzieciaki w kostiumach kąpielowych. Zatrzymali się, żeby zjeść kanapki z mięsem.

Widział spaloną na brąz skórę i żółte oczy swojej żony i dzieci, a przecież ich oczy nigdy nie były żółte. Wstrząsnął nim dreszcz, ale trwało to tylko moment; kiedy położył się na plaży, ogarnęła go fala rozkosznego ciepła. Był zbyt zmęczony na to, żeby odczuwać strach.

- Cora, od jak dawna twoje oczy są żółte? Była zaskoczona.
- Chyba zawsze takie miałam.
- A czy nie zmieniły ci się z piwnych w ciągu ostatnich trzech miesięcy?

Zagryzła wargi.

- Nie. A dlaczego pytasz?
- Mniejsza z tym.

Siedzieli jakiś czas w milczeniu.

- A czy dzieci... – zaczął. – Też mają żółte?
- Dzieciom oczy często się zmieniają.
- Może wobec tego i my jesteśmy dziećmi? Przynajmniej dla Marsa. To jest myśl. – Roześmiał się. – Wiesz co, chyba pójdę popływać.

Wskoczyli do kanału i Bittering opadał coraz głębiej i głębiej, aż do samego dna, aż spoczął jak posąg ze złota w zielonej ciszy. Wszystko było wodną ciszą i głębią.

i spokojem. Czuł, jak unosi go stały powolny prąd, bez trudu.

Gdybym tak tu leżał dostatecznie długo – pomyślał – pod działaniem wody pozbyłbym się ciała i pozostałyby ze mnie tylko kości, jak u koralu. Sam szkielet. A potem woda naniósłaby na ten szkielet zielonych glonów, różnych organizmów głębinowych, czerwonych, żółtych. Zmiana. Zmiana. Powolna, dogłębna, cicha zmiana. A czy przypadkiem nie to samo odbywa się nad wodą?

Widział nad sobą zatopione w wodzie niebo i słońce, które atmosfera, czas i przestrzeń uczyniły marsjańskim.

Tam nade mną jest duża rzeka, myślał, marsjańska rzeka, i my wszyscy leżymy w niej głęboko w naszych domach z kamyków, w naszych zatopionych kamiennych domach, ukryci jak kraby, a woda wymywa z nas ciało i wydłuża kości, i...

Poddał się i pozwolił unieść w górę poprzez łagodne światło.

Dań siedział na brzegu kanału, przyglądając się ojcu poważnie.

– *Ulha* – powiedział.

– Co? – zapytał Bittering. Chłopak uśmiechnął się – Wiesz przecież. *Utha* to po marsjańsku ojciec.

– Gdzie się tego nauczyłeś?

– Nie wiem. Tu gdzieś. *Utha!*

– Czego chcesz? Chłopiec zawahał się.

– Chciałbym... chciałbym zmienić imię.

– Zmienić imię?

– Tak.

Podpłynęła do nich matka.

– A co jest złego w imieniu „Dań”? Mały zdenerwował się.

– Przedwczoraj wołałaś: „Dań, Dań, Dań!”, a ja tego nawet nie słyszałem.

Pomyślałem sobie: to nie jest moje imię. Mam nowe imię, które chciałbym używać.

Bittering trzymał się brzegu kanału, ciało miał zimne, serce biło mu powoli.

– A jakie jest to nowe imię?

– Linnl. Czy nieładne? Mogę je używać? Mogę, powiedzcie?

Bittering uniósł rękę do głowy. Pomyślał o tej swojej głupiej rękiecie, nad którą pracował samotnie, o tym jak bardzo jest samotny wśród własnej rodziny.

Słyszał, jak żona odpowiada chłopcu:

– Dlaczego nie?

A potem własny głos:

– Oczywiście, że możesz je używać.

– Yahaaa! – wrzasnął chłopak. – Jestem Linnl, Linnl!

Biegając przez łąki tańczył i krzyczał. Bittering popatrzył na żonę.

– Dlaczegośmy to zrobili?

– Nie wiem – odparła. – wydawało mi się, że to dobry pomysł.

Ruszyli w stronę wzgórz. Szli wolno starymi mozaikowymi ścieżkami, mijając tryskające wodą fontanny. Ścieżki przez całe lato pokryte były cienką warstwą chłodnej wody. Cały dzień człowiek miał zimne nogi, jakby brodził wzniecając wodny pył.

Doszli do malej opuszczonej marsjańskiej willi, skąd roztaczał się widok na dolinę. Willa znajdowała się na szczycie wzgórza. Błękitne marmurowe sale, ogromne freski, basen. Musiało to być odświeżające w letniej spiekocie. Marsjanie nie wierzyli w duże miasta.

– Jak tu ładnie – powiedziała pani Bittering. – A może byśmy tak mogli przenieść się na lato do tej willi?

– Chodź, wracamy do miasta – odparł mąż. – Mam masę roboty przy rakiecie.

Ale wieczorem, w czasie pracy, chłodna, błękitna, marmurowa willa na dobre zagościła w jego myślach. W miarę upływu czasu rakietę wydawała mu się coraz mniej ważna.

Pływały dni i tygodnie, a ona była coraz dalsza i coraz mniejsza. Minęło dawne podniecenie. Przeraziła go świadomość, że tak się temu poddał. Ale jakoś ten upał, to powietrze, warunki pracy...

Dochodził go sprzed warsztatu gwar męskich rozmów.

– Wszyscy się wynoszą. Słyszeliście?

– Tak, wszyscy. To prawda. Bittering wyszedł z warsztatu.

– Dokąd się wynoszą? – Zobaczył dwie ciężarówki, wyładowane meblami i dziećmiakami, jadące ulicą w tumanach kurzu.

– Do willi – odparł jeden z mężczyzn.

– Tak, Harry. I ja się wynoszę. I Sam też. Prawda, Sam?

– Prawda, a co z tobą, Harry?

– Ja mam pracę, którą muszę wykonać.

– Pracę! Rakietę możesz skończyć jesienią, jak będzie chłodniej.

Bittering nabrał tchu.

– Mam już gotowy szkielec.

– Jesienią będzie ci łatwiej. – Ich głosy brzmiały leniwie w upale.

– Muszę pracować – odparł.

– Jesienią – przekonywali go. Ich argumenty były takie rozsądne, takie słuszne.

Tak, jesień jest najlepsza – pomyślał. – Będzie miał wtedy masę czasu.

Nie! – zaprotestowała jakaś część jego jaźni, głęboko ukryta, szczelnie zamknięta, zagłuszona. Nie! Nie!

– Jesienią – powiedział.

– Chodź, Harry – zachęcali go.

– Tak – odparł, czując, jak ciało topi mu się w gorącym, ciekłym powietrzu. – Tak, jesienią zacznę pracę od nowa.

– Ja mam willę koło kanału Tirra – powiedział ktoś.

– To znaczy miałeś na myśli Kanał Roosevelta, tak?

– Nie, Tirra. Stara marsjańska nazwa. – Ale na mapie...

– Zapomnij o mapie. Teraz to jest Tirra. Znalazłem takie miejsce w górach Pillan...

– Masz na myśli Pasma Rockefellera – sprostował Bittering.

– Nie, mam na myśli góry Pillan.

Nazajutrz po południu wszyscy ładowali ciężarówki w stojącym, nieruchomym upale.

Laura, Dań i Dawid nosili paczki. Albo też, jak woleli, żeby ich nazywano, Ttil, Linnl i Werr.

Meble zostawiali w małym białym domku.

– W Bostonie prezentowały się dobrze – powiedziała matka. – I tu też. Ale tam w willi? Nie. Wrócimy do nich jesienią.

Bittering milczał.

– A ja mam koncepcję mebli do willi – powiedział po jakimś czasie. – Powinny być duże, wygodne. Leniwe.

– A co z twoją encyklopedią? Bierzesz ją oczywiście.

Bittering odwrócił wzrok.

– W przyszłym tygodniu po nią przyjadę.

– A twoje nowojorskie sukienki? – zapytali córkę.

Dziewczynka spojrzała zdumiona.

– A na co mi one?

Zakręcili na dobre gaz i wodę, pozamykali drzwi. Ojciec spojrzał na ciężarówkę.

– Nie można powiedzieć, żebyśmy brali ze sobą dużo. W porównaniu z tym, cośmy przywieźli na Marsa, to śmieszna garstka sprzętów.

Zapalił silnik.

Patrzył na mały biały domek przez dłuższą chwilę i miał ochotę rzucić się do niego, dotknąć go, powiedzieć mu do widzenia. Czuł się tak, jakby wyruszał w daleką podróż, zostawiając coś, do czego tak naprawdę już nigdy nie wróci, czego już nigdy nie zrozumie. Właśnie w tym momencie minęła ich ciężarówka wioząca Sama z rodziną.

– Hej, Bittering! Żegnajcie! Ciężarówka pomknęła starą autostradą i wyjechała z miasta. A za nią sześćdziesiąt innych rodzin udało się w tym samym kierunku. Miasto wypełniły tumany ciężkiego, nieruchomego kurzu. Wody kanału spoczywały błękitne w promieniach słońca, a łagodny wietrzyk poruszał dziwnymi drzewami.

– Żegnaj, miasto! – powiedział Bittering.

– Żegnaj, żegnaj! – powtórzyła za nim rodzina machając rękami.

Odjechali nie oglądając się za siebie.

Letnie słońce wysuszyło kanały. Lato ogarniało łąki jak płomień.

W opuszczonym osiedlu Ziemian farba na ścianach łuszczyła się i odpadała płatami.

Stare opony, których dzieci używały jako huśtawek, wisiały na podwórkach

w spiekocie niby zatrzymane nagle wahadła zegarów.

W warsztacie szkieleł rakiety zaczął rdzewieć.

Pewnego cichego jesiennego dnia Bittering stał, bardzo już ciemny i bardzo złotooki, na stoku wzgórza, nad swoją willą, spoglądając w dolinę.

– Czas wracać – powiedziała Cora.

– Tak, ale nie wracamy – odparł. – Tam już nic nie ma.

– A twoje książki, twoje przyzwoite ubranie? Twoje *lles* i twoje przyzwoite ior *uele rre* – poprawiła się.

– Miasto jest puste. Nikt nie wraca – odparł. – Nie ma zresztą powodu, najmniejszego.

Córka tkła kilimy, synowie grali pieśni na starożytnych fletach i piszczałkach, a ich śmiech odbijał się echem w marmurowej willi.

Bittering spoglądał na osiedle Ziemian położone daleko w dolinie.

– Jakie dziwne, jakie zabawne domy budują ci Ziemianie.

– Nie umieją innych – odparła żona. – I tacy brzydcy są ci ludzie. Dobrze, że się wynieśli.

Spojrzeli po sobie zaskoczeni tym, co właśnie powiedzieli. Roześmieli się.

– A dokąd oni się wynieśli? – zastanawiał się Bittering. Popatrzył na żonę. Była złocista i szczupła jak córka. Kiedy na niego spojrziała, poczuł się tak młody jak ich najstarszy syn.

– Zresztą nie wiem... – powiedziała, – Może wrócimy do miasta w przyszłym roku, może za dwa-trzy lata – odparł ze spokojem. – A teraz jest mi gorąco. Chętnie bym się wykąpał.

Odwrócili się od doliny i ramię w ramię poszli bez słowa ścieżką, którą płynęła czysta źródłana woda.

W pięć lat później spadła z nieba rakietka. Dymiąc leżała w dolinie. Wskoczyli z niej ludzie, których wołanie niosło się daleko.

– Wygraliśmy wojnę na Ziemi! Przyjechaliśmy was oswobodzić! Hej!

Ale w amerykańskim miasteczku domków jednorodzinnych, drzew brzoskwiniowych i teatrów panowała cisza. W pustym warsztacie znaleźli tylko nędzny zardzewiały szkieleł rakiety.

Ludzie postanowili przeszukać wzgórze. Kapitan założył kwaterę główną

w opuszczonym barze, gdzie przyszedł do niego porucznik z meldunkiem.

– Miasto jest wyludnione, sir, ale w górach żyją tubylcy. Ciemni, o żółtych oczach. Marsjanie. Bardzo przyjacielscy. Trochę z nimi rozmawialiśmy, ale niewiele. Szybko uczą się angielskiego. Jestem przekonany, że wkrótce nawiążemy z nimi bliższy kontakt, sir.

– Ciemni, powiadasz? – zastanawiał się kapitan. – A ilu ich jest?

– Jakieś sześćset, osiemset osób, żyją w tych marmurowych ruinach w górach, sir. Wysocy, zdrowi. Piękne kobiety.

– A czy mówili wam może, co się stało z tamtymi mężczyznami i kobietami, którzy, budowali to ziemskie osiedle, poruczniku?

– Nie mają zielonego pojęcia ani co się stało z tym miasteczkiem, ani z ludźmi.

– Dziwne. Czy myślisz, że ci Marsjanie ich pozabijali?

– Kiedy oni robią wrażenie zdumiewająco łagodnych. Możliwe, że to jakaś zaraza zniszczyła miasto.

– Możliwe. Myślę, że jest to jedna z tych tajemnic, których nigdy nie wyjaśnimy. O których się tylko czyta.

Kapitan spojrział na pomieszczenie, w którym się znajdowali, na zakurzone okna, na błękitne wzgórza rysujące się za nimi, na kanały migotliwe w słońcu i usłyszał lekki szum wiatru. Wzdrygnął się. Ale po chwili, już spokojnie, stuknął w dużą nową mapę, którą przypiął pluskiewkami do blatu stołu.

– Mamy wiele do zrobienia, poruczniku – jego głos rozbrzmiewał, monotony, w miarę jak słońce chowało się za błękitne wzgórza. – Nowe osiedla. Kopalnie, trzeba poszukać bogactw naturalnych. Pobrać próbki bakterii. Robota, dużo roboty nas czeka. Niestety zaginęła wszelka dokumentacja. Będziemy musieli sporządzić nowe mapy, ponazywać góry, rzeki itd. Będzie to wymagało trochę fantazji.

– A co byście powiedzieli, poruczniku, jakbyśmy tak nazwali te góry Górami Lincolna, kanał Kanałem Waszyngtona, a te wzgórza... te wzgórza możemy nazwać na pana cześć. Dyplomacja. A pan z kolei w rewanżu może nazwać jakieś miasto na moją cześć. Pochlebstwo. A to mogłaby być Dolina Einsteina, a tam dalej... czy pan mnie słucha, poruczniku?

Porucznik oderwał wzrok od błękitu i spokojnych mgieł spowijających wzgórza daleko za miastem.

– Słucham...? Ach tak, oczywiście, że słucham, sir!

*Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz*

## TRAMWAJ

Pierwszy brzask łśni na dachu. Bardzo wczesnie rano. Drżą liście na wszystkich drzewach, delikatnie budzone podmuchami wiatru poranka. I wówczas, daleko, zza zakrętu srebrnego toru, wyjeżdża tramwaj na czterech stalowo-błękitnych kółkach, pomalowany na kolor mandarynek. Pokrywają go epolety z błyszczącego mosiądzu i złote ornamenty, a jego chromowany dzwonek dzwoni, gdy tylko sędziwy motorniczy lekko go nadeśnie pomarszczonym butem. Numery na przodzie i bokach tramwaju są jasne jak cytryna. Siedzenia wewnątrz kłują zimnym, zielonym mchem. Z dachu wystaje pałak, który sunie po nitce zawieszanej wysoko między drzewami, czerpiąc z niej życie. Z każdego okna wypływa zapach kadzidła, wszystko przenikający błękit oraz tajemnicza woń letnich burz i błyskawic.

Zacienioną wiązami ulicą jedzie samotny tramwaj. Szare rękawice motorniczego spoczywają lekko na przyrządach do prowadzenia.

W południe motorniczy zatrzymał tramwaj między przecznicami i wychylił się.

– Hej!

Douglas, Charlie, Tom i wszystkie dzieci z sąsiedztwa na widok machającej szarej rękawicy położyły z drzew i pozostawiały skakanki jak białe węże na trawnikach, by pobiec i usiąść na zielonych pluszowych siedzeniach – za darmo. Pan Tridden, motorniczy, a zarazem konduktor, przestawił rękawicą otwór skrzynki na pieniądze, gdy ruszał wzdłuż zacienionej ulicy.

– Hej – powiedział Charlie – dokąd jedziemy?

– Ostatni kurs – odrzekł pan Tridden patrząc na przewód elektryczny ciągnący się przed nimi. Nie będzie już tramwaju. Jutro puszczają autobus. Przenoszą mnie na rentę. A więc każdy jedzie za darmo! Uwaga!

Zakręcił mosiężną korbą. Tramwaj jęknął i zakołysał się na bezkresnym zakręcie, a przez cały czas świat był tak cichy, jakby nic się nie działo, tylko dzieci, pan Tridden i jego cudowna maszyna jechały rzeką bez końca.

– To już ostatni dzień? – zapytał oszołomiony Douglas. – Nie mogą tego zrobić! Nie mogą zabrać tramwaju! Z jakiej racji! – powiedział. – Nieważne, jak się na to patrzy, ale autobus to nie tramwaj. Inaczej hałasuje. Nie ma szyn ani drutów, nie iskrzy, nie sypie piasku na szyny, ma inne kolory, nie ma dzwonka i nie opuszcza stopnia jak tramwaj!

– Racja – rzekł Charlie. – Zawsze z przyjemnością patrzyłem, gdy rozkładał się stopień w tramwaju. Jak akordeon.

– Pewnie – dodał Douglas.

I wówczas znaleźli się na końcu linii. Tory, opuszczone przez trzydzieści lat, ciągnęły się dalej w głąb pagórkowatego krajobrazu. W roku 1910 ludzie jeździli



tramwajem na majówki do parku Chessmana, wioząc duże kosze z jedzeniem. Tor jeszcze leżał, rdzewiejąc wśród wzgórz.

– Tutaj zawrócimy – powiedział Charlie.

– A właśnie, że nie! – Pan Tridden nagłym ruchem nacisnął włącznik awaryjnego generatora. – O, teraz!

Tramwaj zatrząsał się i jak żaglowiec majestatycznie przepłynął granice miasta, zjechał z głównej ulicy i sunął w dół poprzez wonne plamy światła słonecznego i rozległe obszary cienia o zapachu muchomorów. Tu i ówdzie fale strumienia omywały tory, a słońce filtrowane przez drzewa było zielone jak trawa. Szepcząc sunęli po łąkach skąpanych w dzikich słonecznikach, mijali opuszczone przystanki, gdzie nie było już konfetti z przeciętych biletów, jechali wzdłuż leśnego potoku aż do pełnej lata okolicy, a Douglas cały czas gadał.

– Oczywiście po prostu zapach tramwaju jest inny. Jeździłem autobusami w Chicago, śmiesznie pachną.

– Tramwaje są za wolne – powiedział pan Tridden. – Mają wprowadzić autobusy. Autobusy miejskie i szkolne.

Tramwaj zatrzymał się ze zgrzytem. Pan Tridden zdjął wielkie koszyki z jedzeniem. Dzieci wrzeszcząc pomagały mu przenieść je nad strumień wpływający do spokojnego jeziora, tam gdzie stało staromodne, rozsypujące się w pył podium dla orkiestry.

Siedząc jedli kanapki z szynką, świeże poziomki i woskowate pomarańcze, a pan Tridden opowiadał im, jak to było czterdzieści lat temu: wieczorem grała orkiestra na tym zdobionym podium, muzycy dmuchali w mosiężne trąby, pulchny dyrygent złany był potem od wymachiwania pałeczką, dzieci i robaczki świętojańskie biegały w wysokiej trawie, panie w długich sukniach, z wysoko upiętymi włosami, spacerowały wyprostowane z panami w za ciasnych kołnierzykach. Ten spacer odbywał się jak gdyby teraz, choć jego obraz zaszedł mgłą lat. Jezioro było ciche, błękitne i gładkie, ryby spokojnie przemykały w jaskrawych trzcinach, a motorniczy nieprzerwanie mówił półgłosem i dzieciom wydawało się, że są to inne czasy i że pan Tridden wygląda cudownie młodo z oczami świecącymi jak małe żarówki, błękitne i elektryczne. Dzień był leniwy, spokojny, nikomu się nie śpieszyło, wokół las, słońce stało w jednej pozycji, głos pana Triddena to wznosił się, to opadał, a jakaś niedostrzegalna igła wyszywała w powietrzu coraz to inne desenie, zarazem złote i niewidoczne. Pszczoła usiadła na kwiecie, bzykając bezustannie. Tramwaj stał jak zaczarowane organy, połyskując tam, gdzie padało nań słońce. Tramwaj mieli na rękach w zapachu mosiądzu, kiedy jedli dojrzałe czereśnie. Jego jasna woń buchała z ich ubrań na letni wiatr.

Krzycząc, przeleciał po niebie nur.

Pan Tridden włożył rękawice.

– Cóż, czas jechać. Rodzice pomyślą, że ukradłem was na dobre.

Tramwaj był cichy i chłodno-ciemny, jak sklep z lodami. Z miękkim, zielonym szelestem welwetowego pokrycia milczące dzieci odwróciły siedzenia tyłem do spokojnego jeziora, opuszczonego podium dla orkiestry i desek, które wygrywały jakąś muzykę, gdy schodziło się po nich nad brzeg do innych krajów.

„Dzyń!” – cicho zadźwięczał dzwonek pod stopą pana Triddena i poszybowali z powrotem nad opuszczonymi przez słońce, zamarytymi łąkami kwietnymi, poprzez las, w kierunku miasta, które wydawało się miażdżyć boki tramwaju cegłami, asfaltem i drewnem, kiedy pan Tridden zatrzymał się, by dzieci mogły wysiąść.

Charlie i Douglas stali najbliżej wysuniętego języka tramwaju – składanego stopnia – i wdychając elektryczność obserwowali rękawice pana Triddena na mosiężnych przyrządach.

Douglas przesunął palcami po zieleni pluszu i popatrzył na srebro, na mosiądz, na sufit w kolorze wina.

– To... do widzenia, panie Tridden.

– Żegnajcie, chłopcy.

– Do zobaczenia, panie Tridden.

– Do zobaczenia.

Cicho syknęło powietrze i drzwi zamknęły się delikatnie, wciągając swój składany język. Tramwaj z wolna popłynął przez późne popołudnie, jaśniejszy od słońca, cały mandarynkowy, świecący złoto i cytrynowe; tocząc się skręcił za dalekim rogiem i znikł, odjechał.

– Autobusy szkolne – Charlie podszedł do krawężnika – nie dadzą nam nawet szansy, żeby się spóźnić do szkoły. Przyjadą i zabiorą cię sprzed drzwi. Nigdy w życiu już się nie spóźnimy. Pomyśl, co to za koszmar, Douglas, tylko pomyśl.

Ale Douglas, stojąc na trawniku, widział, jak to będzie jutro, gdy robotnicy zaleją smołą srebrzyste tory i nie będzie wiadomo, że kiedykolwiek jeździł tędy tramwaj. Wiedział, że wiele lat upłynie, nim zapomni o torach, żeby nawet najgłębiej były zakopane. Wiedział, że pewnego ranka, jesienią, wiosną lub zimą obudzi się i jeśli nie podejdzie do okna, jeśli będzie leżał w przytulnym, ciepłym łóżku, usłyszy z oddali słaby dzwonek.

I zza rogu porannej ulicy, z alei, spomiędzy równych rzędów jaworów, wiązów i klonów, w ciszy poprzedzającej budzenie się życia, usłyszy koło domu znajome dźwięki. Jak tykanie zegara, jak turkot toczących się metalowych beczek, jak brzęczenie ogromnej ważki. Jak karuzela, jak niewielkie wyładowanie elektryczne w błękitnym kolorze błyskawicy – dobiegnie tu i odpłynie. Dzwonek tramwaju. Syk jak w zaworze syfonu wody sodowej, gdy tramwaj rozkłada i składa swój stopień,

i znów zaczyna się sen – gdy płynie swoją trasą, jadąc po ukrytym, pogrzebanym torze do jakiegoś ukrytego, pogrzebanego miejsca przeznaczenia...

– Pokopimy puszkę po kolacji? – spytał Charlie.

– Jasne – odpowiedział Douglas – pokopimy.

*Przełożył Marek Cegiela*

## LATAJĄCY CZŁOWIEK

Roku Pańskiego 400 Cesarz Yuan panował w cieniu Wielkiego Muru Chińskiego, a kraj zielenił się po deszczach, w spokoju gotując się do żniw; jego poddani nie byli ani zbyt szczęśliwi, ani smutni.

Wczesnym rankiem pierwszego dnia pierwszego tygodnia drugiego miesiąca nowego roku Cesarz Yuan popijał herbatę i wachlował się dla ochłody przed gorącym tchnieniem wiatru, gdy ogrodową aleją wyłożoną czerwonymi i niebieskimi kafelkami nadbiegł służący z okrzykiem:

– Och, Cesarzu, Cesarzu, cud!

– Tak – odparł Cesarz – powietrze jest dziś naprawdę cudowne.

– Nie, nie to, cud! – zawołał służący składając szybki ukłon.

– I czuję doskonały smak herbaty w ustach, jest to niewątpliwie cud.

– Ależ nie, Wasza Wysokość.

– A więc niech zgadnę. Słońce wstało i mamy nowy dzień. Lub też morze jest błękitne. Oto największy ze wszystkich cudów.

– Ekscelencjo, człowiek fruwa!

– Co? – wachlarz znieruchomiał w dłoni Cesarza.

– Widziałem go w powietrzu, człowieka ze skrzydłami. Usłyszałem nad sobą wołanie w przestworzach, a gdy spojrzałem w górę, zobaczyłem go, smoka w niebiosach z człowiekiem w paszczy; smoka z papieru i bambusów, o barwach słońca i trawy.

– Dzień się dopiero zaczyna – powiedział Cesarz – i jeszcze nie otrząsnąłeś się ze snu.

– Tak, jest wcześnie, ale co widziałem, to widziałem. Chodź, a i ty, Panie, zobaczysz.

– Usiądź koło mnie – powiedział Cesarz. – Napijemy się herbaty. To musi być niesamowite, jeśli tak było naprawdę, ujrzeć fruwającego człowieka. Musisz mieć czas, aby wszystko przemyśleć, tak jak i ja potrzebuję czasu na przygotowanie się do takiego widoku.

Napili się herbaty.

Sil – Wasza Wysokość – nie wytrzymał wreszcie służący – bo on odleci.

Cesarz podniósł się zamyślony.

– Teraz pokaż mi, co widziałeś. Weszli do ogrodu, przecięli bujną łąkę, przeszli przez mostek, przebyli wysadzaną drzewami aleję i wspięli się na niewielki pagórek.

– Tam! – wskazał służący. Cesarz spojrzał w niebo. A w niebie, śmiejąc się z tak wysoka, że ledwie go było słychać, bujał człowiek. I człowieka tego skrywał jaskrawy papier i trzcina bambusowa, które tworzyły skrzydła i piękny złoty ogon,

i szybował on w przestworzach jak największy ptak w świecie ptaków, jak nieznany smok w krainie starodawnych smoków. Z wyżyn chłodnych wiatrów porannych człowiek krzyknął do nich:

– Latam, latam!

– Tak, o tak! – pomachał mu ręką służący. Cesarz Yuan nie poruszył się. Skierował natomiast wzrok na Wielki Mur właśnie wyłaniający się hen daleko z mgły nad zielonymi wzgórzami i jak wspaniały kamienny wąż wijący się majestatycznie przez cały kraj. Cudowny mur, który od niepamiętnych czasów strzegł ich przed wrogimi hordami i zapewniał pokój przez niezliczone lata. Ujrzał, jak zaczyna się budzić miasto, wciśnięte między rzekę, gościniec i wzgórze.

– Powiedz mi – zwrócił się do służącego – czy ktoś jeszcze widział tego latającego człowieka?

– Tylko ja, Ekscelencjo – odparł, machając ręką i uśmiechając się do góry. Cesarz obserwował niebo przez dłuższą chwilę, po czym rozkazał:

– Przywołaj go do mnie.

– Hej, zbliż się do nas! Cesarz pragnie z tobą mówić! – zawołał służący, przyłożywszy do ust dłonie zwinięte w trąbkę.

Podczas gdy latający człowiek szybował w dół niesiony poranną bryzą, Cesarz uważnie rozglądał się dokoła. Spostrzegł chłopca w polu, z głową zadartą do góry, i zapamiętał to miejsce. Latający człowiek opuścił się na ziemię z szelestem papieru i skrzypieniem trzciny bambusowej. Z dumą podszedł do Cesarza, niezręczny w swym rynsztunku, wreszcie skłonił się nisko przed starym władcą.

– Coś ty takiego zrobił? – zapytał Cesarz.

– Szybowałem po niebie, Ekscelencjo – odpowiedział człowiek.

– Ale coś ty zrobił? – powtórzył Cesarz.

– Przecież już powiedziałem! – wykrzyknął człowiek.

– Nic nie powiedziałeś. – Cesarz wąską dłonią dotknął ślicznego papieru i ptakopodobnego szkieletu aparatu. Pachniał on chłodem, jak wiatr.

– Czyż nie jest piękny, Ekscelencjo?

– Jest zbyt piękny.

– Jedyne na świecie – uśmiechnął się człowiek. – To ja go wymyśliłem.

– Jedyne?

– Daję głowę.

– Czy ktoś jeszcze wie o tym?

– Nikt. Nawet moja żona, która pomyślałaby, że straciłem rozum z porażenia słońcem. Sądziła, że buduję latawiec. Wstałem w nocy i poszedłem nad odległe urwiska. A gdy słońce wzeszło i powiał leciutki wietrzyk, zebrałem odwagę w sercu, Ekscelencjo, i skoczyłem ze skały. Wzbiłem się w niebo! Ale moja żona nie wie

o niczym.

– Tym lepiej dla niej – powiedział Cesarz. – Chodź z nami. – Zawrócili do cesarskiej rezydencji. Słońce świeciło już wysoko na niebie i orzeźwiająco pachniały trawy. Cesarz, służący i latający człowiek zatrzymali się w rozległym ogrodzie.

Cesarz klasnął w dłonie:

– Hej, straż! – Nadbiegli strażnicy.

– Bierzcie tego człowieka. Strażnicy pojмали go.

– Wezwać kata – rozkazał Cesarz.

– Co to znaczy! – zawołał zdumiony człowiek. – Cóż ja takiego uczyniłem? –

Rozpląkał się, aż jego piękny papierowy aparat zaszeleścił.

– Oto człowiek, który zbudował pewne urządzenie – powiedział Cesarz – i jeszcze zapytuje nas, co to znaczy. On sam nie wie. Jemu wystarczy akt tworzenia, bez świadomości, dlaczego to zbudował, ani do czego ten przedmiot może służyć.

Nadbiegł kat z ostrym, srebrnym toporem. Stał w gotowości, z obnażonymi potężnymi ramionami, twarz zakrywała mu pogodna biała maska.

– Zaczekaj – wstrzymał go Cesarz. Odwrócił się do pobliskiego stolika, gdzie stało urządzenie, które on sam wymyślił. Zdjął z szyi malutki, złoty kluczyk. Włożył go w otwór miniaturowego precyzyjnego mechanizmu i nakręcił sprężynę. Następnie uruchomił mechanizm. Był to ogród wykonany z metalu i drogich kamieni.

Wprawione w ruch ptaki śpiewały wśród metalowych drzew, wilki spacerowały w miniaturowych lasach, drobne figurki ludzi wybiegały na słońce i kryły się w cieniu, poruszając miniaturowymi wachlarzami, słuchając głosów maleńkich szmaragdowych ptaków i przystając przy niewiarygodnie małych, a jednak szmerzących fontannach.

– Czyż to nie jest piękne? – powiedział Cesarz. – Gdybyś mnie spytał, co ja tutaj zrobiłem, mógłbym ci odpowiedzieć z łatwością. Sprawilem, że ptaki śpiewają, że lasy szumią, że ludzie spacerują w tej leśnej krainie, rozkoszując się zielenią i cieniem, i szczebiotem ptaków. To właśnie zrobiłem.

– Ależ, Cesarzu! – błagał na kolanach latający człowiek, a łzy płynęły mu po twarzy. – Ja zrobiłem podobnie. Ja też odkryłem piękno! Uniosłem się wraz z porannym wiatrem. Spoglądałem z góry na uśpione domy i ogrody. Czulem zapach morza i nawet widziałem je z wysoka, za wzgórzami. I szybowałem niby ptak, och, słów mi brakuje, aby wyrazić, jak pięknie jest tam, w górze, na niebie, z wiatrem wokoło, wiatrem niosącym mnie to jak piórko, to znów jak wachlarz; jak pachnie niebo o poranku! I jak wolny czuje się człowiek! To jest piękne, Cesarzu, to jest również piękne!

– Tak – powiedział smutno Cesarz – wiem, że to musi być prawda, gdyż czulem, jak moje serce unosi się z tobą w powietrzu, i zastanawiałem się: jak to jest? Co

człowiek czuje? Jak wyglądają z tej wysokości odległe stawy? A jak mój dom i służby? Czy tak jak mrówki? A jak, hen w oddali, jeszcze nie przebudzone miasta?

– Więc oszczędź mnie!

– Ale są chwile – mówił Cesarz z jeszcze większym smutkiem – gdy człowiek musi poświęcić trochę piękna, jeżeli pragnie ocalić tę odrobinę, którą już posiadał. Nie obawiam się ciebie, twojej osoby, lecz obawiam się kogoś innego.

– Kogo?

– Innego człowieka, który ujrzawszy cię w górze zbuduje taki sam przedmiot z błyszczącego papieru i bambusów. Ale ten drugi człowiek będzie miał złą twarz i złe serce i piękno zginie. Tego człowieka się boję.

– Ale dlaczego? Dlaczego?

– Któż zapewni nas, że pewnego dnia właśnie taki człowiek nie wzniesie się w powietrze na takim właśnie aparacie z papieru i trzciny i nie zrzuci głazów na Wielki Mur? – odparł Cesarz. Nikt się nie poruszył, nikt nie odezwał.

– Ściąć mu głowę – rozkazał Cesarz. Kat zamachnął się srebrnym toporem.

– Spalcie latawiec i ciało, a popioły za kopcie razem – powiedział Cesarz. Służby oddalili się, aby spełnić jego wolę. Cesarz odwrócił się do swego służącego. – Ty trzymaj język za zębami. To wszystko było snem, smutnym i pięknym. A temu chłopu na polu, w oddali, powiedz, że będzie lepiej, jeśli uzna to za przywidzenie. Jeżeli choć słówko wydostanie się na zewnątrz, obaj nie przeżyjecie godziny.

– Jesteś litościwy, Cesarzu.

– Nie, nie jestem litościwy – odrzekł stary władca. Za murem ogrodu zobaczył strażników palących piękny aparat z papieru i trzciny bambusowej, który tak pachniał wiatrem porannym. Ujrzał, jak ciemny dym wzbija się do góry. – Nie, jestem tylko bardzo zdumiony i zatrwożony. – Dostrzegł, jak strażnicy kopią dół, aby zasypać w nim popioły. – Cóż znaczy życie jednego człowieka w porównaniu z życiem milionów innych? Muszę szukać pocieszenia w tej myśli.

Z łańcuszka na szyi zdjął kluczyk i jeszcze rai nakręcił piękny miniaturowy świat. Stał ogarniając wzrokiem Wielki Mur, spokojne miasto, zielone pola, rzeki i strumienie. Westchnął. Delikatny mechanizm zafurkotał i maleńki krajobraz ożył. Ludziki rozpoczęły swój spacer po lasach, maleńkie lisy okryte lśniąca puszystą sierścią co sił w nogach przebiegały susami słoneczne polany, a wśród maleńkich drzew, szczebiocząc dźwięcznie, unosiły się błękitno złote drobiny lecać, lecać, lecać na swym maleńkim niebie.

– Och – westchnął Cesarz i zamknął oczy – spójrz na ptaki, spójrz na ptaki!

*Przełożył Marek Marszał*

## IKAR MONTGOLFIER WRIGHT

Leżał na łóżku i we śnie słyszał szept wiatru wpadającego przez okno ponad jego nie domkniętymi ustami. Był jak powiew czasu drążący pustkę jaskiń delfickich, aby głosić, co musi być powiedziane o dniu wczorajszym, dzisiejszym, o jutrze. Czasami pojedynczy głos ozwał się z wielkiej dali, czasami dwa, tuzin, cały rodzaj ludzki wołał przez jego usta, lecz słowa były zawsze te same:

– Patrzcie, patrzcie! Udało się!

Ponieważ znienacka on, oni – jeden lub wielu – zapadali w sen i wznosili się. Powietrze rozlało się w łagodne, ciepłe morze, w którym płynął, pełen niedowierzania.

– Patrzcie, patrzcie! Udało się!

Ale nie prosił ludzkości na świadka, porażał tylko swe zmysły aż do bólu, by widzieć, smakować, czuć, dotykać powietrza, wiatru, wschodzącego księżyca. Płynął po niebie samotnie. Ciężka ziemia gdzieś znikła. Chwileczkę – pomyślał – zatrzymaj się. Ta noc... co to za noc? Noc przed, oczywiście. Noc przed pierwszym lotem rakiety na księżyc. Za oknem, na spalonej równinie pustyni, sto jardów stąd, czeka na mnie rakietka. Czy aby na pewno czeka? Czy rzeczywiście jest tam jakaś rakietka? Stój! – pomyślał i skręcił się, obrócił, spocony, z zaciśniętymi powiekami, do ściany, z gorączkowym szeptem na ustach. – Upewnij się! Kim ty teraz jesteś? Ja? – zastanowił się. – Jak ja się nazywam? Jedediah Prentiss, urodzony 1938, dyplom ukończenia studiów 1959, licencja pilota raketowego 1965. Jedediah Prentiss... Jedediah Prentiss... – Wiatr porwał jego nazwisko. Rzucił się za nim z krzykiem. Potem, uspokoiwszy się, czekał, aż wiatr przyniesie mu je z powrotem. Czekał długo i słyszał tylko ciszę, wreszcie, po tysięcznym uderzeniu serca, wyczuł ruch. Niebo rozchyliło się jak delikatny, błękitny kwiat. Odległe Morze Egejskie koloru wina pokryło się białymi wachlarzami. W plusku fali przybrzeżnej usłyszał swe imię. Ikar. I znów w szepcie wiatru:

Ikar. Ktoś potrząsnął go za ramię. Był to jego ojciec, który budził go wzywając po imieniu. A on leżał, mały, na pól odwrócony do okna i brzegu morskiego w dole, i głębokiego nieba, czując, jak pierwszy poranny podmuch wicherzy u jego posłania złociste pióra wtopione w bursztynowy wosk. Złociste skrzydła poruszały się jak żywe na ramionach jego ojca, a delikatny meszek na jego własnych rękach jeżył się, gdy spoglądał na te skrzydła i ponad nimi ku urwisku.

– Tato, jaki jest wiatr?

– Dla mnie wystarczający, ale dla ciebie jak zwykle za słaby.

– Ojczy, nie martw się, skrzydła wydają się teraz niezgrabne, lecz moje kości



zawarte w piórach dadzą im moc, a moja krew w wosku da im życie.

– To również moja krew i moje kości, pamiętaj; każdy mężczyzna używa swego ciała dzieciom prosząc, by się z nim dobrze obchodziły. Obiecuj, że nie wzniesiesz się za wysoko, Ikarze. Słońce albo mój syn, żar jednego lub gorączka drugiego, mogą stopić te skrzydła. Uważaj!

I o brzasku ponieśli wspaniałe złote skrzydła, słysząc, jak szepczą im w ramionach, szepczą jego imię, po prostu jakieś imię, które frunęło, zawirowało i poszybowało jak piórko w łagodnym powiewie.

Montgolfier.

Jego dłonie dotknęły rozpalonej liny, jaskrawego płótna, nici szwów nagrzaných w upale. Ogniste tchnienie pożarło z jego rąk wełnę i słomę.

Montgolfier.

Jego oczy pobiegły ku spęczniałej, rozkołysanej, szarpanej jak fale oceanu, ogromnej, srebrzystej gruszcze wypełniającej się ciągle migotliwym oddechem płomienia. Cicha jak drzemiący Bóg pochylony nad pejzażem Francji, delikatna płócienna powłoka, nabrzmiewający wór gorąca – wkrótce wymknie się na wolność. Zwrócony ku górze, ku błękitnym światom ciszy, jego umysł wraz z umysłem brata pozęglują razem, milczący, pogodni, wśród wysp obłoków, gdzie drzemią nieujarzmione błyskawice. W tę nie opisaną na mapie przepaść i otchłań, dokąd nie dociera ani śpiew ptaków, ani głos ludzki, wkradnie się balon. Tak wydani na łaskę wiatru on, Montgolfier, i wszyscy inni ludzie usłyszą może niezmierny oddech Boga i uroczysty krok wieczności.

– Ach... – poruszył się i on, i tłum zebrany w cieniu nagrzanego balona.

– Wszystko gotowe, wszystko w porządku...

W porządku. Jego wargi drgnęły we śnie. W porządku. Syk, szept, łopot, ruch. W porządku.

Uśmieglona zabawka prysnęła z rąk jego ojca ku sufitowi, zawirowała we własnym podmuchu, zawisała, a on wraz z bratem gapili się, jak błyska, szeleści, świszczę, słyszeli, jak mamrocze ich nazwisko. Wright. Szept: wiatr, niebo, obłok, przestworza, skrzydło, lot.

– Wilbur, Orville? Patrzcie, co wy na to?

– Och – westchnął we śnie. Helikopter zawarczał, huknął w sufit; mruczał orzeł, kruk, wróbel, drozd, jastrząb. Szeptał orzeł, szeptał kruk i w końcu z trzepotem i szmerem nadpłynął ku ich dłoniom poszum wietrznej pogody mających dopiero nadejść letnich pór, ostatni wir, ostatnie tchnienie, wyszeptał jastrząb.

Uśmiechnął się przez sen. Ujrzał chmury gnające po egejskim niebie. Czuł pijane kołysanie balona, którego ogromny brzuch czekał tylko, by go porwał wiatr. Czuł, jak atlantycką plażą przesypuje się piasek z miękkich wydm, które go ocala, jeśli on,

ptasie pisklę, spadnie. Szkielet szumiał i grał jak struny harfy, wikłając go w tę muzykę.

Na zewnątrz wyczuwał kołysanie rakiety sunącej po powierzchni pustyni ze złożonymi dyszami, wstrzymującej ognisty oddech, gotowej przemówić w imieniu trzech miliardów ludzi. Za chwilę obudzi się i pójdzie do tej rakiety.

I stanie na krawędzi urwistego brzegu.

Stanie w chłodnym cieniu rozgrzanego balona.

Stanie w strumieniach piasku omiatających Kitty Hawk.

I ukryje swe chłopięce nadgarstki, ramiona, dłonie, palce w złotych skrzydłach, w złotym wosku.

I po raz ostatni dotknie uwięzionego oddechu człowieka, ciepłego tchnienia podziwu i oczarowania, uwięzionego, aby unieść ich marzenia.

I zapali silnik spalinowy.

I pochwyci dłoń swego ojca zycząc mu szczęścia na skrzydłach, giętkich i gotowych tu, nad przepaścią.

Wtedy obróci się i skoczy.

Wtedy przetnie liny i uwolni wielki balon.

Wtedy doda gazu, pchnie samolot w górę.

I włączy zapłon rakiety.

I wtedy w jednej chwili, płynąc, pędząc, skacząc, żeglując i sunąc, zwróceni do słońca, księżycy, gwiazd, ruszą ponad Atlantyk, Morze Śródziemne, nad kraj, pustynie, miasto, miasteczko, w ciszy przestworza, w łopocie piór, klekocie kadłuba, w wulkanicznym wybuchu, w nieśmiałym szemraniu, wśród wstrząsów, drgań, wahań, wznosząc się stale, wspaniale utrzymywani w górze, cudownie niesieni, zaśmiewając się i każdy dla siebie – wykrzykną swoje imię. Lub wywołają imiona innych nie narodzonych lub dawno pomarłych, uniesionych w dal winnym wiatrem lub słonym wiatrem, lub cichym tchnieniem wiatru balona, lub wiatrem chemicznego ognia. Czuli drgnienia głęboko wrośniętych piór, które pęd powietrza wyszarpywał im z łopatek. Pozostawiali za sobą echo swego lotu, dźwięk, który po wielokroć niesiony wiatrem otoczy ziemię i odezwie się ponownie w przyszłych latach, przemówi do ich synów, i do synów ich synów, uśpionych jeszcze, lecz wsłuchanych w niespokojne o północy niebo.

W górę, jeszcze wyżej i wyżej! Wiosenny przypływ, letnia powódź, nieskończony potok skrzydeł.

Łagodnie ozwał się dzwonek.

– Nie – wyszeptał – obudzę się za chwilę. Poczekajcie...

Morze Egejskie przepłynęło pod oknem, znikło; wydmy nadatlantyckie, pejzaż Francji wtopiły się w pustynię Nowego Meksyku. Koło jego łóżka nie poruszały się

żadne pióra w złotym wosku. Na zewnątrz ani śladu wiatrem rzeźbionej gruszki, żadnego klekoczącego werbla motylej maszyny. Na zewnątrz rakieta, spalinowy sen, wyczekujący tylko dotknięcia jego dłoni, aby wystartować. W ostatnim momencie snu ktoś zapytał go, jak się nazywa. Spokojnie podał odpowiedź, tak jak słyszał ją w ciągu długich godzin nocy.

– Ikar Montgolfier Wright. – I powtórzył powoli, aby pytający mógł zapamiętać kolejność i pisownię aż do ostatniej niewiarygodnej litery: – Ikar Montgolfier Wright. Urodzony: 900 lat przed Chrystusem. Szkoła podstawowa – Paryż 1783; szkoła średnia, uniwersytet – Kitty Hawk, 1903. Promocja z Ziemi na Księżyc: dziś, z bożej łaski 1 sierpnia, 1970. Zmarł, pochowany szczęśliwie na Marsie latem 1999 roku pańskiego. Wtedy pozwolił unieść się ku jawie.

Chwilę później, przechodząc przez pustynne pole startowe, usłyszał czyjeś wołanie – raz, drugi, trzeci. Ale czy nie było nikogo, czy też był ktoś za nim, nie umiał powiedzieć. Tak samo jak nie umiał powiedzieć, czy był to jeden głos, czy wiele, młody czy stary, bliski czy odległy, wysoki czy niski, szept czy krzyk – słyszał tylko wszystkie trzy swoje śmiałe, nowe imiona. Nie odwrócił się nawet, żeby spojrzeć. Bo wiatr właśnie powoli przybierał na sile, zdał się więc na niego, pozwalając się nieść przez pustynię ku czekającej rakiecie.

*Przełożył Marek Marszał*